WYROK: BIDUL
Kto rozbija rodziny zastępcze

WIDZENIE Z TALIBAMI
Nasz korespondent w afgańskim Guantanamo

DYM DEMONÓW
Jak się chronić przed duchową przemocą

GWIEZDNY SZYK
Gdy biżuteria spada z nieba

MINECRAFT
Poznaj świat swoich dzieci

Kraków 3 października 2021 nr 40 (3769) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Prawdziwa cena inflacji

NIE TYLKO DROŻYZNA. POLITYCY FUNDUJĄ NAM KRYZYS

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

OSSOLINEUM
Zakład Narodowy im. Ossolińskich
MUZEUM PANA TADEUSZA
OSSOLINEUM

Pan Tadeusz Różewicz
wystawa stała

REKLAMA

Muzeum Pana Tadeusza
Zakład Narodowy im. Ossolińskich
Rynek 6, 50–106 Wrocław
www.muzeumpanatadeusza.pl

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Partner medialny TYGODNIK POWSZECHNY

TYGODNIK POWSZECHNY

Słuchaj
i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik" na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów
z bieżącego wydania – do odsłuchania
w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki
z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
– dla nowych abonentów 14 dni gratis!

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *W owczej skórze*

W komentarzach do sprawy ojca Pawła M. powtarza się wątek sekty. Autorzy sugerują, że w gruncie rzeczy jego duszpasterstwo było sektą, która się zagnieździła we wnętrzu Kościoła. Nie czuję się kompetentny do stawiania w tej materii diagnozy. Warto jednak zadać pytanie, czemu w historii katolickiego Kościoła tak wiele miejsca zajmuje sprawa owych sekt. Czemu właśnie Kościół katolicki wyemanował z siebie ich niezliczone odmiany. Czy w jego zakamarkach wciąż się nie ukrywa „sekciarski duch", by od czasu do czasu eksplodować fenomenami takimi jak duszpasterstwo ojca Pawła M.? W dyskusjach na temat sekt można wręcz spotkać opinię, że „KK to jedna wielka sekta". Niemiecki teolog, pastor i religioznawca, profesor Uniwersytetu w Berlinie Gustav Mensching (zm. 1978) wylicza jako charakterystyczne dla sekt następujące elementy: charyzmatyczne kierownictwo, które w imieniu bóstwa odwołuje się do jego autorytetu; dobrowolność uczestnictwa: każdy, kto przystępuje do sekty, musi złożyć pewną deklarację, najczęściej pisemną, bez niej nie zostanie przyjęty do organizacji; radykalna postawa członków sekty wobec świata i uznawanych wartości, co często się sprowadza do fanatyzmu.

Inne charakterystyki kładą z kolei akcenty na autorytarne sprawowanie władzy przez przywódcę sekty, traktowanie członków sekty w sposób instrumentalny przez jej kierownictwo, łączenie celów politycznych i ekonomicznych (czerpanie korzyści materialnych z działalności sekty przez wybrane osoby lub grupy osób) z celami religijnymi, brak samokrytycyzmu, dążenie do uniezależnienia się od uznawanych przez społeczeństwo czynników kontroli.

Kiedyś rozmawiałem z zasłużonym twórcą wielkiego ruchu katolickiego. Rozmowa zeszła na biskupów. Kiedy wymieniłem nazwisko hierarchy, który – jak sądziłem – dzięki stylowi sprawowania urzędu cieszy się uznaniem rozmówcy, ten machnął ręką. To fatalny biskup – stwierdził – nie chciał wyświęcić na kapłanów ludzi, których ów ruch (a konkretnie właśnie on, założyciel) mu zaprezentował. Pamiętam też, jak inny założyciel wielkiego ruchu, zaproszony na synod biskupów, zaproponował, żeby wszystkie parafie w Kościele zostały zorganizowane i funkcjonowały na zasadach jego ruchu.

To byli ludzie prawi, pełni dobrej woli, którzy zaakceptowali w końcu decyzje Kościoła, choć byli przekonani, że ich wizja pochodzi od Boga. Często jednak „charyzmatyczny przywódca" żywi przekonanie, że tylko i wyłącznie jego droga jest prawdziwa. Jego rzekoma „charyzma" nie jest niczym innym niż instynktem władzy. Jest albo chce być szamanem. Manipuluje ludźmi, tworzy atmosferę lęku przed szatanem, grzechem i wiecznym potępieniem, prezentując siebie jako tego, kto niesie wyzwolenie.

Pokusa ekskluzywności nieobca była nawet Apostołom. Byli oburzeni, że ktoś, kto z nimi nie chodzi, „wyrzuca złe duchy" w imię Jezusa. Jezus zareagował jednoznacznie: „przestańcie zabraniać mu". A potem w historii Kościoła wciąż spotykamy napięcia między troską o zachowanie doktrynalnej i administracyjnej tożsamości Kościoła z jednej strony, a inicjatywami doktrynalnymi i duszpasterskimi z drugiej. Czasem przybierało to formy polowania na czarownice i blokowania każdej twórczej myśli. Także dziś pojawiają się inicjatywy ruchów odnowy Kościoła bardzo podatne na pokusę sekciarstwa. Niektórzy uważają (jak ks. Łukasz Libowski z KUL), że duchem sekciarskim szczególnie zagrożone są ruchy charyzmatyczne. Przywódca „ma charyzmę", ale gromadzi grupę nie wokół Kościoła (w Kościele), lecz „wokół kapliczki". W „kapliczce" czci się nie tyle Boga, co „mistrza", „ojca założyciela", „proroka" – wyłącznego interpretatora woli Bożej; związek z nim jest przeżywany przez członków grupy jako rzeczywisty związek religijny.

Nie darmo Jezus ostrzegał: „Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w owczej skórze, ale wewnątrz są drapieżnymi wilkami. Po ich owocach poznacie ich". ©℗

Międzynarodowy sukces „xABo"

Wyreżyserowany przez Aleksandrę Potoczek i wyprodukowany przez Fundację Tygodnika Powszechnego film o ks. Adamie Bonieckim otrzymał Grand Prix Międzynarodowego Festiwalu Filmów Dokumentalnych „Flahertiana" w Rosji. Film, uhonorowany wcześniej m.in. na 60. KFF Nagrodą im. Macieja Szumowskiego dla reżyserki, za szczególną wrażliwość na sprawy społeczne, można obejrzeć na m.in. platformie Player.pl.

Gratulujemy Twórcom i Bohaterowi!

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Dzieci jak zasób ruchomy
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, MICHAŁ JANCZURA
W podkarpackim Nisku sąd wyrywa nastolatków z rodziny zastępczej. I kieruje ich do domu dziecka. Oto, jak w niejednym powiecie wygląda odmieniana od lat przez wszystkie przypadki deinstytucjonalizacja.

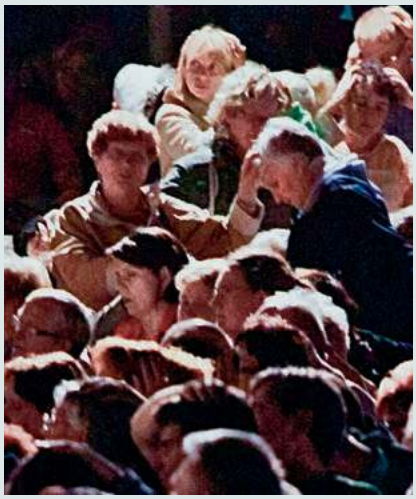

32 Dym demonów
PIOTR SIKORA
Koszmarna historia z wrocławskiego klasztoru dominikanów powinna nas uczulić na zjawiska, które ułatwiają fizyczną i duchową przemoc także dziś.

42 Talibowie z afgańskiego Guantanamo
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z BAGRAMU
Jeszcze niedawno byli więźniami w Bagramie, dziś przychodzą zwiedzać ten owiany złą sławą areszt. Był on kuźnią afgańskich radykałów.

58 Gwiazdka z nieba
ANNA ŁOSIAK
Mogą być groźne, bywają piękne i bardzo użyteczne. Meteoryty wykorzystujemy przynajmniej od tysięcy lat. Dzisiaj coraz częściej w podobnym celu jak w starożytności.

78 Wieści z kanciastej krainy
ADAŚ NAPIÓRKOWSKI, MARCIN NAPIÓRKOWSKI
„Minecraft" to gra. Tu dzieci są gospodarzami, rodzice – najwyżej gośćmi. Możemy wyruszyć na wyprawę tropem naszych pociech, poznać ich świat, pozwolić, by zostały naszymi przewodnikami.

64 Atak serca
ROZMOWA Z JELENĄ KOSTIUCZENKO, REPORTERKĄ:
W Rosji wymaga się lojalności, za nią można kupić wszystko. Lojalny obywatel jest nagradzany, ale niech się ma na baczności. System i jego może przemielić, jak maszynka mięso.

JANIS PIPARS / ANZENBERGER / FORUM // TOMASZ ADAMOWICZ / GAZETA POLSKA / FORUM // HOWARD EDIN / OKLAHOMA CITY ASTRONOMY CLUB / NASA // MEDIALAB.ONLINE // ADAŚ NAPIÓRKOWSKI, MARCIN NAPIÓRKOWSKI // PAWEŁ PIENIĄŻEK

6 Zwycięzcę dopiero poznamy
ŁUKASZ GRAJEWSKI

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Dzieci jak zasób ruchomy
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, MICHAŁ JANCZURA

26 Skażona ziemia
BARTOSZ RUMIEŃCZYK: *Początkowo nawet faceci pijący piwo na ławeczce w Krynkach kryli uchodźców*

29 Strach na Unię
PIOTR WÓJCIK: *Manipulacje eurosceptyków nie muszą być wyrafinowane, by być skuteczne*

WIARA

32 Dym demonów
PIOTR SIKORA

36 Bezbronne
ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI: *W niemieckim Kościele katolickim wzrasta świadomość problemu przemocy wobec dorosłych, zwłaszcza kobiet*

39 Mojżesz, Allah i goście
MARCELINA SZUMER-BRYSZ: *Choć Żydzi w Izmirze od wieków modlili się tuż obok muzułmanów, ich dziedzictwo popadło w zapomnienie. Dziś to się zmienia*

ŚWIAT

42 Talibowie z afgańskiego Guantanamo
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z BAGRAMU

TEMAT TYGODNIKA

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER // MONTAŻ TP-ONLINE

13 Inflacja. Jest się czego bać
KAROLINA LEWICKA
Elektorat PiS jest w stanie wybaczyć zamach na sądy, ale może nie zdzierżyć podwyżek cen. Rządzących czeka konfrontacja z milionami, które nie chcą rezygnować z rozbudzonych aspiracji.

16 To się zawsze niewinnie zaczyna
ROZMOWA Z DR. WOJCIECHEM PACZOSEM, EKONOMISTĄ:
Każdy rząd, który dla doraźnych korzyści popuszcza wodze inflacji, powinien się liczyć z tym, że szybko straci nad nią kontrolę.

FELIETONY

31 JACEK PODSIADŁO **41** WOJCIECH BONOWICZ
62 HANNA KRALL **76** JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

FOTO NA OKŁADCE:
JACEK DOMIŃSKI / REPORTER // MONTAŻ TP-ONLINE

Redaktor prowadzący:
MACIEJ MÜLLER

47 Niezbyt rozumne głosowanie
ANNA ŁABUSZEWSKA *o spektaklu putinizmu, czyli co wynika z zakończonych niedawno wyborów do rosyjskiej Dumy Państwowej*

50 Szeryf na salonach
PIOTR OLEKSY: *Czy Naddniestrze, separatystyczne parapaństwo istniejące od 30 lat, wchodzi do Europy?*

52 Dziewczyny z TikToka
SARA NOWACKA: *Wyroki dla młodych Egipcjanek to drastyczny przejaw cenzury internetu w świecie arabskim*

HISTORIA

54 Ostatni taki śpiew
DOMA MATEJKO *o odchodzącym do historii argentyńskim tangu śpiewanym*

NAUKA

58 Gwiazdka z nieba
ANNA ŁOSIAK

KULTURA

64 Atak serca
ROZMOWA Z JELENĄ KOSTIUCZENKO

68 Był sobie rząd dusz
WOJCIECH ENKELKING: *Oto portret środowiska, które długo panowało nad globalnym dyskursem*

72 Polskie strachy, polskie ślady
ANITA PIOTROWSKA *o festiwalu filmowym w Gdyni*

76 Malarstwo, białoruskość i ptaki
LEKTOR *o rozmowie Małgorzaty Czyńskiej z Leonem Tarasewiczem*

ZMYSŁY

78 Wieści z kanciastej krainy
ADAŚ I MARCIN NAPIÓRKOWSCY *grają w „Minecrafta”*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Rosyjska ruletka
Europejski Trybunał Praw Człowieka orzekł, że Rosja ponosi odpowiedzialność za zamordowanie byłego funkcjonariusza FSB Aleksandra Litwinienki – pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA**
w serwisie **tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka**

Strona świata
Ćwierć wieku temu rwandyjski hotelarz uratował ponad tysiąc ludzi przed mordem. Teraz skazano go na 25 lat więzienia za udział w spisku mającym umożliwić ludobójcom powrót do władzy.
WOJCIECH JAGIELSKI na **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

ZWYCIĘZCĘ DOPIERO POZNAMY

Następcą Angeli Merkel będzie ten, kto utworzy koalicję trzech zróżnicowanych obozów politycznych. Nie jest oczywiste, że będzie to Olaf Scholz.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Socjaldemokraci uzyskali najwięcej głosów w wyborach do Bundestagu (25,7 proc.). W niedzielny wieczór w berlińskiej centrali SPD wybuchła euforia. – Atmosfera jest fantastyczna – relacjonowała „Tygodnikowi" Klara Geywitz, członkini zarządu partii. – To pierwszy taki sukces od długiego czasu. Przypomina mi się rok 1998, gdy też wygraliśmy.

Wtedy kanclerzem został Gerhard Schröder. Ale później – po tym, jak w 2005 r. Angela Merkel pokonała Schrödera – dla SPD istotnie nastały lata chude, partia była w ciągłym kryzysie. Jeszcze na początku tego roku mogła liczyć tylko na kilkanaście procent poparcia. Dzisiejszy sukces to zasługa jej kandydata na kanclerza. 63-letni Olaf Scholz, minister finansów w rządzie Merkel, bardzo przypomina odchodzącą kanclerz. Jako doświadczony pragmatyk wstrzelił się w oczekiwania Niemców.

Trudno jednak byłoby stwierdzić, że SPD już wygrała, jeśli kryterium zwycięstwa ma być to, kto zostanie kanclerzem. Wyniki nie przesądzają, że Scholz przejmie schedę po Merkel. Następcą będzie ten, kto przekona do siebie Zielonych i liberałów z FDP. Przyszła koalicja – o ile nie ma być powtórką Wielkiej Koalicji chadeków i socjaldemokratów (a tego nikt nie chce) – musi składać się bowiem z trzech frakcji parlamentarnych, a nie jak dotąd z dwóch.

Kandydat SPD na kanclerza Olaf Scholz i liderki tej partii w Berlinie Franziska Giffey (z lewej) oraz w Meklemburgii Manuela Schwesig; w niedzielę w obu tych landach odbyły się też wybory regionalne, które wygrała SPD. Berlin, 27 września 2021 r.

A tym kimś, komu ta sztuka się uda, może być również lider chadeków Armin Laschet – choć jego formacja uzyskała najgorszy wynik w swej historii. Chadecja zdobyła 24,1 proc. głosów, prawie 9 punktów procentowych mniej niż cztery lata temu, i musi pożegnać się z powojennym porządkiem, w którym rozdawała karty w polityce. Kiepski prognostyk dla jej przyszłości to także fakt, iż otrzymała głosy głównie ludzi starszych i spoza dużych miast. Mimo tak fatalnego wyniku Laschet zapowiedział, że jest gotów podjąć rozmowy z Zielonymi i liberałami, jeśli Scholzowi się nie powiedzie. – Oni nie odpuszczą, będą sondować i przekonywać te same partie, co i my, do zawiązania koalicji – Klara Geywitz przewidywała na gorąco rozwój wydarzeń. – Czekają nas długie negocjacje.

Wygląda na to, że „koronacji" przyszłego kanclerza dokonają więc Zieloni i FDP. Ci pierwsi uzyskali 14,8 proc. (to najlepszy wynik w ich historii, choć poniżej oczekiwań – jeszcze pół roku temu liczyli na zwycięstwo). Ci drudzy, skupiający się na liberalnej agendzie gospodarczej, uzyskali 11,5 proc. głosów. Pozornie obie partie bardzo się różnią, ale łączy je fakt, że od lat zbliżały się ku politycznemu centrum. W obu wyczuwalny jest też wielki apetyt na rządzenie. Ich politycy zapowiedzieli już, że najpierw chcą przedyskutować możliwe scenariusze we własnym gronie. Potwierdza to opinię, że na koniec to mniejsi koalicjanci zdecydują, czy wolą rządzić z Scholzem, czy z chadekami.

Klara Geywitz od lat działa na rzecz stosunków polsko-niemieckich. Po ogłoszeniu wyniku wyborów unikała jasnej odpowiedzi, co ewentualne przejęcie władzy przez SPD może oznaczać dla Polski. – W tym momencie najważniejsze, także dla polityki europejskiej, jest utworzenie stabilnego rządu. Na pewno będziemy chcieli wzmacniać UE – mówiła.

Olaf Scholz w trakcie kampanii twierdził, że jako kanclerz będzie chciał postawić na ścisłą współpracę Berlina z Paryżem. Może to oznaczać dalsze integrowanie strefy euro i próbę zmiany sposobu podejmowania decyzji w Unii, z jednomyślności na większość kwalifikowaną. To problematyczne plany z perspektywy Warszawy, skoro rząd PiS jest przeciwny pogłębianiu unijnej integracji. ©

FOCKE STRANGMANN / EPA / PAP

Europa broni się przed drożejącą energią

MAREK RABIJ

Rządy kolejnych europejskich krajów przygotowują rozwiązania, które mają złagodzić konsumentom skutki gwałtownych podwyżek cen prądu. Jesień przyniosła kumulację kilku czynników odpowiedzialnych za drożyznę na rynku energii: znacznego skoku zapotrzebowania na prąd za sprawą odbicia w gospodarce, drogiego gazu z Rosji i przerw w dostawach płynnego gazu LNG, który wykupują Chiny. I wreszcie – zadyszki OZE, które o tej porze roku tracą wydajność. W obliczu nadchodzącej zimy ceny energii stały się tematem społecznie i politycznie niebezpiecznym. Milionom Europejczyków realnie zagraża wykluczenie energetyczne.

W Grecji, której rząd mówi już otwarcie o „międzynarodowym kryzysie", ruszą niebawem bezpośrednie dopłaty do energii elektrycznej. Każde gospodarstwo domowe do końca roku (program może zostać przedłużony po ocenie jego efektów) otrzyma co miesiąc 9 euro dopłaty do rachunku za prąd. Subsydiować opłaty za energię zamierza również Francja – choć tylko rodzinom o dochodach nieprzekraczających 10,7 tys. euro rocznie na członka. Jednorazowa dopłata w sezonie zimowym, w zależności od dochodów, wyniesie tu od 48 do 277 euro. Inną metodę obrały Włochy, gdzie rząd zapowiedział dopłaty do kosztów systemowych ponoszonych przez producentów energii; bez tego rozwiązania ceny prądu już w październiku mogą wzrosnąć nawet o 40 proc. W podobnym kierunku zmierza Hiszpania: akcyza na prąd spadnie tu z 5,1 do 0,5 proc., a budżet centralny zrekompensuje samorządom spadek dochodów z tego tytułu. Taryfy za gaz dla gospodarstw domowych wzrosną tylko o 4,4 proc. Dostawcy chcieli tymczasem podwyżki aż o 28 proc.

Warszawa na razie milczy w tej sprawie – jeśli nie liczyć zapowiedzi kuriozalnej kampanii informacyjnej, która miałaby tłumaczyć odbiorcom nieuchronność podwyżek. „Rząd nie powstrzyma podwyżek cen prądu, bo to nie on decyduje o ich wysokości" – mówił na początku września w RMF FM premier Mateusz Morawiecki, co można odczytać jako zapowiedź przyszłych decyzji Urzędu Regulacji Energetyki, który zatwierdza taryfy dla klientów indywidualnych. Podwyżki rzędu 10-15 proc. wydają się niemal pewne, choć wiadomo, że producenci chcieliby więcej. Kilka dni temu prezes Enei zdradził, że jego spółka rozważa podniesienie ceny aż o 40 proc. – co przełożyłoby się na wzrost wysokości przeciętnego rachunku o jakieś 470 zł rocznie. ©℗

Jak zachęcić do szczepienia

PRAWO DO ZASIŁKU podczas kwarantanny stracą niezaszczepieni przeciw COVID-19. Nie, nie w Polsce – w Niemczech. Niemcy, których poziom zaszczepienia minimum jedną dawką utrzymuje się na poziomie unijnej średniej (dwie trzecie populacji), z zazdrością spoglądają na Hiszpanię (80 proc.), nie mówiąc o Portugalii (88 proc.). I szukają sposobu na przekonanie opornych do zmiany zdania.

Tymczasem w Polsce (52 proc.) rząd zdaje się postępować zgodnie z maksymą, że nikt nie będzie nam w obcych językach mówić, co mamy robić. Przykłady Francji czy Włoch – gdzie wprowadzenie certyfikatów covidowych na użytek wewnętrzny oraz odpłatności za testy wykonywane na użytek tychże certyfikatów popchnęły miliony obywateli do przyjęcia szczepionek – nie wydają się dla polityków inspirujące. PiS szuka trzeciej drogi – jak zwiększyć poziom zaszczepienia, nie narażając się sporej części własnego elektoratu.

Szpitale zapełniają się pacjentami covidowymi, przede wszystkim niezaszczepionymi. Rosną liczby w codziennych raportach – i to przy karykaturalnie niskiej liczbie testów. Polska w zestawieniu państw (dane za worldometers.info) zajmuje 99. miejsce pod względem liczby wykonywanych testów w przeliczeniu na milion mieszkańców, między Armenią i Kazachstanem a Peru, Argentyną i Gabonem. Eksperci obawiają się, że choć deklarowana moc laboratoriów zbliża się do 200 tys. testów dziennie (obecnie wykonujemy ich 35-40 tys.), to gdy fala zakażeń radykalnie wzrośnie, negatywnie zweryfikuje tę papierową moc. A to będzie oznaczało ponowną utratę kontroli nad pandemią, skąd już tylko krok do lockdownu. Być może, jak obiecuje rząd, lockdownów lokalnych, ale w tej chwili żaden negatywny scenariusz nie wydaje się niemożliwy.

© MAŁGORZATA SOLECKA

Absurdolex TVN

MAREK KĘSKRAWIEC

Konia z rzędem temu, kto jest w stanie dociec, jaką logikę przyjął PiS w konflikcie z TVN. Podporządkowana władzy Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji jedną ręką podpisała w końcu przedłużenie koncesji dla TVN24, ale drugą wysmażyła uchwałę, w której deprecjonuje własną decyzję. Wzywa w niej bowiem stację do usunięcia naruszeń ustawy i zapowiada wystąpienie do najwyższych władz, by te poprzez Trybunał Konstytucyjny sprawdziły zgodność obecnych przepisów z konstytucją. Dziś jest tak, że ustawa w zasadzie zakazuje przyznawania koncesji podmiotom spoza Europejskiego Obszaru Gospodarczego. Wystarczy jednak zarejestrować spółkę-córkę na terenie Europy i poprzez nią można uzyskać koncesję. Tak uczynił należący do Amerykanów TVN, zakładając firmę na lotnisku w Amsterdamie. KRRiT chce, by powstały przepisy zabraniające takich manewrów.

Kłopot w tym, że rada zachowuje się tak, jakby nie zdawała sobie sprawy, że w parlamencie prowadzone są prace nad specustawą, która zajmuje się dokładnie tymi kwestiami. Trudno uwierzyć w tę niewiedzę. Należy raczej podejrzewać, że Jarosław Kaczyński zwątpił, iż po odrzuceniu projektu „lex TVN" w Senacie uzbiera bezwzględną większość w Sejmie. Tym bardziej że prezydent Andrzej Duda wyraźnie zasugerował, że i tak ustawy nie podpisze, bo nie w smak mu konflikt z USA.

Być może więc lider PiS uznał, że nie da dziś rady TVN-owi, ale będzie go miesiącami straszył (np. Trybunałem) i utrzymywał w niepewności co do przedłużenia koncesji naziemnym kanałom: TVN, TVN7 i TTV. To one przynoszą miliony z reklam i to one utrzymują informacyjny kanał TVN24. Kaczyński będzie więc nękał właścicieli koncernu, licząc, że w końcu się zmęczą i sprzedadzą swój interes komuś, kto postawi tylko na rozrywkę i nie będzie chciał angażować się w politykę. ©

KRAJ W SKRÓCIE

IMPREZA
Widzieliśmy najlepsze umysły naszego pokolenia przez tydzień dyskutujące o 50. urodzinach Roberta Mazurka. Efektem imprezy, która zgromadziła polityków, dziennikarzy i ludzi kultury, była okładka tabloidu, słusznie krytykującego posłów za absencję w obradach Sejmu, kary dla działaczy PO i ich samokrytyki oraz wodolejstwo na portalach społecznościowych.

KAC
À propos wodolejstwa: uczestniczący w sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ Andrzej Duda nie zdołał spotkać się z żadnym ze znaczących światowych przywódców. „Bardzo mocno postawiliśmy na budowanie Polski w przestrzeni międzynarodowej – powiedział prezydent w wywiadzie dla TVP Info. – Nie na zasadzie, że będziemy się podlizywali innym krajom i będziemy grzeczni jak pudelek". Zdaniem polskiej głowy państwa, UE „w tej chwili jest opresyjna, szkodzi obywatelom, została zdominowana przez ideologię".

OTRZEŹWIENIE
W podobnym tonie brzmią wypowiedzi Zbigniewa Ziobry. „To są bardzo złe decyzje, bo one zachęcają tych agresorów, którzy nas szantażują – kiedyś to było czołgami, teraz pieniędzmi", powiedział w rozmowie z Polsatem o postawie samorządów, trzeźwo wycofujących się z uchwał przeciwko rzekomej „ideologii LGBT".

RDC POLSKIE RADIO

ANNA ŁOSIAK opowie Grzegorzowi Chlaście o zastosowaniach meteorytów (tekst na s. 58). Słuchaj w środę 29 września o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie – www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie

Stałe oprocentowanie? Zapomnij, Polaku!

CZY KUPUJĄC mieszkanie na kredyt można ograniczyć ryzyko związane ze wzrostem kosztów po podwyżkach – obecnie rekordowo niskich – stóp procentowych? Mieszkaniowa gorączka, która utrzymuje się mimo wysokich cen (tylko w lipcu banki udzieliły kredytów hipotecznych na 8,1 mld zł), rodzi coraz większe obawy, że część kredytobiorców wpadnie w pułapkę niskich stóp, jak wcześniej frankowicze, zwabieni ceną szwajcarskiej waluty. Dlatego Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów apeluje, by kupujący mieszkania na kredyt pytali w bankach o oferty ze stałym oprocentowaniem, droższe, ale bezpieczniejsze. Podobną prośbę wystosował też prezes Polskiego Funduszu Rozwoju Paweł Borys.

Szkopuł w tym, że – jak zauważa sam UOKiK – banki w Polsce nie udzielają kredytów o stałym oprocentowaniu przez cały okres umowy. Nieliczne oferty gwarantują je przez 2-5 pierwszych lat, co w przypadku kredytów hipotecznych, zaciąganych zwykle na co najmniej dekadę, i tak naraża klienta na ryzyko zmiennej stopy.

Pod tym względem Polska stanowi ewenement w Europie. W Niemczech i Holandii oferty ze stałą stopą przynajmniej przez co najmniej kilka pierwszych lat trwania umowy stanowią niemal 80 proc. całej akcji kredytowej banków. W Czechach – 47 proc. Na Węgrzech – 72. W Belgii – ponad 90 proc. Wiele czynnych hipotek we Francji i w Niemczech – pomimo bardzo niskich stóp procentowych w strefie euro, utrzymujących się od ponad dekady – dotyczy umów o stałym oprocentowaniu przez cały okres kredytowania.

©℗ MAREK RABIJ

Powietrze nam ucieka

ŚWIATOWA ORGANIZACJA ZDROWIA zaostrza standardy jakości powietrza. To pierwsza taka aktualizacja od 2005 r. WHO przekonuje, że „przybyło dowodów pokazujących, jak zanieczyszczenie powietrza wpływa na różne aspekty naszego zdrowia".

Według nowych danych roczne stężenie PM2,5 nie może przekraczać 5 ²g/m³, a dobowe 15 ²g/m³ (wcześniej odpowiednio: 10 i 25 ²g/m³). Największe zmiany dotyczą limitów dwutlenku azotu. WHO wprowadziło dobową normę NO2 (25 ²g/m³) i czterokrotnie zmniejszyło dopuszczalne stężenie roczne (z 40 do 10 ²g/m³).

Polskie powietrze na tle nowych norm wypada fatalnie. W 2020 r. z 9 małopolskich stacji mierzących PM2,5 nowych (ani zresztą starych) norm nie spełniała żadna. Najlepszy wynik, 18 ²g/m³ średniej rocznej w Tarnowie, to ponad 3-krotnie więcej, niż zaleca WHO. Z trzynastu pomiarów NO2 nowe limity spełniał jeden. W całej Polsce w nowych rocznych standardach zmieściłoby się mniej niż 20 proc. stacji.

Normy nie mają wpływu na prawo poszczególnych państw. Ale nie słuchając rekomendacji, „władze świadomie decydują się na akceptację zwiększonego ryzyka", jak powiedział dr Maciej Krzyżanowski, członek zespołu, który przygotował nowe zalecenia. ©℗ KRZYSZTOF STORY

PAUL RATJE / AFP / EAST NEWS

BURZLIWE REAKCJE W USA nastąpiły po publikacji zdjęć, na których konni strażnicy zatrzymują Haitańczyków przechodzących nielegalnie z Meksyku do Teksasu. Kilkanaście tysięcy z nich rozbiło dzikie obozowisko w mieście Del Rio, licząc na azyl. Administracja Bidena przypomina, że niedawne rozporządzenie o udzieleniu ochrony Haitańczykom żyjącym nielegalnie w USA dotyczy tych, którzy już tu są, nowi przybysze zaś będą z reguły deportowani bez możliwości złożenia wniosku o azyl. Presja migracyjna rośnie: w lipcu i sierpniu odnotowano 421 tys. prób nielegalnego przejścia z Meksyku do USA; ogromną większość migrantów zawrócono (pozwala na to przepis z czasów Trumpa, podtrzymany przez Bidena). Obecnego prezydenta krytykują Republikanie (zarzucają mu miękkość) i część Demokratów (za, ich zdaniem, zbytnią twardość). Władze badają postępowanie strażników z Del Rio. ©℗ WP

Sprawiedliwość nierychliwa, ale skuteczna

ANNA ŁABUSZEWSKA

Europejski Trybunał Praw Człowieka orzekł, że Rosja ponosi odpowiedzialność za zamordowanie w 2006 r. na terenie Wielkiej Brytanii byłego funkcjonariusza FSB Aleksandra Litwinienki. Sędziowie stwierdzili, że dwaj zabójcy, Rosjanie, działali jako agenci Kremla.

Stroną skarżącą była wdowa, Marina. ETPC rozpatrzył materiały brytyjskiego śledztwa, w którym ustalono, że byłego oficera rosyjskich tajnych służb i następnie krytyka Putina otruto izotopem polonu. Trybunał nie stwierdził, kto wydawał polecenia zabójcom, ale podkreślił, że bez zezwolenia wysokich czynników we władzach nie mogliby dotrzeć do radioaktywnego polonu. ETPC postanowił też, że Rosja ma wypłacić wdowie 100 tys. euro rekompensaty. Rosyjskie reakcje były standardowe: wyrok uznano za polityczny i rusofobiczny.

Zabójstwo Litwinienki, który na oczach świata konał w męczarniach w szpitalu, miało pokazać przeciwnikom putinizmu na całym globie: dopadniemy każdego, kto nam zagraża. Potem, po 2006 r., rosyjskie służby brały na cel kolejne osoby. Był wśród nich eksagent GRU Siergiej Skripal i jego córka Julia, których próbowano otruć w 2018 r. w brytyjskim Salisbury. Akurat tego dnia, gdy ETPC ogłosił wyrok, brytyjska policja opublikowała kolejne wyniki śledztwa w sprawie Skripalów. Ustalono personalia trzeciego uczestnika zamachu: działaniami dwóch agentów GRU dowodził generał Denis Siergiejew (także z GRU), który w tym celu przybył do Wielkiej Brytanii.

Młyny sprawiedliwości mielą wprawdzie długo, ale – jak widać – skutecznie. ©

O wyborach w Rosji piszemy w dziale Świat, a więcej o sprawach Litwinienki i Skripalów można przeczytać na stronie „TP” w cyklu „Rosyjska ruletka”.

Epilog „Hotelu Rwanda”

ĆWIERĆ WIEKU TEMU hotelarz Paul Rusesabagina uratował ponad tysiąc ludzi z ludobójczych mordów. Teraz został skazany na ćwierćwiecze więzienia za udział w spisku, mającym umożliwić ówczesnym ludobójcom powrót do władzy w Rwandzie.

Wtedy, wiosną 1994 r., 67-letni dziś Rusesabagina – pół-Hutu i pół-Tutsi, ale uznawany oficjalnie za Hutu – przekupując pieniędzmi i alkoholem bojówkarzy Hutu otaczających jego najlepszy w kraju Hotel Tysiąca Wzgórz, a także interweniując u szefów ludobójców (niedawnych bywalców hotelu) ocalił wszystkich uciekinierów, którzy się w nim schronili. Potem, już po wojnie – przerwanej latem 1994 r. przez partyzantów Tutsi, którzy pokonali ludobójczą armię Hutu i przejęli władzę w stołecznym Kigali – Rusesabagina wyjechał z Rwandy do Belgii. Bał się, że nowi władcy, wywodzący się niemal w komplecie spośród Tutsich, będą mieć mu za złe niedawne znajomości z przywódcami Hutu.

Losy Rusesabaginy i jego hotelu, opisane przez amerykańskiego dziennikarza Philipa Gourevitcha, posłużyły za inspirację dla nakręconego w Hollywood filmu „Hotel Rwanda” (2004). Film przyniósł Rusesabaginie światową sławę i zaszczyty, prezydent USA wręczył mu Medal Wolności.

Kłopoty zaczęły się, gdy pozostając na wygnaniu w Belgii, a potem w USA, Rusesabagina wdał się w politykę i przystał do polityków Hutu, marzących o odzyskaniu władzy w Kigali. Rozczarowany rządami niegdysiejszego przywódcy partyzantów Tutsich, a dziś panującego wciąż prezydenta Paula Kagamego, zaczął oskarżać go o tyranię i dokonanie drugiego, odwetowego ludobójstwa, tym razem na Hutu. Rusesabagina założył własną partię, a wykorzystując swoją sławę, zbierał pieniądze na partyzanckie wojsko.

Kagame, rządzący po dyktatorsku i niecierpiący żadnej opozycji ani nawet krytyki, postanowił przykładnie ukarać bohatera „Hotelu Rwanda”. Latem 2020 r. dawny hotelarz wpadł w pułapkę zastawioną przez tajną policję Kagamego: wyruszył w podróż w przekonaniu, że jej celem będzie Burundi. Jednak samolot, do którego wsiadł w Dubaju, należał do rwandyjskiego wywiadu i wylądował w Kigali, gdzie Rusesabagina trafił do więzienia – i teraz, po półrocznym procesie, został skazany na 25 lat.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

Więcej w serwisie „Strona świata” na stronie internetowej „TP”.

EWA KUSZ, PSYCHOLOŻKA

Nie widzą krzywdy

ANNA WILK DLA „TP"

ANNA GOC: Na ubiegłotygodniowej konferencji o ochronie małoletnich w Kościołach Europy Środkowo-Wschodniej byli przedstawiciele ponad 20 krajów. Jak tam wygląda sytuacja?

EWA KUSZ: W niektórych krajach – jak Węgry czy Chorwacja – powstają instytucje, które mają szkolić personel, pomagać osobom pokrzywdzonym w zgłaszaniu ich spraw, a także oferować pomoc psychologiczną i prawną.

Na uwagę zasługuje model węgierski: opiera się na interdyscyplinarnych zespołach, które zajmują się przyjmowaniem zgłoszeń i działaniami prewencyjnymi oraz szkoleniowymi w każdej diecezji. Wśród ekspertów jest wielu świeckich psychologów.

Ale są też kraje, w których nie ma zgłoszeń. Tak jest w Estonii, gdzie mieszka ledwie 6 tys. katolików.

A Polska?

Nasza intuicja sprzed ośmiu lat, gdy zaczynaliśmy badać problem, była taka, że jesteśmy jakieś trzydzieści lat za krajami anglosaskimi, które zaczynały ujawniać przypadki wykorzystania seksualnego w Kościele w latach 80. XX wieku.

Można więc powiedzieć, że u nas prawdopodobnie szczyt zgłoszeń właśnie się zaczął.

Zgłoszenia – jak mówią sami skrzywdzeni – są powstrzymywane przez słowa hierarchów, takie jak te abp. Andrzeja Dzięgi, który w ubiegłym tygodniu w czasie Apelu Jasnogórskiego przedstawił zmarłego bp. Edwarda Janiaka, ukaranego przez Watykan za zaniedbania w sprawie przestępstw seksualnych, jako osamotnioną ofiarę internautów.

Takie wypowiedzi pokazują, że są biskupi, ale również niemałe kręgi społeczeństwa, którzy nie uznają wykorzystywania czy w ogóle przemocy jako problemu społecznego, broniąc tych, którzy zawinili.

EWA KUSZ *jest psycholożką, seksuolożką i terapeutką. Wicedyrektorka Centrum Ochrony Dziecka przy krakowskiej Akademii Ignatianum.*

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

SKRUCHA

Kanadyjski episkopat przyznał, że Kościół katolicki był zaangażowany w systemowy proces niszczenia języków, kultury oraz duchowości ludności rdzennej, i za to przeprosił. Biskupi zobowiązali się także do zadośćuczynienia. W latach 1883-1996 z powodu chorób, głodu, zimna i innych przyczyn zmarło co najmniej 4 tys. z ok. 150 tys. indiańskich dzieci odebranych rodzinom i umieszczonych w szkołach z internatem prowadzonych w większości przez Kościół.

ĆWICZENIA

W Krakowie odbył się zorganizowany przez pijarów II Kongres Duchowości Młodych. Poruszano tematy interesujące lub niepokojące tę grupę. Warsztaty „Odrzuceni przez Kościół" poprowadził ks. Jacek Prusak SJ, a „Kościół dla odrzuconych" s. Małgorzata Chmielewska.

OBOWIĄZEK

Od 1 października obywatele, rezydenci, pracownicy i goście Państwa Watykańskiego oraz urzędów Kurii Rzymskiej będą musieli okazywać paszport covidowy. Obowiązek ten nie będzie dotyczyć wiernych przychodzących jedynie na ceremonie religijne lub środowe audiencje generalne. Zarządzenie w tej sprawie wydał przewodniczący Papieskiej Komisji ds. Państwa Watykańskiego kard. Giuseppe Bertello, powołując się na wolę papieża.

AGENZIA SINTESI / ALAMY / BEW

Dramat uchodźców, niepokojąca obojętność

W OSTATNIĄ NIEDZIELĘ Kościół obchodził 107. Światowy Dzień Migranta i Uchodźcy. W Polsce kontekstem tych obchodów jest dramat na granicy z Białorusią. Odniósł się do niego w homilii prymas. „To, że uchodźcy są tak brutalnie wykorzystywani w walce politycznej, nie zwalnia nas i nigdy nie może nas zwolnić z myślenia o nich jako o naszych braciach" – mówił abp Wojciech Polak. O „polityce strachu" mówił w rozmowie z KAI bp Krzysztof Zadarko, odpowiadający w episkopacie za duszpasterstwo migrantów.

Sytuację migrantów w Polsce próbowali naszkicować przedstawiciele Caritas Polska na konferencji 23 września. Jak dowiedział się „Tygodnik", Caritas do tej pory zebrała ponad 2 mln złotych na pomoc dla uchodźców z Afganistanu.

Wciąż jednak bez trudu można wskazać sygnały niepokojącej obojętności. W miejskiej parafii Matki Bożej Saletyńskiej w Krakowie podczas mszy w ostatnią niedzielę nie pojawiło się ani słowo o migrantach czy uchodźcach. Za to wiele mówiono o zagrożeniach płynących ze strony Unii Europejskiej i politycznej lewicy. Żadnego apelu czy informacji o pomocy dla uchodźców nie znajdziemy także na stronie archidiecezji białostockiej, na której terenie rozgrywa się dramat. ©℗ ARTUR SPORNIAK

Ruchy Franciszka

PAPIEŻ DYSCYPLINUJE kolejne ruchy charyzmatyczne – tym razem padło na Comunione e Liberazione, jedną z największych i najważniejszych wspólnot (wydała dwóch kardynałów i kilkunastu biskupów). Po ponad roku oczekiwania na zmianę statutów według zaleceń Watykanu Franciszek odwołał kierownictwo stowarzyszenia Memores Domini, które jest elitą ruchu – członkiem zostaje się po przejściu wszystkich stopni formacji i złożeniu przyrzeczeń czystości, posłuszeństwa i ubóstwa (najbardziej znanymi „memores" są cztery panie opiekujące się papieżem emerytem w klasztorze Mater Ecclesiae w Watykanie).

Nowe wspólnoty świeckich, które były oczkiem w głowie Jana Pawła II (widział w nich ratunek przed stagnacją Kościoła), są dziś na cenzurowanym: Franciszek zarzuca im odejście od charyzmatu, elitaryzm i autoreferencyjność, które prowadzą do sekciarstwa i nadużyć. Kilka zostało rozwiązanych, w innych prowadzone są inspekcje. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

KULTURA W SKRÓCIE

„EUROPA" ODNALEZIONA
Themerson Estate poinformowało o odnalezieniu (przez pracowników Instytutu Pileckiego) i konserwacji powstałego w 1931 r. i zaginionego w czasie II wojny światowej antyfaszystowskiego dzieła filmowego Stefana i Franciszki Themersonów „Europa", opartego na futurystycznym wierszu Anatola Sterna. Zostanie ono zaprezentowane publiczności 6 października podczas 65. Festiwalu Filmowego BFI w Londynie. Polska premiera planowana jest jeszcze w tym roku.

CHOPIN PO PRZERWIE
2 października rozpocznie się XVIII Konkurs Chopinowski, edycja przeniesiona z roku 2020 w związku z pandemią. Występy 87 uczestników zobaczymy m.in. na kanale Instytutu Chopinowskiego na YouTubie i na profilu Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina na Facebooku.

NOWA TRYLOGIA JACKSONA
Twórca „Władcy pierścieni" i dobrze przyjętego, zrobionego z archiwalnych materiałów filmu dokumentalnego o I wojnie światowej „I młodzi pozostaną" Peter Jackson nakręcił trylogię o powstawaniu ostatniego albumu Beatlesów „Let It Be". Oparty na setkach godzin nagrań archiwalnych materiał premierę będzie miał w listopadzie na platformie Disney+.

WZROST CZYTELNICTWA
Według CBOS-u 62 proc. Polek i Polaków lubi czytać. To wzrost o jeden procent w porównaniu z 2011 r.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
PAWEŁ PIENIĄŻEK
będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w audycji „Światopodgląd" w środę o godz. 15
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

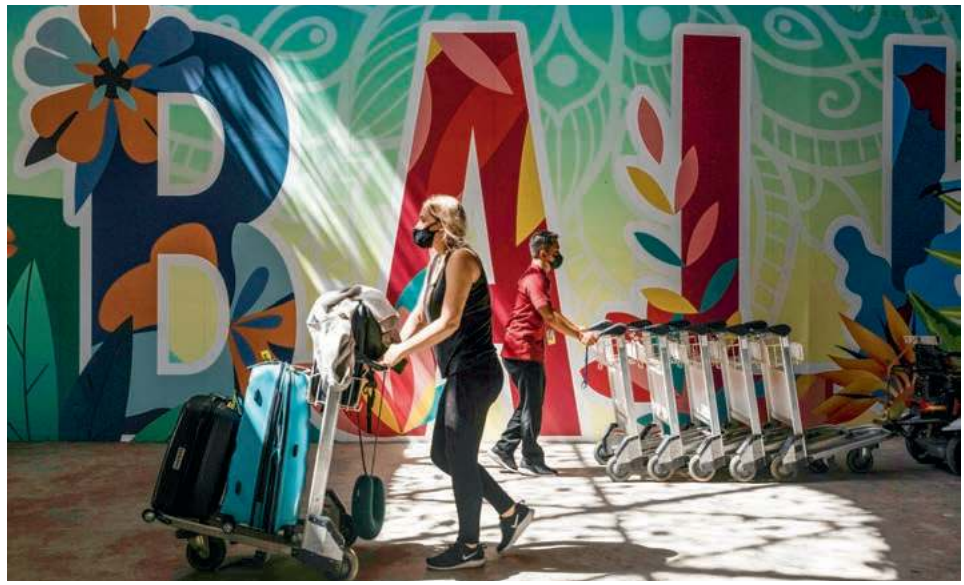

NYIMAS LAULA / REUTERS / FORUM

COVID W PLECAKU. Wyspa Bali otwiera się ponownie na turystów – choć nie wszystkich. Władze Indonezji deklarują, że będą odsyłać tzw. backpackersów, czyli podróżników stawiających na jak najniższe koszty pobytu. „Chwilowo ich tu nie chcemy" – przyznał minister do spraw morskich Luhut Panjaitan i dodał, że backpackersi nie przynoszą gospodarce znaczących wpływów, za to zwiększają ryzyko rozprzestrzenienia wariantu Delta. Poza tym bywają – jak się wyraził – obciążeniem dla miejscowego wymiaru sprawiedliwości. Podobne plany ma także Barcelona. Jak twierdzą hiszpańskie media, władze miasta pracują nad przepisami, które umożliwiłyby pobyt w zatłoczonej stolicy Katalonii jedynie turystom dysponującym co najmniej 700 euro na każdy dzień wizyty. Na zdjęciu lotnisko Ngurah Rai na Bali, lipiec 2021 r. ©℗ MR

Co po sobie zostawili najstarsi Amerykanie

KIEDY ZACZĘŁA się kolonizacja Ameryki? Na pewno pierwsi Amerykanie przybyli z Beringi, niezalanego niegdyś pasa lądu łączącego Azję z Ameryką Północną. Ta droga musiała być zamknięta 19-26 tys. lat temu, gdy epoka lodowcowa znajdowała się w szczytowej fazie. Czy do kolonizacji doszło zatem jeszcze przed jej wystąpieniem czy już po ustaniu? Rok temu zespół Cipriana Ardeleana opisał w „Nature" odnalezienie w jednej z jaskiń w Meksyku 2 tys. kamiennych artefaktów pochodzących sprzed 26 tys. lat. Badacze utrzymywali, że zostały wykonane ręką ludzką – a skoro tak, to już w czasie maksimum ostatniego zlodowacenia Amerykę musieli przemierzać ludzie.

W ostatnim wydaniu „Science" Matthew Bennett i współpracownicy przedstawili bardziej bezpośrednie dowody na poparcie tej tezy. Na dnie byłego jeziora w Parku Narodowym White Sands w Nowym Meksyku odkryto ok. 60 śladów ludzkich stóp, odciśniętych, według badaczy, ok. 21-23 tys. lat temu. Pozostawiła je prawdopodobnie grupa dzieci i nastolatków, którzy mogli w tym miejscu czerpać wodę. Wciąż jednak czekamy na odnalezienie skamieniałości, która reprezentowałaby najstarszą amerykańską populację. ©℗ ŁK

Mrówko, do ataku!

WSPÓŁPRACA MSZYC z mrówkami to jeden z podręcznikowych przykładów symbiozy: mrówki zapewniają mniejszym towarzyszom bezpieczeństwo (odstraszając biedronki), a mszyce odwdzięczają się produkcją spadzi – mrówczego przysmaku. Owadzia utopia? Okazuje się, że ta relacja może mieć ciemne strony, podobnie jak pasożytnicze związki. Obie zaangażowane strony manipulują bowiem partnerami dla zwiększania własnych korzyści.

Zespół Tatsumi Kudo przyjrzał się mrówkom *L. japonicus* i mszycom *M. yomogicola*. Naukowcy ustalili, że w spadzi znajduje się dopamina, która wywiera silny wpływ na zachowanie mrówek. Im jej więcej, tym bardziej agresywnie zachowują się mrówki – częściej reagują na biedronkę i ją atakują. Manipulując składem pokarmu, mszyce mogą zapewniać sobie lepszą ochronę. Wcześniejsze badania wskazywały, że mrówki to także manipulantki. U mszyc występują dwie odmiany – zielona i czerwona. Ta pierwsza więcej zasobów przeznacza na produkcję spadzi, dlatego jest ona faworyzowana przez mrówki – dbają one o to, by zielone mszyce rozmnażały się skuteczniej.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

1
ZŁOTY

TEMAT TYGODNIKA

INFLACJA. JEST SIĘ CZEGO BAĆ

Elektorat PiS jest w stanie wybaczyć zamach na sądy, ale może nie zdzierżyć podwyżek cen. Rządzących czeka konfrontacja z milionami, które nie chcą rezygnować z rozbudzonych aspiracji.

TEKST KAROLINA LEWICKA | ILUSTRACJA LECH MAZURCZYK DLA „TP"

Zapytany w Krynicy o cenę bochenka chleba premier Mateusz Morawiecki odpowiadał przez półtorej minuty. – Staram się robić od czasu do czasu zakupy w sklepie spożywczym, by zobaczyć, jakie są ceny – mówił. – Porównuję je do cen w skupie. Pani mnie pyta o ceny w sklepie, natomiast po drugiej stronie są rolnicy. Rolnicy cieszą się z tego, że rosną ceny pszenicy, kukurydzy, rzepaku, nawet mleko rośnie. W związku z tym jest to miecz obosieczny.

Kwota nie padła, więc ją podajmy: cena chleba w Polsce rośnie i obecnie kosztuje on przeciętnie 3,69 zł. Wkrótce będzie jeszcze gorzej, bo inflacja dopiero się rozpędza. Drożeje wszystko – od żywności po energię – ale rządzący postanowili nie robić z tego problemu. W budżecie przecież na razie wszystko się zgadza: im wyższe ceny, tym większe wpływy do państwowej kasy z VAT-u i akcyzy. „Inflacja to rodzaj podatku, który można nałożyć bez ustawy" – nauczał Milton Friedman, a rząd z tego ochoczo korzysta.

Żadnej reakcji nie należy się spodziewać ze strony NBP. – Nic szczególnego się u nas nie dzieje – stwierdził w połowie września prezes Adam Glapiński, niepomny tego, że cel inflacyjny banku centralnego to raptem 2,5 proc. A obecnie jest to – wedle danych GUS za sierpień – 5,5 proc., co czyni nas, *ex aequo* z Litwą i Estonią, niechlubnymi liderami w UE. Mimo kiepskich danych nie zanosi się jednak na podwyżkę stóp procentowych, czego domaga się wielu polskich ekonomistów. Aktualną strategią obozu władzy stało się bagatelizowanie zjawiska inflacji lub przedstawianie jej wręcz w korzystnym świetle. Celuje w tym zwłaszcza szef rządu, który wprawdzie przyznał ostatnio, że „sytuacja jest niefortunna", ale jednocześnie przekonywał, że i tak w naszych kieszeniach zostaje więcej pieniędzy, bo w Polsce rosną pensje, kompensując podwyżki cen. Z kolei wiceminister finansów Piotr Patkowski uspokaja, że „podwyższona inflacja pojawia się tam, gdzie jest dość dynamiczny wzrost gospodarczy", a prezes kontrolowanego przez państwo Banku Pekao, Leszek Skiba, łączy ją z „ożywieniem na rynku pracy". Taka narracja może zapewnić rządzącym społeczny spokój, ale jedynie na krótką metę.

Nie uciekniesz od rachunków

– Polacy już zauważyli, że jest drożej, ale jeszcze nie szukają winnych tego stanu rzeczy – mówi mi senator PiS Jan Maria Jackowski. Jego zdaniem może się to zmienić w ciągu kilku miesięcy, gdy coraz dotkliwsze będą te rachunki, przed którymi nie ma ucieczki: za prąd, gaz, ciepło, wodę czy śmieci. – W moim ciechanowskim okręgu ludzie bardzo też narzekają na wzrost cen paliw i materiałów budowlanych, bo na wsi każdy coś buduje lub remontuje – twierdzi senator.

Na razie badania pokazują, że inflacja to największy powód do niepokoju dla wyborców Lewicy, Polski 2050 i Konfederacji. To oni zauważają, że obniża się im standard życia, że za te same pieniądze mogą kupić coraz mniej. Głosujący na PiS na razie się nie skarżą, bo musieliby krytykować formację, z którą się silnie utożsamiają, a poza tym wciąż pamiętają o pieniądzach otrzymywanych z rządowych programów społecznych. – Pokerowe „sprawdzam" jest dopiero przed tym rządem – uważa Marcin Duma, prezes Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych. – Jeśli odpowiednio nie zaopiekuje się tym tematem, jeśli zostanie zanegowana obietnica stałego wzrostu, a ludzie przestaną wierzyć, że podwyżki cen to przejściowe turbulencje, dopiero wtedy PiS może odczuć spadki w sondażach.

Na razie władza podjęła decyzję o wzroście minimalnego wynagrodzenia o 210 zł, co oznacza, że od stycznia przyszłego roku osiągnie ono kwotę 3010 zł brutto. Z kolei minister klimatu Michał Kurtyka zapowiedział, że najubożsi Polacy będą mogli liczyć na rekompensaty podwyżek cen prądu. To ruch wyprzedzający, bo firmy energetyczne wkrótce wystąpią do Urzędu Regulacji Energetyki ↦

↦ o zgodę na taką podwyżkę, ceny gazu zaś już od października pójdą w górę po raz trzeci w tym roku, tym razem o ponad 7 proc. W związku z tym premier zapowiedział działania osłonowe, przy okazji zwalając winę za podwyżki na kosztowną, brukselską politykę klimatyczną.

– Ich elektorat może to kupić, zwłaszcza jeśli bębenek podbije TVP Info – uważa wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski z PSL-u, ale jego kolega z Senatu Michał Kamiński twierdzi, że są granice przerzucania winy. – Czy ludzie mają też uwierzyć, że przez złą Unię drożeją jajka? – pyta retorycznie Kamiński. Wicemarszałek Senatu zwraca również uwagę, że obecnie inflacja jest najwyższa od ponad 20 lat, co u starszego pokolenia może wywołać traumatyczne wspomnienia z czasów szokowej terapii Leszka Balcerowicza. Bo tamte wydarzenia wywarły na ludziach zbliżających się dziś do emerytury niezatarte piętno. Tuż po tym, jak nastał nowy, kapitalistyczny świat, chleb zdrożał o 40 proc., a węgiel o 600 proc.

W lutym 1990 r. uwolnione ceny poszły w górę o ponad tysiąc procent i już wtedy zaczęły się pierwsze protesty oraz strajki. Cztery lata później co piąty Polak deklarował, że pożycza pieniądze na zakup żywności, a trzy czwarte badanych przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych twierdziło, że standard ich życia obniżył się w ciągu ostatnich lat. Większość (86 proc.) obawiała się, że to nie koniec równi pochyłej. Nastroje zaczęły się poprawiać dopiero w połowie lat 90. Niestety, te dzisiejsze są znowu fatalne. Jak wynika z wrześniowego badania Kantar Public, dla 56 proc. z nas sprawy w kraju idą w złym kierunku, a 60 proc. uważa, że gospodarka jest w kryzysie. Co trzeci Polak przewiduje, że w ciągu następnych trzech lat jego sytuacja materialna się pogorszy.

Już nie będzie lepiej

– To sytuacja niezwykle groźna dla rządzących – twierdzi prof. Andrzej Rychard z Polskiej Akademii Nauk oraz Fundacji Batorego. – Od amerykańskiego socjologa Seymoura Martina Lipseta wiemy, że systemy, które budują swoją legitymizację w społeczeństwie głównie na podstawie sukcesu gospodarczego, w przypadku kryzysu ekonomicznego mają potężne problemy.

PiS będzie się musiał zmierzyć z dekonstrukcją własnego wizerunku: partii, której rządy gwarantują Polakom dobrobyt, a gospodarce nieprzerwany wzrost. Wyborcy spoza twardego elektoratu wpisali się w zaproponowaną przez Kaczyńskiego politykę transakcyjną, stąd popierają PiS warunkowo. Myślą: „może i z tymi sądami źle się dzieje, ale gospodarka działa i pensja mi rośnie". Czy pozostaną wierni Jarosławowi Kaczyńskiemu, gdy znów nie będą sobie mogli pozwolić na zagraniczne wakacje, na które dopiero co zaczęli znowu jeździć? Tym bardziej że PiS, korzystając z dobrej koniunktury i transferując pieniądze do kieszeni obywateli, faktycznie poprawił ich byt, ale przy okazji obudził też aspiracje. Klasa niższa została przez obecną władzę ośmielona i chce jeszcze więcej, śmiało pretendując do klasy średniej. To bogacenie się zostało wprawdzie zahamowane przez pandemię, ale teraz wirusem, mimo alarmistycznych doniesień o czwartej fali, nikt specjalnie się nie przejmuje. Wróciło normalne życie, a wraz z nim silne oczekiwanie, że znowu wejdziemy na ścieżkę wzrostu. Niezaspokojenie tych apetytów może skutkować rozczarowaniem i frustracją, tym większą, że cały Polski Ład, mający być lokomotywą PiS-u aż do wyborów w 2023 r., został zaprojektowany pod hasłem nieustannego bogacenia się. Polacy są przekonani, iż należy im się takie życie, jak w krajach na zachód i południe od naszych granic. „Chcemy te aspiracje zaspokoić" – obiecywał Kaczyński w połowie maja, podczas oficjalnej prezentacji Polskiego Ładu. Wtórowali mu i szef rządu („Chcemy wypchnąć jak najwięcej osób do klasy średniej"), i marszałek Sejmu Elżbieta Witek („My na polskiej rodzinie oszczędzać nie będziemy").

Polacy są przekonani, że należy im się takie życie, jak na Zachodzie. „Chcemy te aspiracje zaspokoić" – obiecywał Kaczyński w maju podczas oficjalnej prezentacji Polskiego Ładu.

Tymczasem przeciętny Kowalski nie czuje się dziś bogatszy, lecz uboższy. W związku z tym pogarsza się też jego poczucie bezpieczeństwa. Wszak do tej pory wciąż było tylko lepiej, a tu nagle nie dość, że ostre hamowanie, to na dodatek regres.

– Na razie pewnie będą się bronić na dwa sposoby – przewiduje senator Marek Borowski z Koalicji Obywatelskiej. – Po pierwsze, zrzucą część winy na pandemię. Po drugie, wiążą duże nadzieje z pakietem podatkowym. Podwyższenie kwoty wolnej i drugiego progu podatkowego ma uspokoić społeczeństwo, zrekompensować rosnące koszty życia i utrzymania, czyli *de facto* zneutralizować inflację. Czy rządowi ten manewr się uda, zależy trochę od opozycji, dla której drożyzna mogłaby być wysokooktanowym paliwem politycznym.

Jako pierwszy zaczął punktować PiS Donald Tusk, któremu zresztą inflacja mocno przysłużyła się przed przyspieszonymi wyborami parlamentarnymi w 2007 r. (wynosiła wtedy 2,5 proc.). Wówczas, podczas debaty telewizyjnej z Jarosławem Kaczyńskim, lider PO wyprowadził w jego kierunku cios celny i bolesny. Zapytał urzędującego premiera, o ile wzrosły za rządów PiS ceny jabłek, chleba, ziemniaków, gazu i benzyny. Ot, sprytny zabieg socjotechniczny, mający pokazać i drenaż portfeli, i oderwanie szefa rządu od problemów przeciętnych Polaków. Zabieg skuteczny, bo Kaczyński odpowiedzi nie znał, odpowiedzi zatem nie udzielił, podobnie jak pytany teraz o koszt chleba Mateusz Morawiecki.

Pomysł na Polskę wprost z drukarki

Wątek inflacyjny pojawił się u Tuska już na początku lipca, w jego pierwszym przemówieniu po powrocie do krajowej polityki. „Ten pomysł PiS-u na Polskę jest

jak z drukarki, nazywam go 3D: dług, daniny, drożyzna" – mówił wtedy, a podczas podróży po kraju uczynił z inflacji lejtmotyw swoich wystąpień. „Jeśli PiS mówi, że rozdaje pieniądze tym, którzy są w gorszej sytuacji, to jednocześnie zabiera pieniądze tym, którzy są w najcięższej sytuacji. Bo drożyzna tych najbogatszych w ogóle nie interesuje" – przekonywał w sierpniu, na spotkaniu z mieszkańcami Gołdapi. A kiedy prezentował swoje polityczne cele, to „przywrócenie stabilizacji finansowej, tak by Polaków nie zżarła inflacja", umieścił na drugim miejscu, tuż po odbudowie demokratycznych struktur państwa po rządach PiS-u. Drożyzna wybrzmiała też podczas ostatniej Konwencji Krajowej PO w Płońsku. Były premier całował tam bochenek, którym go przywitał burmistrz Andrzej Pietrasik, po czym przypomniał, że chleb – co według niego jest jedną z najbardziej oczywistych konsekwencji rządów PiS-u – w ciągu ostatnich czterech lat zdrożał o 50 proc. „Ludzie boją się takiego syzyfowego losu – mówił Tusk – (...) pracujesz, pracujesz, zarabiasz, zaczynasz coraz lepiej zarabiać, już myślisz, że masz, że osiągnąłeś jakiś poziom, i znowu wszystko obraca się wniwecz, bo jakaś głupia albo paskudna władza wszystko nam rozwala. I znowu od nowa".

Platforma mówi dziś dużo o inflacji, ale badania pokazują, że jej wyborcy nie uważają jej za pierwszorzędny problem, także dlatego, że należą do bardziej zamożnej części społeczeństwa. To, co szczególnie dotyka tę grupę, to przesunięcie granicy społecznej akceptacji dla rosnących nadużyć władzy, rozpad demokratycznych struktur oraz brak perspektyw na zmianę sytuacji politycznej. To ostatnie cechuje zresztą cały elektorat opozycji, od Lewicy po Polskę 2050. Wszyscy oni, na dwa lata przed wyborami, czują się przegrani, już teraz pokonani przez PiS. Brakuje im i liderów, i nadziei.

Inflacją grają też ludowcy i Szymon Hołownia. Władysław Kosiniak-Kamysz wyliczył ostatnio, że w ciągu pięciu lat siła nabywcza programu Rodzina 500 plus spadła do 434 zł, a lider Polski 2050 straszył w nagraniu, że „przed nami bardzo gorąca jesień, podwyżki cen prądu, kredytów, inflacja". Na razie jednak opozycja nie potrafi opowiedzieć o tym zagrożeniu tak sugestywnie, jak PiS w 2005 r., odpowiadając na propozycję PO, by wprowadzić jedną, 15-procentową stawkę podatku VAT na

Przy okazji inflacji rząd musi się zmierzyć z jeszcze dwoma poważnymi wyzwaniami, mającymi charakter naczyń połączonych: presja płacowa i wzrost kosztów energii.

wszystko, także na żywność. Wtedy to w spocie wyborczym PiS-u ujrzeliśmy lodówkę, z której znikały kolejne produkty i ostatecznie zostawało w niej jedynie światło. Nikt też na razie nie wybrał się na zakupy, jak uczynił to Jarosław Kaczyński w kampanii 2011 r., by pokazać, na ile Polacy mogą sobie pozwolić dziś, a ile mogli kupić za tę samą kwotę jeszcze kilka lat temu. Prezes – być może zainspirowany podobnym happeningiem Margaret Thatcher, która w jednej z kampanii zaprezentowała wyborcom dwie siatki, jedną pustawą, symbol rządów laburzystów, i drugą, wypełnioną po brzegi towarem, symbol rządów torysów – kupił wtedy mąkę, cukier, bułki i pierś z kurczaka za 55 zł i przekonywał na konferencji prasowej, że za jego rządów wystarczyłaby na te zakupy mniej niż połowa wydanej kwoty. Domagał się też od Tuska natychmiastowej reakcji. Dziś rządzący udają, że ta sprawa jest poza ich kompetencjami. „To prerogatywa niezależnej instytucji, my się do tego nie mieszamy" – odparował Morawiecki, zapytany o ewentualną podwyżkę stóp procentowych, a prezes Glapiński po prostu obiecał, że w przyszłym roku inflacja wyhamuje do ok. 3,5 proc.

Czeka nas spirala podwyżek

Przy okazji inflacji rząd musi się zmierzyć z jeszcze dwoma poważnymi wyzwaniami, mającymi charakter naczyń połączonych. Po pierwsze – presja płacowa. Podwyżek domaga się środowisko medyczne, pracownicy sądów i prokuratur, policjanci, nauczyciele, pracownicy ZUS-u – dodatkowo ośmieleni lub raczej poirytowani bezprecedensowym wzrostem pensji polityków (od sierpnia posłowie zarabiają o 4 tys. zł więcej, a ministrowie, w tym także premier, o ponad 6 tys. zł). Ich żądania to problem dla państwowej kasy, której stan opisał w jednym z maili wykradzionych ministrowi Michałowi Dworczykowi sam szef rządu: „budżetowo jesteśmy w strukturalnym deficycie i 70 mld pod kreską (...) Komisja Europejska i zagraniczni inwestorzy już nam uważnie patrzą na ręce". Ale mamy i oficjalne dokumenty, choćby raport NIK-u, z którego jasno wynika, że władza zaniża i ukrywa prawdziwą wysokość deficytu i zadłużenia państwa. „Kreatywna księgowość i niska przejrzystość finansów publicznych mogą spowodować poważny kryzys gospodarczy, którego ofiarami będą obywatele" – ostrzegał w Sejmie Marian Banaś, prezes Izby. Ale presja na podwyżkę wynagrodzeń pojawia się i na rynku prywatnym. Jeśli właściciele firm jej ulegają, a w zasadzie nie mają większego wyboru, bo rąk do pracy brakuje, to wzrastają im koszty produkcji towarów czy świadczenia usług.

W kolejnym kroku podnoszą ceny, by tym sposobem samemu nie stracić, tylko przerzucić koszty pracy na konsumentów. A to skutkuje spiralą płacowo-cenową. Właśnie ten mechanizm może też zadziałać w przypadku podniesienia płacy minimalnej od 1 stycznia, choć sam premier Morawiecki uważa, że „brak godziwej płacy minimalnej prowadzi do destabilizacji rynku". Rządzącym, którzy słusznie cieszą się, że poprawią dolę ponad dwóch milionów pracowników, pobierających pensję minimalną, ucieka ciąg dalszy tej historii. Podobnie zresztą jak w przypadku zaplanowanych podwyżek podatków dla przedsiębiorców. „Co się stanie z cenami, jak podniesiecie koszty wytwarzania towarów i dostarczania usług?" – pytała ostatnio retorycznie podczas sejmowej debaty ↦

Izabela Leszczyna z KO. Tyle że tutaj ponownie wkracza na scenę Adam Glapiński, który „nadmiernej presji na płace" nie widzi. – Bank centralny zostanie przez PiS uruchomiony chyba dopiero wtedy, gdy zdecydują się na dodrukowanie pieniędzy – puentuje Piotr Zgorzelski z PSL.

Drugi problem to wzrost kosztów energii, związany z rekordowymi cenami za pakiety emisji CO_2. We wrześniu to już 60 euro za jednostkę (wobec 50 euro jeszcze na początku lata). Enea S.A., by sama wyjść na zero, chce podwyżki cen taryf o 40 proc., co oznacza wzrost realnej ceny prądu, tej widocznej na rachunkach, o 20 proc.

A to jeszcze nie koniec, bo ceny uprawnień nadal będą szły w górę, jako ściśle związane z celami redukcyjnymi emisji dwutlenku węgla UE – o 55 proc. do 2030 r. Polska, która przez ostatnie lata w zasadzie konserwowała energetyczne *status quo*, ponosi teraz finansowe konsekwencje trwania przy węglu. Jak mówiła w Płońsku Izabela Leszczyna: „Zapłacimy za brak rozwoju OZE, za Ostrołękę i Jaworzno". I za skrzydlate słowa prezydenta, bo dla Andrzeja Dudy jeszcze całkiem niedawno górnictwo było fundamentem polskiej gospodarki i gwarancją naszej suwerenności energetycznej. Drogi prąd to wyższe ceny produkcji i pracy. Rosnące ceny prądu, gazu i paliw będą z kolei nadal napędzać inflację, którą – jak wynika z badania dla TVN24 – martwi się już prawie 80 proc. Polaków, a gospodarka, jak wiemy od kanclerza Ludwiga Erharda, w połowie składa się z psychologii.

W kampanii przed wyborami parlamentarnymi w 2019 r. Jarosław Kaczyński obiecywał dalszą budowę „polskiego państwa dobrobytu", co było spójne z odczuciami społecznymi. Gdy zapytamy Polaków, kiedy żyło im się najlepiej w III RP, ponad połowa wskaże okres po 2015 r. Jeśli jednak ich sytuacja materialna trwale się pogorszy na skutek inflacji, mogą być skłonni do ukarania za ten stan rzeczy ludzi sprawujących władzę. Bo obiecali, a nie dotrzymali słowa.

© KAROLINA LEWICKA

Autorka jest dziennikarką radia Tok FM.

To się zawsze niewinnie zaczyna

DR WOJCIECH PACZOS, EKONOMISTA:

Każdy rząd, który dla doraźnych korzyści popuszcza wodze inflacji, powinien się liczyć z tym, że szybko straci nad nią kontrolę. A wtedy wyborcy rozliczą go za recesję, którą w ten sposób wywołał.

MAREK RABIJ: Kiedy rozmawialiśmy w maju, uspokajałeś, że inflacja raczej nie będzie nas długo straszyć.

WOJCIECH PACZOS: Pamiętam. Dziś – zachowując podobną ostrożność w formułowaniu średnio- i długoterminowych prognoz – nie jestem już takim optymistą. Bo przez ten czas ryzyko, że inflacja zostanie z nami dłużej, systematycznie rosło.

Co się stało?

Nic. W tym właśnie problem. Mamy nadal problem z niezależnością i kompetencją władz monetarnych. Narodowy Bank Polski wciąż nie reaguje w sposób adekwatny do powagi sytuacji. Nie ma żadnego planu. Wciąż dostajemy takie same gładkie komunikaty, jakie płynęły z banku rok temu i przed sześcioma miesiącami: poczekajmy jeszcze trzy miesiące, pół roku.

Aż ceny przestaną wariować?

Tak bym tego nie ujął, bo wciąż nam daleko do hiperinflacji – odczyt z sierpnia pokazuje przecież 5,5 proc. Dużo, ale jeszcze do przeżycia.

Ale też poziom widziany w Polsce po raz ostatni w lipcu 2001 r. Mamy w Polsce dorosłych ludzi, którzy nie znają smaku wysokiej inflacji.

Bardziej niepokoi mnie tempo, jakiego nabiera wzrost cen. Kiedy rozmawialiśmy w maju, ryzyko utrwalenia się impulsu inflacyjnego – a mówiąc językiem potocznym: sytuacji, w której ludzie masowo nabierają przekonania, że będzie już tylko drożej, i to winduje ceny jeszcze wyżej – było w mojej ocenie niskie. Teraz to się zaczyna dziać. Przed wakacjami większość prognoz zakładała, że inflacja zacznie wyhamowywać, osiągnąwszy pułap 4,5-5 proc. Ten próg przeskoczyliśmy i boję się, że za chwilę przekroczymy kolejny.

Wśród przedsiębiorców odsetek przekonanych o tym, że ceny będą iść w górę szybciej niż inflacja, sięgnął w czerwcu prawie 55 proc. – i nie był na tak wysokim poziomie w 13-letniej historii tego badania. Praktycznie nikt nie uważa, że ceny spadną, a niewielkiego wzrostu spodziewa się tylko trzy procent ankietowanych. To dosyć niepokojące, bo problem nie dotyczy już kilku branż, oczekiwania inflacyjne puchną w całej gospodarce. Co ciekawe, pesymizmu przedsiębiorców nie podzielają konsumenci. Oni jeszcze w czerwcu oczekiwali jednak wyhamowania.

To chyba dobrze?

Nowe badania pokazują, że właśnie takie rozbieżności w oczekiwaniach pojawiają się regularnie w momencie przejścia od stabilnej do wysokiej inflacji. Ostatnio np. w Turcji. Ludzie z Rady Polityki Pieniężnej powinni o tym wiedzieć. I wyjaśnić, dlaczego uważają, że w Polsce będzie inaczej.

Tymczasem prezes Glapiński zwołuje konferencję prasową, na której z rozbrajającą szczerością ogłasza, że bank nie ma narzędzi do kontrolowania inflacji, bo ma ona charakter podażowy, a nie popytowy. Z Chin nie przyjeżdżają części do rowerów, zerwane zostały łańcuchy dostaw. Nic z tym nie zrobimy, bo ceny w sklepach idą w górę przez drożejące surowce. To na pewno ważny czynnik, ale czy jedyny?

Ceny surowców i materiałów faktycznie idą w górę.

Tylko że chodzi nie o to, że surowce drożeją, lecz o to, dlaczego drożeją. Mamy do czynienia z realizacją odłożonego popytu. Nie tylko w Polsce, bo rzecz się dzieje niemal na całym świecie, do tego na niespotykaną wcześniej skalę. W drugim kwartale tego roku PKB Polski urósł o 10,9 proc. Są to wartości, których w krajach rozwiniętych się nie notuje. Gospodarki odbiły się od dna i nadrabiają zaległości kilkunastu pandemicznych miesięcy.

Masz pretensje, że NBP nie broni gospodarki przed przegrzaniem poprzez podwyżkę stóp procentowych? Innymi słowy – że nie zdejmuje z rynku gotówki, zachęcając ludzi do oszczędzania?

Mam pretensje o to, że bank centralny wciąż nie ma planu, co robić. A czy inflacja rzędu 5,5 proc. sama się wyreguluje? Czy faktycznie ceny surowców to jedyny czynnik, którego wpływ za chwilę minie? Gdyby to był poziom bliżej 4 proc., byłbym bardziej spokojny. Przy 5,5 proc. inflację odczuwa już właściwie każdy. I dlatego potrzebny jest plan ratunkowy.

Wytłumacz.

Zacznijmy od tego, że nie każdy wzrost cen oznacza inflację. Powiedzmy, że właśnie o 10 proc. podrożały śliwki, bo wiosną były przymrozki i drzewa w tym sezonie nie obrodziły. Czy to problem dla gospodarki?

Raczej dla miłośników powideł śliwkowych.

Niekoniecznie. Może się przecież okazać, że w tym samym czasie potanieje cukier i cena powideł się nie zmieni, albo nawet spadnie. Problemy zaczynają się dopiero wtedy, kiedy w tych umownych powidłach, jakie stanowi gospodarka, więcej składników drożeje, niż tanieje. Możesz nie jeść pieczywa, być abstynentem i nie mieć samochodu – wtedy nie obchodzą cię ceny chleba, alkoholi i benzyny. Ale jeśli często podróżujesz, odczujesz te podwyżki i tak – w cenie noclegów hotelowych, które pójdą w górę, bo właściciela hotelu więcej kosztować będą usługi cateringowe, wyposażenie baru i opłaty za dostawy innych produktów.

Gdy GUS podaje, że inflacja w sierpniu wyniosła rok do roku 5,5 proc., oznacza to, że jedne produkty podrożały w tym czasie o 0,5 proc., inne o 5 proc., a jeszcze inne – aż o 15 proc. Nieważne więc, jaki prowadzisz tryb życia – odczujesz ruch cen w górę. I zaczniesz do niego dostosowywać swoje zachowania. Planowałeś np. wymianę auta w przyszłym roku, ale zamówisz je już teraz, z obawy, że później będzie droższe. A ponieważ tak samo postąpi kilkanaście tysięcy klientów, producenci samochodów faktycznie podniosą ceny. To samo zrobią następnie firmy kurierskie, a potem sklepy internetowe, które korzystają z ich usług. I tak dalej.

ARCHIWUM PRYWATNE

DR WOJCIECH PACZOS pracuje na Uniwersytecie w Cardiff. Prowadzi badania długu publicznego i polityki monetarnej. Jest adiunktem w Polskiej Akademii Nauk i założycielem grupy eksperckiej Dobrobyt na Pokolenia.

Czy to ten mechanizm nazywamy pętlą inflacyjną?

Tak, i zwróć uwagę, że dla jego uruchomienia nie ma znaczenia, czy inflacja była popytowa czy podażowa. Bo konsumenci nie mają obowiązku prowadzenia analiz. Wystarczy, że zaczną się spodziewać wysokiej inflacji. Przy jej odczycie na poziomie 5,5 proc. przekonanie, że będzie tylko drożej, staje się już powszechne. Wtedy mamy ryzyko, że zmieni się w rodzaj samospełniającej się przepowiedni. Dlatego gdy słyszę prezesa NBP, który zapewnia, że bank nie musi interweniować, bo drożeje tylko prąd lub tylko pieczywo, zaczynam się zastanawiać, czy prof. Glapiński naprawdę nie rozumie, jak działa ten mechanizm, czy woli udawać, że nie rozumie. Bo to są właśnie te inflacyjne naczynia połączone. Wzrost ceny benzyny w lipcu przekłada się na podwyżki cen pieczywa w sierpniu, a one z kolei skutkują skokiem cen w restauracjach we wrześniu.

A może zachowania NBP powinniśmy interpretować w kontekście słynnej maksymy Miltona Friedmana, że inflacja jest podatkiem, który bardzo łatwo nałożyć. Były wicepremier Jarosław Gowin mówi wprost: 80 mld zł, które rząd nagle „wypracował" dla budżetu, to w rzeczywistości ukryta danina inflacyjna, którą wszyscy zapłaciliśmy na zakupach.

Podatek inflacyjny łatwo nałożyć i bardzo trudno cofnąć. W czasach Friedmana mechanizmy inflacyjne były jeszcze słabo zrozumiane. Łączono wtedy występowanie inflacji tylko z podażą pieniądza, a nie z oczekiwaniami. Teraz np. wiemy, że pozytywne efekty dla budżetu z takiego „podatku" będą występować stosunkowo krótko – dopóki do sytuacji nie dostosują się oczekiwania inflacyjne. Prędzej czy później inwestorzy na rynku kapitałowym zwęszą krew i pomimo niskich stóp procentowych zaczną domagać się od rządu większej rentowności obligacji. Wysoka inflacja uderzy też w siłę nabywczą konsumentów i sprawi, że zaczną kupować mniej, a to przełoży się na spadek dochodów z VAT.

Rząd i NBP mówią tu jednym głosem: mamy wprawdzie skok inflacji, ale jej negatywny wpływ wciąż jest niwelowany przez wzrost płac, który postępuje szybciej. Według GUS średnie wynagrodzenie brutto w lipcu tego roku było wyższe o 8,7 proc. niż rok wcześniej.

Zaczekaj, to ma być argument za lekceważeniem inflacji? Wolałbyś dostać te 8,7 proc. podwyżki przy inflacji na poziomie 5 proc. czy przy 2,5 proc. – kiedy *de facto* dostałbyś więcej o 6,2 proc., a nie 3,2 proc.?

Pytanie brzmi raczej, czy miałbym szanse na jakąkolwiek podwyżkę w warunkach gospodarki schłodzonej wzrostem stóp procentowych? Może tego się boi NBP?

Nie mam pojęcia, czego oni się tam boją, bo nasz bank centralny nie komunikuje rynkowi żadnej strategii. Wiem natomiast, że jeśli zajrzysz do badań, zobaczysz, że w warunkach utrzymującej się długo i do tego wysokiej inflacji większość pracowników traci szanse na jakiekolwiek podwyżki. Pracodawcy na bieżąco śledzą koszty i wiedzą, ↦

↦ że w nieskończoność nie będą mogli przenosić tego wzrostu na klientów. Dzisiaj w Polsce, przy inflacji 5,5 proc., mamy jeszcze lekki wzrost pensji realnych. Z badań wiemy jednak, że powyżej 10 proc. pensje realne już tylko spadają. Chcemy sprawdzać doświadczalnie, co się dzieje w międzyczasie?

Powiedzmy to w takim razie jasno: albo będą podwyżki stóp procentowych, albo recesja?

Wcale nie jestem za tym, żeby bank centralny zaczął interwencję od podwyżki stóp. Wręcz boję się takiego automatyzmu ewentualnej reakcji NBP. Media faktycznie wywierają presję na podwyżki stóp. Nie wiem, czy to przemyślana strategia, czy raczej efekt uproszczonego myślenia o inflacji jako o zjawisku, z którym można sobie łatwo poradzić, wciskając guzik z napisem „stopy procentowe". Obstawiam raczej to drugie. Jeśli jednak Rada ugnie się pod presją i od razu dowali, powiedzmy, podwyżką stóp o 1,5 punktu procentowego, będziemy mieli do czynienia z nieprzyjemnym efektem ubocznym w postaci pogorszenia sytuacji ekonomicznej tysięcy konsumentów, którzy korzystając z niskich stóp zapożyczyli się w bankach aż do granicy wypłacalności.

Tylko w lipcu w Polsce zaciągnięto kredyty hipoteczne na prawie 8,1 mld zł. To rekord wszech czasów, nakręcony przez niskie stopy procentowe. Maciej Samcik z serwisu „Subiektywnie o finansach" przyjrzał się wzorom umów o kredyt hipoteczny w złotych. Okazuje się, że banki opisują w nich ryzyko stopy procentowej niemal tym samym ezopowym językiem, jakim robiły to w umowach frankowych.

Klientów należy za wszelką cenę chronić przed rozmaitymi ryzykami – czy to zmiany kursu walut, czy podwyżki stóp procentowych – a nie pakować w pułapkę i potem oskarżać o nieodpowiedzialność czy hazard. To się opłaca wszystkim, bo jeśli wypłacalność straci 50 tysięcy ludzi, o tyle stopnieje siła nabywcza, która żywi gospodarkę. Dlatego wolałbym, żeby Rada zaczęła od tego, co się umownie nazywa zakręceniem kurka z pieniędzmi – czyli od rozmów z rządem na temat ograniczenia akcji kredytowej dla budżetu, polegającej na skupie obligacji Skarbu Państwa przez NBP. Czyli najpierw plan działania, potem zakończenie skupu obligacji, podwyżki stóp procentowych dopiero na końcu.

Ważne, żeby rynek dostał przy tym czytelny sygnał, że nasz bank centralny realizuje swoją misję – a przypomnijmy, że jego jedynym konstytucyjnym zadaniem jest trzymanie inflacji na wodzy – w pełnej niezależności od rządu. Nie chodzi o to, żeby NBP wojował z rządem, jak zdarzało się w przeszłości. Dziś mamy jednak do czynienia z przegięciem w drugą stronę. Premierowi zdarzyło się wypalić, że jakby coś, to NBP sfinansuje. I owszem, NBP powinien to robić – w czasie zamknięcia gospodarki z powodu pandemii, dla ratowania wypłacalności gospodarstw domowych i firm. Ale nie zawsze, kiedy premier zechce. Tymczasem RPP za bardzo nie oponowała.

Bo jej członkowie boją się, że się im za to oberwie?

Rada Polityki Pieniężnej w założeniu powinna być radą mędrców, złożoną nie tylko z fachowców najwyższej próby, ale też osób o statusie zawodowym i społecznym, który zapewnia im całkowitą odporność na wpływy polityczne.

Zaczynasz fantazjować.

Tak? W Wielkiej Brytanii, gdzie pracuję i mieszkam, do rady zaprasza się np. specjalistów zza granicy. Liczą się kwalifikacje, nie paszport. U nas to nie do pomyślenia. Każdy musi być wykształcony w kraju i najlepiej, żeby był polecony – nawet jeśli jego fachowość budzi wątpliwości. Nie nazywajmy też normalnością sytuacji, w której w RPP można bez trudu wskazać nominatów z nadania politycznego. Ludzi, którzy awans na to prestiżowe i dobrze opłacane stanowiska zawdzięczają nie własnej pracy, lecz koneksjom czy wręcz ślepemu posłuszeństwu.

Członkowie Rady właśnie dostali podwyżkę z 26 do 37 tys. zł miesięcznie.

A potem ci nasi fachowcy zapewniają – jak w lipcu zeszłego roku – że istnieje znaczące ryzyko wystąpienia deflacji. I co się dzieje? Chwilę później inflacja znów idzie w górę. Czy można było to przewidzieć? Tak. Pisaliśmy o tym z dr. Pawłem Bukowskim już w kwietniu. Zapobiec? Wtedy niestety nie. Ale ignorować inflację, gdy nie ma innego wyjścia, to jedno. Co innego twierdzić, że żadnego problemu nie ma, że to tylko ceny prądu albo tylko efekt bazy.

Znów musisz to wyjaśnić.

W wielu krajach na początku pandemii faktycznie mieliśmy deflację. Ceny spadały, bo odcięte od rynku firmy za wszelką cenę próbowały pozbyć się towaru i utrzymać płynność finansową. Tylko że w Polsce tej deflacji nie było. Przez cały okres pandemii inflacja była powyżej celu wynoszącego 2,5 proc. Nie można więc teraz wmawiać opinii publicznej, że inflacja jedynie wydaje się nam wysoka, bo ceny wystrzeliły w górę z bardzo niskiego pułapu. Jest dokładnie na odwrót: ceny rosły, a teraz rosną jeszcze szybciej, tylko NBP po staremu udaje, że tego nie widzi.

Tymczasem takie Węgry, które również zmagają się z wysoką inflacją, od początku roku podnosiły stopy procentowe już cztery razy. Działamy na tym samym wspólnym rynku UE. Geneza problemów w postaci pandemii też jest wspólna. Czy to oznacza, że u nich inflacja ma charakter popytowy i może się utrwalić, a u nas podażowy i na pewno minie? Nie wydaje mi się, ale cieszę się, bo będziemy mieli świetne studium porównawcze.

Europejski Bank Centralny stóp nadal nie rusza. Nie zamierza też dokręcać kurka z pieniędzmi i nie ograniczy skupu obligacji krajów strefy euro.

Ale w strefie euro wskaźniki inflacji dobijają obecnie dopiero do 3 proc., czyli raptem o 1 punkt procentowy ponad cel inflacyjny EBC.

EBC jest ostrożniejszy od NBP?

To nieuprawnione porównanie. EBC ma traumę niskiej inflacji – dziesięć lat poniżej celu, siedem lat ujemnych stóp procentowych. Oni w tej chronicznie niskiej inflacji w ogóle widzą przyczynę wszystkich nieszczęść – powolnego wychodzenia z poprzedniego kryzysu, słabego wzrostu produktywności, wysokiego bezrobocia. Powiedziałbym w uproszczeniu, że oni boją się zerowej inflacji, a mają 3 proc. My natomiast boimy się inflacji powyżej 5 proc. – i mamy inflację powyżej 5 proc. Wydaje mi się, że RPP dostrzega już powagę sytuacji i za chwilę zdecyduje się na interwencję. Boję się tylko, że zrobi to znów bez planu.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Grzech Mojżesza

Mojżesz w łabędzim śpiewie uderza w poetyckie tony. Nim wygłosi pożegnalne błogosławieństwo dla szczepów Izraela, dostaje od Najwyższego instrukcję: ma wspiąć się na szczyt góry Nebo, skąd rozciąga się widok na Ziemię Obiecaną. Tam dokona żywota. „Albowiem z daleka ujrzeć ci ziemię tę, a tam nie wejdziesz, do ziemi, którą oddaję synom Israela" (Pwt 32, 52; Cylkow). Dobrze wiemy, jak bardzo Mojżeszowi zależy, by tam wejść. Na początku tej księgi prosi: „Niechże też przejdę i zobaczę ową ziemię piękną, która za Jardenem" (3, 25). Teraz jednak, gdy padają ostateczne instrukcje, Mojżesz milczy. Nie wytrzymują natomiast rabini i poprzez midrasz wkładają mu w usta takie słowa: „Panie Wszechświata, po tej harówce mówisz mi: »Oto zbliżyły się dni twoje do śmierci«?! (31, 14) »Nie umrę, a będę żył i głosił czyny Pana« (Ps 118, 17)". „Nie możesz – odpowiada mu Najwyższy – »bo na tem polega cały człowiek« (Koh 12, 13)". Wszyscy muszą umrzeć i ty też. Ale dlaczego po tej stronie Jordanu?

Komentatorzy głowią się nad tym od wieków. Trop prowadzi do Księgi Liczb. „I rzekł Wiekuisty do Mojżesza i Ahrona: »Za to, żeście nie zawierzyli Mi, aby uświęcić Mnie w oczach synów Israela, przeto nie zaprowadzicie zgromadzenia tego do ziemi, którą oddaję im!«" (20, 12). Co tam zaszło? W ostatnim roku pustynnej tułaczki umarła Miriam i ludzie nie mieli wody pitnej, gdyż midrasz wiąże zasługi prorokini ze stałą obecnością źródła na pustyni. Spragnieni ludzie zaczęli narzekać i margać. Najwyższy polecił Mojżeszowi, by przemówił do skały, tymczasem ten uderzył w nią dwukrotnie laską. Trysnęła woda, ludzie mają co pić, ale bracia zapłacą za całe zajście niemożnością wejścia do Ziemi Obiecanej.

Dla komentatora wszech czasów sprawa jest prosta: wina Mojżesza polega na tym, że – zamiast do niej przemówić – potraktował skałę lagą. Niektórzy wypowiadają się w podobnym tonie, tylko np. zwracają uwagę, że uderzył dwukrotnie zamiast raz. Druga grupa interpretacji krąży wokół charakterologicznych niedostatków: temperamentność ujawniła się wybuchem złości, przez bezduszność brat zajmował się żałobą po siostrze, gdy powierzeni jego pieczy umierali z pragnienia. Trzecia grupa egzegetów jest zdania, że problem tkwi w sformułowaniu przywódcy: „Posłuchajcież, przekorni, czyż ze skały tej wydobędziem wam wodę?" (Lb 20, 10). To nie bracia, ale Bóg wydobywa wodę ze skały. Forma pytania zdaje się siać wątpliwości odnośnie do Najwyższego. Poza tym nie powinno było paść słowo „przekorni" (tak u Cylkowa, można też np. „buntownicy"). Ostatecznie jednak – słowami jednego z komentatorów – „grzech [Mojżesza] jest jedną z wielkich mistycznych tajemnic Tory". ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Isz i isza

Papież w samolocie odlatującym ze Słowacji odpowiadał na pytania dziennikarzy. Jeden z nich, Gerard O'Connell z „America Magazine", spytał Franciszka, czy jako biskup kiedykolwiek odmówił komuś Eucharystii. „Nie, nigdy nikomu nie odmówiłem Eucharystii, nikomu. Nie wiem, czy przyszedł ktoś, kto był w takiej sytuacji, ale ja nigdy, nigdy nie odmówiłem Eucharystii. I to już jako ksiądz. Nigdy. Ale nigdy nie byłem też świadomy, że mam przed sobą taką osobę, jaką opisujesz, to prawda". Następnie dodał, że „jedyny raz", z tego powodu miał nawet „trochę... czegoś (...) sympatycznego". „Kiedy poszedłem – mówił – odprawić mszę świętą w domu starców. Byliśmy w salonie i zapytałem: »Kto chce przyjąć komunię świętą, niech podniesie rękę«. Wszyscy, starsi ludzie, starsze panie, wszyscy chcieli komunii świętej, a kiedy udzieliłem komunii pewnej pani, wzięła mnie za rękę i powiedziała: »Dziękuję, Ojcze, dziękuję. Jestem Żydówką...«. Powiedziałem: »Nie... Również to, co ci dałem, jest żydowskie... Idź dalej«".

Ta odpowiedź zaniepokoiła stróżów tradycji. Nie dość, że papież dopuścił się świętokradztwa, to jeszcze ten fakt nazwał sympatycznym wydarzeniem. Ale nie widać, żeby Franciszek miał zamiar zmieniać kurs, który obrał jako młody ksiądz. Zatwardziały z niego „grzesznik". Owszem, zatwardziały, ale nie dlatego, że tak mu się podoba. On tylko stara się sprostać Duchowi, który mówi do niego przez tekst żydowskiej i chrześcijańskiej Biblii, przez dzieje Synagogi i Kościoła, przez święte księgi innych religii i przez ateistów, a przede wszystkim przez to, co się dzieje tu i teraz. Słowem „szuka i znajduje Boga we wszystkim". Mógł więc powiedzieć Żydówce: „Idź dalej", gdyż sam idzie jak najdalej – poza wszelkie peryferie. Ale żeby się ustrzec, jak mówi za Apostołem Pawłem Jan od Krzyża, pychy duchowej, religijnej, wie, że musi pamiętać, iż tam „gdzie powołanie, czy to małżeńskie, do celibatu, czy też dziewicze, nie osiąga dojrzałości daru z siebie, zatrzymując się jedynie na logice ofiary, to zamiast stawać się znakiem piękna i radości miłości, może wyrażać nieszczęście, smutek i frustrację". Nic tak nie boli, jak miłość pomylona z egoizmem.

W midraszu o stworzeniu człowieka czytamy, że kobieta została nazwana *isza*, bo została wzięta z *isz* – mężczyzny. Bóg osobiście przyprowadził narzeczoną do Adama. Własnoręcznie zaplótł Chawie włosy i przystroił ozdobami. Aniołowie zeszli do ogrodu Eden, grając dla nich muzykę, a słońce, księżyc i gwiazdy tańczyły. Sam Bóg ustawił chupę (baldachim) i był kantorem, błogosławiąc Adama i Chawę. A więc to miłość jest koniecznym warunkiem zaistnienia małżeństwa – zarówno cywilnego, jak i kościelnego. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Powołany grzesznik

Trwanie oddziela pierwiastek diaboliczny od boskiego.

SIMONE WEIL

Ruch i przemiana odnawiają wszechświat. Więc na tej fali któż będzie czcił coś z tego, co przepływa i na czym nogi oprzeć nie można.

MAREK AURELIUSZ

Wybrał PIOTR SIKORA

„Jezus, wychodząc z Kafarnaum, ujrzał człowieka imieniem Mateusz, siedzącego na komorze celnej, i rzekł do niego: »Pójdź za Mną!«. A on wstał i poszedł za Nim. Gdy Jezus siedział w domu za stołem, przyszło wielu celników i grzeszników i zasiadło wraz z Jezusem i Jego uczniami. Widząc to, faryzeusze mówili do Jego uczniów: »Dlaczego wasz Nauczyciel jada wspólnie z celnikami i grzesznikami?«. On, usłyszawszy to, rzekł: »Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają. Idźcie i starajcie się zrozumieć, co znaczy: Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary. Bo nie przyszedłem, aby powołać sprawiedliwych, ale grzeszników«" (Mt 9, 9-13).

Wszyscy trzej Synoptycy opisują to wydarzenie, ale zapis Mateuszowy – przypomniany niedawno w Liturgii – ma tu znaczenie pierwszorzędne: Mateusz opisuje wydarzenie, którego był głównym bohaterem (ani zaś Marek, ani Łukasz nie byli jego świadkami).

Opis Mateuszowy różni się od dwóch pozostałych szczególnie dwoma szczegółami („okruchami"). Pierwszym z nich jest imię apostoła. Tylko on nazywa siebie w tym wydarzeniu „Mateuszem" – u Marka i u Łukasza pojawia się imię „Lewi".

Wiemy, jak wiele dla biblijnego Żyda znaczy imię: jest wręcz streszczeniem jego tożsamości, nierzadko zapisem misji zleconej przez Boga. Imię „Mateusz" znaczy tyle, co „Dar Boga". Możemy więc pierwsze zdanie naszej perykopy przeczytać w sposób następujący: Jezus, wychodząc z Kafarnaum, ujrzał człowieka imieniem „Dar Boga", siedzącego na komorze celnej...

Zapytajmy, czy ktokolwiek oprócz Jezusa w tym celniku gotów był zobaczyć „Dar Boga"?

Trzy zdania później słyszymy, w jaki sposób widzą go faryzeusze: „Widząc to, faryzeusze" mówili o Mateuszu i jego kolegach: „celnicy i grzesznicy". Dla nich stanowczo był synonimem grzesznika, nieczystym kolaborantem z pogańskim Rzymem. Jezus widział w nim swego ucznia, apostoła, ewangelistę i męczennika. Mateusz zapamiętał ten wzrok!

Zapamiętał również – i znów tylko on – cytat z proroka Ozeasza przywołany przez Pana jako uzasadnienie Jego postępowania – idźcie i starajcie się zrozumieć, co znaczy: „Chcę (dosł.) miłosierdzia, nie ofiary" (Oz 6, 6). To nie jedyne miejsce w Ewangelii Mateusza, w którym Jezus zaleca swoim adwersarzom medytację nad tym zdaniem z Ozeasza – trzy rozdziały dalej ten sam argument pada wobec oskarżenia, iż apostołowie naruszają nakaz spoczynku szabatniego, wykruszając kłosy zboża.

Jezus, siedzący przy stole z celnikami, faktycznie nie może wejść do świątyni i złożyć Bogu ofiary, ponieważ zaciąga rytualną nieczystość. Jednakże Jego wejście do domu Mateusza i wspólnota stołu z nieczystymi celnikami objawia doskonale, kim jest Bóg – miłością miłosierną, bezinteresowną i wierną (hebr. *hesed*). Jest oczywistym, co wybiera Bóg. Ale czy zawsze ludzie pobożni wybierają tak samo? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (3 – 10 X)

27. niedziela zwykła: Rdz 2, 18-24; Ps 128; Hbr 2, 9-11; Mk 10, 2-16;
Poniedziałek: Jon 1, 1 – 2, 1. 11; Ps: Jon 2, 3-5. 8; Łk 10, 25-37;
Wtorek: Jon 3, 1-10; Ps 130; Łk 10, 38-42;
Środa: Jon 4, 1-11; Ps 86; Łk 11, 1-4;
Czwartek: Ml 3, 13-20a; Ps 1; Łk 11, 5-13;
Piątek: Jl 1, 13-15. 2, 1-2; Ps 9; Łk 11, 15-26;
Sobota: Jl 4, 12-21; Ps 97; Łk 11, 27-28;
28. niedziela zwykła: Mdr 7, 7-11; Ps 90; Hbr 4, 12-13; Mk 10, 17-30.

DZIECI JAK ZASÓB RUCHOMY

W podkarpackim Nisku sąd wyrywa nastolatków z rodziny zastępczej. I kieruje ich do domu dziecka. Oto, jak w niejednym powiecie wygląda odmieniana od lat przez wszystkie przypadki deinstytucjonalizacja.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, MICHAŁ JANCZURA

Piotr i Paweł (imiona zmienione), lat 12 i 14, podopieczni rodziny zastępczej. Tę w 2013 r. założyła mieszkanka Niska, Katarzyna. Rodzina żyje pod dachem jej domu, równolegle z drugą, stworzoną przez jej siostrę, Elżbietę (łącznie z Piotrem i Pawłem mają pod opieką siódemkę dzieci).

Półtora miesiąca temu niżańskie Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie wysłało do miejscowego sądu rejonowego wniosek: Piotr i Paweł powinni trafić do zlokalizowanego w Rudniku, a więc na terenie powiatu niżańskiego, domu dziecka prowadzonego przez siostry pallotynki. Gdy niecałe dwa tygodnie temu sąd wydał wyrok zgodny z wnioskiem PCPR, Katarzyna i Elżbieta zaalarmowały działaczki Koalicji na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej. A te poinformowały o sprawie dziennikarzy – równolegle „Tygodnika" i TOK FM.

Jeśli sąd drugiej instancji potwierdzi decyzję pierwszej, chłopcy pójdą do domu dziecka. Mimo że od dawna przebywają w rodzinie. Mimo iż sami mieli deklarować w rozmowie z kuratorem sądowym chęć pozostania w dotychczasowym miejscu. I mimo że państwo polskie od lat deklaruje odwrót od domów dziecka. Właśnie na rzecz rodzin zastępczych.

Więź

Początek tej historii to maj roku 2017. Słoneczny dzień, pod dachem sióstr Katarzyny i Elżbiety zjawia się trójka dzieci: chłopcy w wieku 8 i 10 lat, a także ich 3-letnia, przyrodnia siostra.

– Mieli w plecakach zabawki, żadnych ubrań. Dziewczynka nie potrafiła posługiwać się łyżeczką, przyjechała z butelką ze smoczkiem pełną kaszki dla niemowlaków. Wszystkie dzieci były zaniedbane, także higienicznie – opowiadają siostry Katarzyna i Elżbieta: energiczne, żywiołowe, zmieniające się co i rusz w opiece nad malutkim dzieckiem.

Odsłona druga historii to rok 2019: biologiczna matka traci prawa rodzicielskie do Piotra i Pawła. W tle jest przemoc, której dopuszczał się jej partner. I alkohol. Matka zachowuje prawa w stosunku do córki, choć nadal nie może sprawować nad nią bezpośredniej opieki, więc cała

JANIS PIPARS / ANZENBERGER / FORUM

trójka pozostaje pod dachem Elżbiety i Katarzyny. Ta sytuacja będzie zresztą źródłem emocjonalnych problemów obu chłopców – matka podczas odwiedzin będzie się interesować tylko córką, z czym jej synowie nie mogą się pogodzić. Młodszy, na wniosek specjalistów, trafi do częstochowskiej placówki terapeutycznej ze szkołą i internatem (jest tam do dziś – w domu przebywa w czasie wakacyjnych i świątecznych przerw; Elżbieta i Katarzyna zapewniają, że wróci na stałe pod ich dach, gdy jego przybrana siostra trafi do rodziny biologicznej bądź spokrewnionej zastępczej).

Chłopcy trafiają wkrótce na listę adopcyjną. Ale ich wiek sprawia, że na przysposobienie nie ma szans. W praktyce oznacza to, że czas do uzyskania pełnoletności spędzą w pieczy zastępczej. Ta już wówczas ma działać zgodnie z dogmatem: gdy tylko się da, unikamy placówek, wysyłamy dzieci do rodzin zastępczych, bo to one gwarantują większą stabilność.

– Właśnie taką stabilność próbowałyśmy im dać – mówi Elżbieta. – Najpierw żyli na walizkach, marząc o powrocie do mamy. Gdy to okazało się niemożliwe, myśleli o adopcji. A kiedy i to nie wypaliło, zostałyśmy my. Tu mają swój dom, ale też życie rodzinne. Babcię, dziadka, ciocię, wujka.

Przełom, opowiadają siostry, nastąpił w ostatnie wakacje. – Łatwiej go dostrzec na przykładzie starszego, Pawła – opowiadają. – Zauważyły to nauczycielki i opiekunki ze szkoły tańca. Mówią, że Paweł się otworzył, uspokoił, „rozpakował walizkę", poczuł jak u siebie. Gdy całkiem niedawno rozpłakał się, opowiadając o tym, co czuje, uznałyśmy ten moment za znaczący. Zaczął z siebie wyrzucać i negatywne, i pozytywne emocje. Przytulać się, np. na pożegnanie. Tęsknić za domem.

Wyrok

Elżbietę i Katarzynę pytamy o to, jak układały się ich relacje z PCPR, odpowiadającym za wspieranie rodzin zastępczych.

– Był czas, że przynajmniej nikt nie przeszkadzał – odpowiadają. – Przez osiem lat naszej pracy tutaj miałyśmy dwie naprawdę oddane panie koordynatorki, które jak mogły, to nas wspierały. Ale nie wytrzymały gęstej atmosfery panującej w urzędzie. Był czas, że miałyśmy poczucie nagonki na nas. Być może za często prosiłyśmy o wsparcie dla dzieci, za wielu rzeczy się domagałyśmy.

– Na przykład czego?

– Jedno z dzieci miało problemy emocjonalne. Zgłaszałyśmy to do PCPR, ale nikt się tym specjalnie nie przejął.

– Dziecko nie dostało wsparcia?

– Dostało, bo zapewniłyśmy je prywatnie. A kolejne problemy załatwiałyśmy, już używając własnych znajomości.

19 sierpnia tego roku. Kurator sądowy odczytuje Katarzynie wniosek PCPR: chłopcy mają trafić do domu dziecka. – Dowiedziałam się o tym jako ostatnia – opowiada kobieta. – Wyznaczono już datę rozprawy, więc musiała się odbyć. PCPR mógł teoretycznie wycofać wniosek tuż przed rozprawą. Tyle że jego przedstawiciel nie dotarł.

14 września. Katarzyna: – Od początku widziałam sceptycyzm sędzi, w którymś momencie ze złości się nawet popłakałam. Widziałam, że dołączone opinie psychologa i wychowawców znających chłopaków nic nie dają. Ten mój nieszczęsny płacz chyba sędzię skrępował, nie wiedziała, jak zareagować. Powiedziała, że decyzja będzie za trzy dni.

17 września: wyrok. Elżbieta: – Nie mam biologicznych dzieci, ale poczułam się tak, jakby moje własne zabierano. Przecież urzędniczki też są matkami, nie wyobrażam sobie, dlaczego podjęły taką decyzję.

Orientacja

Pytanie o tę decyzję zadajemy więc dyrektorce Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Nisku, Marcie Ciosmak. Mówi o problemach we współpracy na linii rodzina–instytucje (PCPR, szkoła jednego z chłopców). Sugeruje niekompetencję opiekunek w relacji z nastolatkami.

– Tyle że we wniosku, który wysłaliście do sądu, nie ma o tym mowy – zauważamy. – Jest za to napisane, że chodzi o zrobienie miejsca dla młodszych dzieci.

– Nie o to nam chodziło. Chodziło o funkcjonowanie tej rodziny – odpowiada dyrektorka PCPR, odcinając się tym samym od stworzonego i podpisanego przez swoich urzędników dokumentu.

– Nie tak dawno chcieliście umieścić w tej rodzinie dwójkę małych dzieci. Skoro są według was takie problemy, dlaczego ryzykujecie posyłaniem tam kolejnych podopiecznych? – dopytujemy.

– Mnie w chwili składania tej propozycji nie było w pracy – odcina się znowu dyrektorka, a na pytanie, skąd pomysł, by Piotra i Pawła wysyłać właśnie do placówki, tłumaczy się brakiem miejsc w rodzinach zastępczych.

Pod koniec 20-minutowej rozmowy urzędniczka oświadcza, że jest rozgłosem wokół sprawy zaskoczona, a telefonem od dziennikarzy zdenerwowana. Dlatego proponujemy sformułowanie wypowiedzi na piśmie. Ta jednak nie nadeszła.

Starosta powiatowy, który nadzoruje pracę urzędu, odmówił komentarza. Za pośrednictwem swojej sekretarki przekazał, że sam się nie wypowie, ale prosi o kontakt z... szefową PCPR, która „jest lepiej zorientowana".

↦

Sprzeciw

↦ Przypadek z Niska to nie jedyny podobny.

– PCPR wystąpił o przeniesienie piątki naszych dzieci do domów dziecka – opowiada nam o przypadku z ostatnich tygodni kobieta, która w województwie świętokrzyskim pełni funkcję placówki opiekuńczej typu rodzinnego, czyli *de facto* komórki podobnej do rodziny zastępczej [kobieta nie chce podawać danych; boi się odwetu urzędników – PM, MJ]. – We wniosku skierowanym do sądu napisano, że potrzebne jest miejsce dla dzieci poniżej 10. roku życia. Gdy się o tym dowiedziałam, nogi się pode mną ugięły. Byłam pewna, że to pomyłka, że nikt nie mógł wpaść na taki głupi, nieludzki pomysł – mówi kobieta. Dzieci, które urzędnicy chcieli przenieść, są u niej od niemowlaka. Jedno z nich w tej rodzinie zastępczej żyje od 14 lat. Są wśród nich także dzieci niepełnosprawne.

Sprawa w świętokrzyskim potoczyła się jednak zupełnie inaczej niż ta w Nisku – sąd odrzucił wniosek PCPR-u w trakcie jednej rozprawy. – Mam szczęście do ludzkiego sędziego, na wstępie mi powiedział, że nie bierze pod uwagę przenoszenia dzieci. Jego zdaniem szukanie w ten sposób miejsc w rodzinach jest niedopuszczalne – relacjonuje kobieta i zaznacza, że napisała skargę do starosty, ale ten nie zechciał się do niej odnieść.

Za zakończoną ostatecznie happy endem historię zapłaciły dzieci: jedna z córek usłyszała fragment rozmowy dorosłych. – Przeżywała męki – opowiada kobieta. – Dusiła to w sobie, aż któregoś razu rozpłakała się i spytała, czy ją oddamy. Zapewnialiśmy, że nie, ale to był etap, na którym nie mieliśmy jeszcze pewności, jak zakończy się cała sprawa. Zresztą sam wniosek z PCPR zachwiał poczuciem bezpieczeństwa dzieci. Nagle zdały sobie sprawę, że choć są w rodzinie od zawsze, to nie znaczy, że muszą tu pozostać.

System

W tle zdarzeń z Podkarpacia czy województwa świętokrzyskiego jest odbywający się – z różnym skutkiem w różnych częściach Polski – proces tzw. deinstytucjonalizacji. Trwa już ponad dekadę, ale jego pierwsze założenie, czyli przechodzenie od placówek do rodzin zastępczych, jak na razie można uznać za fiasko – wiele powiatów nie radzi sobie z pozyskiwaniem rodzin. Założenie drugie – wymuszone przepisami „urodzinnianie" placówek, które w tej chwili mogą przyjmować do 14 dzieci – działa tylko do pewnego stopnia. Owszem, domy dziecka stają się coraz mniejsze, tyle że... powstają nowe. Kontekstem dla historii z Niska i podobnych jest też – nie wszędzie przestrzegany – zakaz umieszczania w placówkach dzieci poniżej 10. roku życia.

– Powiaty, które nie radzą sobie z pozyskiwaniem rodzin zastępczych, zaczęły badać grunt, traktując dzieci jak samorządowe zasoby ruchome: „Zabierzemy z rodzin starsze dzieci, zrobimy miejsce dla młodszych, zobaczymy, co się będzie działo" – komentuje Anna Krawczak, badaczka Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem UW, prywatnie była matka zastępcza, obecnie adopcyjna. – W przypadku Niska zadziałała na szczęście reakcja środowiskowa. Powiat mówi: „Nie mamy wyjścia", nasze organizacje odpowiadają: „Nie pozwolimy wam na to, będziemy krzyczeć". Bo jeślibyśmy nie krzyknęli, to nie tylko stałaby się konkretnym dzieciom krzywda, ale też epizody przekształciłyby się w zjawisko.

Dlaczego te epizody wydarzają się właśnie teraz? Czy trafiające z PCPR-ów do sądów bliźniacze wnioski to dzieło przypadku? A może, jak sugeruje Anna Krawczak, przewrotny efekt medialnych wezwań, by w domach dziecka przestać wreszcie umieszczać najmniejsze dzieci. Może w reakcji na te wezwania powiatowi urzędnicy reagują bezmyślnym „zwalnianiem miejsc" w rodzinach zastępczych.

Inną hipotezą dzieli się z nami warszawska sędzia rodzinna Anna Sitarska-Duda. Jej zdaniem chodzi o opóźniony efekt pandemicznego lockdownu, który sprzyjał kryzysom wewnątrz biologicznych rodzin, za to nie sprzyjał działaniom interwencyjnym.

– W Warszawie mamy bardzo duży wzrost liczby dzieci wymagających natychmiastowego zabezpieczenia w pieczy – relacjonuje Sitarska-Duda. – Nawet w placówkach brakuje miejsc dla rodzeństw, co grozi im koniecznością umieszczenia w różnych instytucjach albo ryzykownym oczekiwaniem na zwolnienie odpowiedniej liczby miejsc w jednej. Na pieczę rodzinną liczne rodzeństwa nie mają szans. Przenoszenie z rodzin do placówek wyłącznie w celu „zwolnienia miejsca" uważam za rażące naruszenie dobra dziecka. W ogóle pogarszanie sytuacji jednego dziecka w pieczy dla tymczasowego załatwienia sprawy innego nie jest realizacją ustawy, ale oczywistym mijaniem się z jej celem.

Z „pandemiczną" hipotezą zgadza się Anna Krawczak: – Pracownicy socjalni przestali na dłuższy czas chodzić w teren, asystenci rodziny też, podobnie wielu kuratorów. Być może dopiero teraz za to płacimy.

Ministerstwo

Wysłaliśmy pytania do odpowiadającego za nadzór nad pieczą resortu rodziny i polityki społecznej. Urzędnicy zaprzeczają, by zalecali powiatom przenoszenie dzieci z rodzin do domów dziecka. I zapewniają, że jeśli zajdzie potrzeba, resort będzie w sprawie Niska interweniować.

Jest jednak ważne pytanie: co ministerstwo zrobiło, by nie musiało dochodzić do podobnych sytuacji? Do dziś nie wiemy np., ile jest na poziomie ogólnokrajowym miejsc w rodzinach zastępczych. A to prowadzi do patologii – powiat X ma wolne miejsce, ale będący w potrzebie powiat Y nie zawsze o tym wie.

10 września do konsultacji trafiła nowelizacja ustawy o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej. Ma wreszcie powstać rejestr rodzin, ale na entuzjazm za wcześnie: w 2018 r. powstała już ustawa, która miała podobny rejestr wprowadzić. Tyle że prawo przygotowane przez ówczesnego wiceszefa resortu Bartosza Marczuka utknęło gdzieś w ministerialnych biurkach.

Nowelizacja z tego roku zakłada też zakaz powoływania nowych domów dziecka. Tyle że ministerstwo zostawia samorządom furtkę: nie można zbudować placówki, chyba że zgodzi się na to wojewoda, po zasięgnięciu opinii Rzecznika Praw Dziecka (przy czym opinia RPD nie jest wiążąca). Może się więc okazać, że placówki będą powstawały jak dotychczas.

Nowelizacja szumnie zapowiada też zwiększenie wynagrodzenia dla rodzin zastępczych zawodowych. Co to w praktyce oznacza? Że jeśli przepisy wejdą w życie, to rodzina może liczyć na... minimalną krajową. Resort w dołączonej do projektu ocenie skutków regulacji sam przyznaje, że dziś takie wynagrodzenie to średnio 65 proc. ustawowego minimum. W dodatku wszyscy rodzice zastępczy pracują na umowach cywilnoprawnych, czego twórcy noweli ani myślą zmieniać.

Siostry z Niska za swoją pracę dostają miesięczne wynagrodzenie: 1900 złotych netto. Do tego tysiąc na każde dziecko. Muszą utrzymać siebie i dzieci, a więc poza jedzeniem i ubraniem zapewnić leczenie, rehabilitację, konsultacje u specjalistów, opłacić media itd.

Utrzymanie dziecka w placówce w nieodległym Rudniku? To 4,5 tys. złotych. A zatem także ekonomiczny bilans jest dla domu dziecka miażdżący – koszty są tu co najmniej dwukrotnie wyższe.

Siostry z Niska dostają miesięcznie 1900 zł netto. Do tego tysiąc na każde dziecko. Utrzymanie dziecka w placówce to 4,5 tys. zł. **Ekonomiczny bilans jest dla domu dziecka miażdżący.**

Dobro

Skoro placówki szkodzą dzieciom, a w dodatku są droższe, to po co jeszcze istnieją? W emitowanym w TOK FM radiowym serialu dokumentalnym „Piecza" Anna Krawczak stwierdza ironicznie, że domy dziecka to lokalne miejsca „czynienia dobra". Politycy przed wyborami mogą tam pojechać z wizytą, zrobić sobie zdjęcie. Mieszkańcy – zwieźć maskotki i zabawki. Tu łatwo wygłuszyć sumienie, poczuć się lepiej. Pomaganie rodzinom zastępczym jest trudniejsze.

Jest też inny wymiar tego zjawiska – placówki to miejsca pracy. Dla dyrektorów, wicedyrektorów, kucharzy, kierowców, opiekunów, konserwatorów, osób sprzątających. Dla dorosłych. W placówce w Bielsku-Białej, która jest *de facto* jednym tworem, choć formalnie składa się z pięciu instytucji dla 14 dzieci każda, pracuje ponad 70 osób. W serialu „Piecza" dyrektorka tej instytucji zapewniała, że na początku 2021 r. mieli ponad 60 wychowanków. Żeby utrzymać taką placówkę, samorząd musi więc płacić za każdego podopiecznego ponad 13 tys. złotych. Są domy dziecka, gdzie utrzymanie jest jeszcze droższe. Likwidacja takiego podmiotu oznaczałaby jednak zwolnienie 70 osób. W małych samorządach to nie do pomyślenia.

Co gorsza, w tej sytuacji władze powiatu nie mogą sobie pozwolić na utrzymywanie domów dziecka w niepełnym składzie. Koszty personelu i administracji są przecież takie same niezależnie od liczby podopiecznych. To sprzyja sytuacjom, w których dzieci trafiają do placówek, mimo że w rodzinach zastępczych mogłoby się znaleźć dla nich miejsce.

Apelacja

Annę Krawczak pytamy, czym grozi przenoszenie dzieci z miejsca na miejsce. Ekspertka przytacza wyniki badań, w ramach których prześwietlono losy dużej grupy dzieci przebywających od niemowlęctwa w rodzinnej pieczy zastępczej.

– Te, które nie pozostały w tym środowisku na dłużej, lecz przenoszono je przynajmniej dwa razy, np. do placówki albo do rodziny biologicznej i z powrotem, miały o 63 proc. większe ryzyko wystąpienia tzw. eksternalizacyjnych zaburzeń zachowania – referuje Krawczak. – Mówimy o dzieciach już straumatyzowanych, na które urzędnicy mają taki pomysł, by ich życie zdestabilizować jeszcze bardziej.

– Czego Piotr i Paweł nie doświadczą w domu dziecka?

– Odpowiedź jest trudna, bo dotyczy doświadczenia życia rodzinnego, które jest przecież dla większości z nas tak oczywiste, że aż przezroczyste.

– Spróbujmy.

– Gdy będzie ich bolał brzuch, nie doświadczą opieki tej samej mamy czy cioci na co dzień. Zamiast tego będzie codziennie inna opiekunka. Więc jednej nocy dostaną termofor, drugiej tabletkę, trzeciej usłyszą, że mają się uspokoić. Nie doświadczą zapraszania kolegów do domu, na grill, nocowankę, urodziny. Nie doświadczą rozbicia namiotu przed domem. Wspólnego gotowania. I najważniejsze: nie doświadczą trwałej, stałej więzi.

Elżbieta i Katarzyna czekają na uzasadnienie wyroku pierwszej instancji. Po jego otrzymaniu zamierzają wnosić apelację.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, MICHAŁ JANCZURA

MICHAŁ JANCZURA *jest dziennikarzem TOK FM.*

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MAREK MALISZEWSKI / REPORTER

Wojsko rozkłada drut kolczasty wzdłuż granicy polsko-białoruskiej. Okolice Usnarza Górnego, 21 sierpnia 2021 r.

Skażona ziemia

BARTOSZ RUMIEŃCZYK

A Polacy to nie uciekali, nie jeździli za robotą? Oni też chcą na Zachód – mówi mi miejscowy kierowca. I dlatego początkowo nawet faceci pijący piwo na ławeczce w Krynkach kryli uchodźców.

Dwa tygodnie po wprowadzeniu stanu wyjątkowego jadę na Podlasie pytać mieszkańców o to, co zmieniło się w ich życiu. Rozmawiam we wsiach na obrzeżach strefy, u znajomych, a także na drogach, skrzyżowaniach i przed tablicami, które informują o zakazie wjazdu.

Byli, tędy szli, tam poszli

Tankuję w Waliłach, obok zajazdu, blisko strefy objętej zakazem dla osób spoza regionu. Do przejścia granicznego w Bobrownikach jedzie się stąd ok. 20 minut.

– Stan wyjątkowy? – śmieje się kierowca z Wiejek. – Panie, a co to za stan? Owszem, wojskowi jeździli po wsiach, pytali, czy widziałem uchodźców. Powiedziałem, że jak zobaczę, to zadzwonię.

Wiejki to wieś położona dziesięć kilometrów od granicy, więc stanu wyjątkowego tam nie ma. Ale uchodźcy przychodzą.

– W weekend byli u sąsiadki. Kurdy. Wzięli coś do jedzenia, podładowali telefony i poszli. No i czego tu się bać? A Polacy to nie uciekali, nie jeździli za robotą? Oni też chcą na Zachód. „Germania", mówią. Do nas to ich Łukaszenka pcha. Panie, to sprawa polityczna.

Wielu Podlasian powie mi coś podobnego. I tylko raz ludzie nie będą chcieli rozmawiać: gdy pogotowie na naszych oczach zabierze z pola wycieńczonego mężczyznę.

Z Walił jadę w kierunku Kundzicz, żwirówką przez las. Od wprowadzenia stanu wyjątkowego to jedyna droga do wielu wsi, więc po kilku dniach zamieniła się w „tarkę". Jestem umówiony z człowiekiem, który wprowadził stan wyjątkowy. Spotykamy się u znajomych, na granicy strefy zamkniętej.

– No tak, podobno ode mnie wszystko się zaczęło – Mirosław Miniszewski mówi z lekkim uśmiechem, którym zdaje się maskować wątpliwości, czy na pewno postąpił właściwie.

To Miniszewski – pisarz mieszkający w strefie – powiadomił media o obozie w Usnarzu Górnym. Kilka dni wcześniej współpracował z fotoreporterami dokumentującymi sytuację na pograniczu. Podkreśla, że gdy sytuacja wyglądała naprawdę poważnie, krajowe media sprawą się w ogóle nie zajmowały.

– To było surrealistyczne, jakby cyrk przyjechał. Ludzie opowiadali: tędy szli, tam ich zatrzymali, a tam leżeli skuci na chodniku. Faceci pijący piwo na ławeczce w Krynkach kryli uchodźców, sadzając ich między sobą i dając butelkę do ręki. Dopiero zdjęcia prowadzonej przez Krynki, pod długą bronią, grupy z dziećmi wywołały oburzenie. A potem odkryliśmy Usnarz.

Miniszewskiego i przybyłych później dziennikarzy funkcjonariusze Straży Granicznej przywitali dość przyjaźnie, jakby im ulżyło, że ktoś wreszcie coś z tym zrobi.

Wtedy jeszcze kupowali uchodźcom wodę i jedzenie, a gdy dojechały media, rozstawili auta tak, by reflektorami oświetlić obóz i ułatwić pracę kamerzystom.

– Myśleliśmy, że ktoś się uchodźcami po prostu zajmie, ale rano sytuacja zaczęła się zmieniać. Pierwszego dnia udawało nam się podejść na jakieś dziesięć metrów pod obóz, ale z każdym dniem granica się przesuwała – wspomina Miniszewski.

Dziś to przynajmniej trzy kilometry, choć są miejsca, gdzie strefa zakazana sięga dalej w głąb kraju.

Tych dzieci szkoda

– I czego pan tu łazi, jak deszcz pada? – burczy żołnierz przed wejściem do tymczasowej bazy w Szudziałowie. Wojskowi zjechali tu w pierwszych dniach stanu wyjątkowego, rozbili namioty i ogrodzili je płotem, na którym porozlepiali kartki z zakazem fotografowania. Ulice zatarasowali wozami, obok porozrzucali zwoje drutu żyletkowego. Później wozy pojechały na granicę, a drutu zostało kilka zwojów. Leżą za szkołą, niezabezpieczone. Ludzie się oswoili.

Napotkane przed szkołą nauczycielki mówią: – U nas było spokojnie i jest spokojnie.

Między szkołą a orlikiem na końcu ulicy, gdzie dzieciaki grają w piłkę, jest budynek Straży Granicznej. Tu, jak mówią nauczycielki, już od początku sierpnia zwożono uchodźców. Wszyscy ich widzieli, bo czasem stali na balkonie.

– Sami tu nie przychodzili i nie przychodzą, ale jeden uczeń, który mieszka w pasie granicznym, opowiadał wczoraj, że widział wojsko wyprowadzające z lasu grupę ludzi. Mówił, że była z nimi pani w ciąży i małe dzieci – mówi pierwsza nauczycielka. – Tych dzieci to mi szkoda – dodaje druga.

Chcę spytać proboszcza, czy rozmawiał o stanie wyjątkowym z wiernymi. Słyszałem, że na mszy w Usnarzu Górnym apelowano o postawę chrześcijańską. Plebania zamknięta, a przez telefon słyszę, że bez zgody kurii żadnych informacji nie uzyskam.

Ulice Szudziałowa powoli pustoszeją. Ubrani na sportowo żołnierze wracają z zakupami do bazy, schronić się przed coraz silniejszym deszczem, dzieci kończą mecz na orliku, a ekipa telewizyjna, którą mijałem wjeżdżając do wsi, już się zwinęła. Ludzie zamykają się w domach.

Traktowali jak śmiecia

Macieja Sidorowicza poznałem podczas pracy nad reportażem o kurnikach w Kruszynianach. Mieszka w strefie stanu wyjątkowego, choć – jak przekonuje – przez błąd urzędników.

– Strefa miała być do trzech km od granicy, a ja mieszkam sześć km od Białorusi. Mało tego: na liście nie ma wsi Kundzicze, są Kundzicze-Trejgle, a to nazwa sołectwa i obrębu geodezyjnego. Faktycznie to dwie oddzielne wsie, a posterunek jest na skrzyżowaniu tuż przed wjazdem do mnie – opowiada.

Sidorowicz pomstuje na policję, rząd, rodaków, a w zasadzie to na cały świat.

– Wczoraj nie dojechali do mnie goście, bo policja nastraszyła ich aresztem. Wsiadłem więc w auto i pojechałem opierdolić tych gliniarzy. Tłumaczyli, że muszą pilnować, bo ponoć uchodźcy samochody kradną, przychodzą do domów z nożami albo uciekają w bagażnikach. Bzdury takie – macha ręką.

– Ludzie oglądają za dużo telewizji, nieważne zresztą jakiej, i to im robi wodę z mózgu – dodaje. – Trzydzieści lat po upadku komuny, a nadal nie nauczyli się żyć wolnością. Uwierzyli w stan wyjątkowy, bo ktoś im tak powiedział.

Pytam Sidorowicza, co się mówi o uchodźcach w okolicy. – A co się może mówić? To co w całym kraju: albo że to terroryści, albo żeby wracali do siebie lub zostali na Białorusi. Tylko że u nas w każdym domu jest ktoś, kto wyjechał na Zachód, także po socjal, a innym zabraniamy szukać lepszego życia. Sam byłem nielegalnym imigrantem i traktowali mnie jak śmiecia ze wschodniej Europy. Dziwili się, że nie kradnę.

Większość nie chce się wyrażać

Od czasu, gdy przegnano dziennikarzy, zdarzenia z pogranicza relacjonują w internecie jedynie cztery osoby. Mirosław Miniszewski w emocjonalnych wpisach krytykuje państwo polskie i działania służb. Exen, fotograf podlaskiej przyrody i autor pierwszych zdjęć z Krynek, podchodzi do tematu na zimno. Katarzyna Mazurkiewicz apeluje o humanitarne traktowanie uchodźców.

Jest jeszcze Jacek Słoma, wpływowy miejscowy rolnik o prawicowych poglądach. Twierdzi, że dziennikarze rozmawiają jedynie z przyjezdnymi, którzy na Podlasie sprowadzili się z Warszawy. Ale gdy proszę go o rozmowę, odpisuje: „Niestety, ale nie znajdę w sobie tyle motywacji i czasu. Życzę dobrych rozmówców i sprawdzonych historii. Kłaniam się”.

Słoma chwali wprowadzenie stanu wyjątkowego i uważa, że wszelkie niedogodności z nim związane są do przeżycia, jeśli tylko pamięta się o wyższym celu. – To granica Schengen, Unii Europejskiej, NATO i Rzeczypospolitej Polskiej. Jeśli będziemy wpuszczać do kraju wszystkich, to nie pomożemy nikomu. Potrzebujący zginą w tłumie młodych, wysportowanych chłopaków – mówił w Polskim Radiu – Będzie nam potrzebny solidny płot, bo trwa wojna hybrydowa, a migranci są wykorzystywani jako broń demograficzna, broń „D”.

Argumenty Słomy, zdaniem jego oponentów (również mieszkańców Krynek) są odczłowieczaniem uchodźców.

– Widzimy rodziny z dziećmi, a potem słyszymy, że to sami młodzi mężczyźni. Widzimy ludzi uciekających ze strachu na widok samochodu, a TVP mówi, że oni nam zagrażają – czytam w wiadomości od mieszkańca Krynek, który nie chce się zgodzić na dłuższą rozmowę. Zrezygnowany tłumaczy: – Dla reszty kraju temat nie istnieje, jest tylko jakaś „wojna hybrydowa”. Media odhumanizowały uchodźców. Jakby to były jakieś kukły przerzucane przez granicę.

Do Krynek wjechać nie mogę, miasto znajduje się w strefie, ale od jednej z osób słyszę, że tego, o czym w internecie wre (ludzie wypominają sobie, kto i kiedy emigrował za pracą, a kto ma duży dom po rodzicach, gdzie może sobie tych uchodźców trzymać), na ulicach nie słychać. Kłótnie prowadzi nieduża grupa, większość nie chce wyrażać opinii, bo to temat, który dzieli. A przecież z sąsiadami jakoś żyć trzeba.

Uchodźcy

W wielu wsiach na Podlasiu temat wcale nie budzi wielkich emocji. W Bachurach (zaginęła tu grupa Kongijczyków koczujących pod lasem) słyszę, że stan wyjątkowy to przesada. – Nie ma aż takiego zagrożenia. Przecież ci uchodźcy i tak nie chcą tu zostać – mówią napotkani robotnicy z Hajnówki.

– I co z tego, że idą, przecież nic mi nie zrobią. Chcą tylko bezpiecznie dostać się dalej. To jak z wilkiem, on nas widzi, a my jego nie – mówi inny mieszkaniec ↦

↦ i dodaje, że w sobotę nad lasem latał helikopter. – Polowanie z nagonką – kwituje.

W Budach spotykam małżeństwo, które widziało dwóch Afgańczyków przy szosie na Białystok. – Zadzwoniłam na Straż Graniczną, bo uznałam, że trzeba jakoś zareagować – mówi kobieta. Budy to letnisko, na końcu wsi w otwartej altanie stoi auto i dwa rowery, a gospodarzy nie ma. Inni na wszelki wypadek zaczęli zamykać drzwi.

Grzybiarz na skrzyżowaniu z szosą na Białystok: – Trochę strach. A jak ktoś wejdzie do stodoły i podpali? Pod sklepem w Szymkach byli, przyjechała Straż Graniczna i ich zabrali, pewnie do jakiegoś ośrodka w Białymstoku. Na granicę byłoby nielogiczne, przecież zaraz by wrócili.

Sklep w Szymkach: – Ja nikogo nie widziałam, siedzę po dwanaście godzin w pracy, ale słyszę, że się kręcą. W Jałówce płacili kartą, a sąsiad znalazł na polu ubrania, markowe. W biedne ciuchy się przebierają. Ale niech pan jedzie do Cisówki, tam panu więcej powiedzą.

Cisówka jest w strefie, parkuję więc auto przed tablicą i czekam cierpliwie, aż ktoś się pojawi. Pierwszy nadjeżdża starszy pan na skuterku. – W weekend to ze trzydzieści osób przeszło. Widziałem przez okno. Mówię żonie: „Patrz, chłopy zdrowe idą, a kobiety muszą dzieci dźwigać". Przyjechali po nich takim wielkim autem.

Pani z kijkami do *nordic walking* i psem: – Stan wyjątkowy? Wiele hałasu o nic, ale jak każą nosić dowód, ogłaszają komunikaty przez megafony i przysyłają esemesy, to się rodzi atmosfera zagrożenia.

Sam dostałem esemesa z Rządowego Centrum Bezpieczeństwa. „Uwaga! Jeżeli potrzebujesz pomocy na terenach objętych stanem wyjątkowym, zadzwoń na bezpłatną infolinię Wojsk Obrony Terytorialnej...".

– Ale jakby wieczorową porą ktoś kołatał, tobym się nie czuła komfortowo. Nie wiem, czybym otworzyła. Bałabym się, ale nie terrorystów czy muzułmanów, tylko że bym się nie dogadała. Mnie angielskiego w szkole nie uczyli.

W innych miejscach słyszę, że ludzie czują się bezpieczniej, gdy widzą wojsko, ale są i tacy, co mówią, że wojsko to chyba wódkę pije na służbie, skoro ludzie cały czas przechodzą. O zamykaniu granic na cztery spusty ludzie nie mówią, ale przeskakiwanie przez płot, albo nie daj Bóg przecinanie drutów, już im się nie podoba.

Wielu zna kogoś, kto ludziom pomógł, większość mówi, że sama by pomogła.

Pomaganie jest legalne

Pracownicy organizacji skupionych w Grupie Granica – m.in. Chlebem i Solą, Stowarzyszenia Interwencji Prawnej czy Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka – wspólnie z niektórymi mieszkańcami Podlasia zaczęli budować sieć pomocy i prowadzić akcje edukacyjne.

W okolicy zawisło ponad 200 plakatów przypominających, że pomaganie uchodźcom jest legalne. Ludzie nie mają wątpliwości, że stan wyjątkowy jest po to, by pozbyć się dziennikarzy i aktywistów. – Policjanci powiedzieli mi o tym na jednej z pierwszych kontroli – słyszę od osoby zaangażowanej w lokalne działania.

Z pierwszymi dziennikarzami do Usnarza pojechały pieluchy, bo w obozie były dzieci. Mieszkańcom okolicznych wsi udawało się czasem przemycić uchodźcom obiad, jeśli Straż Graniczna akurat przymykała oko. Ale wraz z pierwszymi informacjami o incydentach push-backu [sprzecznego z prawem wypychania migrantów z powrotem za granicę; w tym przypadku z Polski – red.] gasło w nich zaufanie do służb mundurowych i – szerzej – do państwa.

Z drugiej strony są ci, którzy w żadne push-backi nie wierzą. Dlatego po udzieleniu pierwszej pomocy, podaniu wody, jedzenia czy naładowaniu telefonu dzwonią po Straż Graniczną w nadziei, że ta uchodźcami odpowiednio się zajmie. No bo przecież nie może tak być, żeby ludzie się błąkali po polach, koczowali w lasach albo chowali się po rowach.

Będzie żył?

W Podozieranach stanu wyjątkowego nie ma, ale uchodźców jest dużo – tak mówią ludzie. Mówią też, że do pilnowania dróg naściągali policjantów z Warszawy, Radomia, Poznania. Tylko co z tego, jak patrol stoi na krzyżówce, a uchodźca po polu biegnie?

W drodze trzykrotnie zmieniam trasę, zawracając spod tablic informujących o strefie objętej stanem wyjątkowym. Patroli na wiejskich drogach nie ma, ale nie ryzykuję. Gdy wreszcie dojeżdżam, zaczyna padać.

– Kopę lat – macha do mnie mężczyzna, który myli mnie ze swoim znajomym. Przedstawiam się i pytam o uchodźców. – A dziś byli, kolega ich widział. Później we wsi mówili, że ktoś dał im wody i poszli dalej.

Wspólnie idziemy do kolegi – pana Bolesława – który potwierdza: – Sześciu dorosłych i troje dzieci, takich małych, szli między czwartą a piątą rano.

Rozmawiamy chwilę, pan Bolesław wspomina, że tuż po wojnie mieszkał bliżej granicy i też widywał uchodźców, a gdy wychodzę, dobiega mnie dźwięk zbliżającego się auta na sygnale.

Przez wieś jedzie mężczyzna na motocyklu, a za nim pogotowie. Ruszam za nimi, na końcu wsi wjeżdżam na Straż Graniczną, która potwierdza moje przypuszczenia: – Tam jest obcokrajowiec.

– Nie będziemy rozmawiać, do polityki się nie mieszamy, a to sprawa polityczna – mówią ludzie, gdy ratownicy prowadzą chwiejącego się mężczyznę. Gospodarz przegania mnie z pola: „Nie trzeba mi tu mediów, to teren prywatny". Udaje mi się podsłuchać tylko strzępki rozmów.

– Ma temperaturę, zostanie nawodniony – mówi ratownik. Miejscowi wspominają coś o grochówce. Do karetki wkładają dwie butelki z mineralną. – Będzie żył? – dopytują. – To najważniejsze. Co z nim zrobicie?

Straż Graniczna odpowiada zbyt cicho, bym usłyszał.

– I Łukaszenka go z powrotem przerzuci!

– No tak – zdaje się mówić funkcjonariusz, który kiwaniem głowy pokazuje, że to takie ganianie się: wte i wewte.

Przyjdzie zima i problem się rozwiąże

– Zimą będzie jeszcze gorzej – mówią ludzie w Podozieranach, gdy karetka odjeżdża. Deszcz pada coraz mocniej, pogoda się załamuje. – W internecie piszą, że jak przyjdzie zima, to problem sam się rozwiąże i wszystko wróci do normy, ale tu już nigdy nie będzie tak samo, bo ziemia jest skażona tym, co się stało – słyszę. Czym skażona? Porzucaniem ludzi w lasach, znajdowanymi przy drodze butami, łapankami, wywózkami...

Za kilka dni pojawi się wiadomość o pierwszych ofiarach śmiertelnych na granicy.

© BARTOSZ RUMIEŃCZYK

ALEKSIEJ WITWICKI / FORUM

Patryk Jaki i europosłowie PiS na posiedzeniu Parlamentu Europejskiego, Strasburg, luty 2020 r.

Strach na Unię

PIOTR WÓJCIK

Im mniej fakty pasują do przyjętej z góry tezy o szkodliwości członkostwa w Unii dla polskiej gospodarki – tym gorzej dla faktów. Manipulacje eurosceptyków nie muszą być wyrafinowane, by być skuteczne.

Podobnie jak wcześniej w Wielkiej Brytanii, za pomocą manipulacji i przeinaczeń nasi eurosceptycy próbują zniechęcić Polaków do Unii Europejskiej. Dziś wydaje się to jeszcze misją niemożliwą, ale długotrwałe opowiadanie kłamstw przy wykorzystaniu mediów społecznościowych, a nawet publicznych może przynieść rezultaty. Najnowszym akcentem tej narracji była głośna konferencja europosła Solidarnej Polski Patryka Jakiego i dwóch naukowców, podczas której przekonywali, że pod względem finansowym straciliśmy na członkostwie w UE ponad pół biliona złotych. Powiedzieć, że to nieprawda, to nic nie powiedzieć.

Skąd się wzięły dywidendy

„Raport Jakiego" (nigdzie nie jest dostępny w całości) wykorzystuje kilka żelaznych zagrań z repertuaru eurosceptyków. Sprowadza całość korzyści członkostwa Polski w UE do wpływów z funduszy unijnych, które netto do końca zeszłego roku wyniosły 593 mld zł. Od tego Jaki i współpracownicy odejmują szereg różnych liczb i wychodzi im potężny minus. Problem w tym, że gospodarcze korzyści z członkostwa w UE nie sprowadzają się do funduszy unijnych, lecz przede wszystkim wynikają z dostępu do wspólnego rynku. Polska korzysta na nim w największym stopniu ze wszystkich dużych krajów UE. Dowodzi tego szereg badań, jak choćby to z 2019 r. autorstwa Belga Jana in 't Velda. Według jego obliczeń przywrócenie barier handlowych w UE doprowadziłoby w Polsce do spadku inwestycji o 16 proc., eksportu o 13 proc., a PKB o 8 proc. We Włoszech, Francji, Hiszpanii i Niemczech spadki te byłyby znacznie niższe.

Tego Jaki w swoim raporcie nie uwzględnił, za to od tych zaniżonych korzyści z unijnego członkostwa odjął niemal bilion złotych wypływający z Polski z tytułu dywidend od zysków europejskich inwestorów. Pomijając już fakt, że w rzeczywistości – jak pokazują dane NBP – są one o połowę niższe, to eurosceptycy z SP znów przemilczeli kluczowy aspekt, czyli poczynione nad Wisłą inwestycje, z których te dywidendy się w ogóle wzięły. Według NBP na koniec roku 2019 wartość zobowiązań z tytułu bezpośrednich inwestycji zagranicznych w Polsce wyniosła 892 mld zł, z czego zdecydowana większość to inwestycje z państw europejskich. Wartość samych inwestycji niemieckich nad Wisłą to 173 mld zł, a francuskich kolejne 92 mld zł. Wykazywanie samych wypływających z Polski dywidend, przy przemilczeniu poprzedzających je inwestycji, to nie jest po prostu błąd. Trudno przypuszczać, żeby dwóch profesorów, w tym jeden z SGH, nie zdawało sobie sprawy, skąd się biorą dywidendy.

W tym miejscu możemy zresztą wykryć kolejną manipulację, chętnie stosowaną nie tylko w Polsce. Mowa o obarczaniu Unii Europejskiej winą za procesy oraz zjawiska, które istniałyby i bez niej. Dywidendy wypływają ze wszystkich krajów świata, które przyjmują inwestycje zagraniczne. Unia Europejska nie ma tu nic do rzeczy – gdybyśmy z niej wyszli, te dywidendy nadal by wypływały. Otwarcie się na inwestycje zagraniczne zakłada zgodę na osiąganie przez inwestorów zysków, które następnie będą sobie wypłacać. Poza tym Polska pod rządami PiS sama kusi inwestorów zagranicznych, chociażby rozciągając zasady ulg podatkowych ze Specjalnych Stref Ekonomicznych na teren całego kraju. Jak można jednocześnie przyciągać inwestorów ulgami i utyskiwać na wypłacane przez nich dywidendy od zysków? ↦

Kto zarabia na emisjach

W gruncie rzeczy opisane wyżej manipulacje nie odbiegają specjalnie od eurosceptycznej narracji, która od kilku lat szczególnie intensywnie szerzona jest przez część prawicy. Eurosceptycy wzięli sobie na cel głównie politykę klimatyczną UE, z systemem praw do emisji CO2 na czele (EU ETS). W rozmowie z portalem Spider's Web poseł Janusz Kowalski nazwał prawa do emisji „unijnym parapodatkiem", sugerując, że UE nam w ten sposób coś zabiera. „System EU ETS hamuje faktycznie polską transformację energetyczną i inwestycje w nowe technologie" – stwierdził Kowalski. Problem w tym, że dochody ze sprzedaży przypadających dla Polski praw do emisji trafiają nie do kasy unijnej, tylko do polskiego budżetu. Według oficjalnych informacji zawartych na stronie Ministerstwa Klimatu i Środowiska, wpłynęło tam dotychczas ponad 20 mld zł, a w obecnej dekadzie wpłynie kolejne 100 mld zł. Ministerstwo informuje także, na co przeznaczane są te wpływy. M.in. na rozbudowę i modernizację sieci ciepłowniczej, by zmniejszyć zjawisko niskiej emisji w miastach, a także termomodernizację budynków w celu zmniejszenia zjawiska ubóstwa energetycznego. Czyli właśnie na transformację energetyczną, która według Kowalskiego jest w ten sposób hamowana.

Eurosceptycy próbują nas też przekonać, że polityka klimatyczna UE to niespotykane nigdzie indziej kuriozum. „Mamy do czynienia z szaleństwem" – napisał na blogu Warsaw Enterprise Institute Łukasz Warzecha, który wyrasta w ostatnim czasie na czołowego polskiego eurosceptyka. Według eurosceptycznej narracji wszystkie kraje świata wesoło spalają, co popadnie, tylko UE się przejmuje jakimś dwutlenkiem węgla, na który nikt inny nie zwraca uwagi. Jest to oczywista nieprawda, systemów podobnych do EU ETS na całym świecie jest bez liku. Nawet Chiny w tym roku uruchomiły na pełną skalę swój własny system sprzedaży praw do emisji CO_2 (częściowo funkcjonuje on już od 2017 r.). Podobne systemy mają również tak różne kraje jak Szwajcaria (zresztą integrowany właśnie z unijnym), RPA, Japonia, Argentyna, Korea Południowa, Meksyk czy Kanada. Prawa do emisji CO_2 powoli stają się normą, a na pewno nie są już niczym niezwykłym.

Gospodarcze korzyści z członkostwa w UE **nie sprowadzają się do funduszy unijnych.**

Raport Jakiego nie był pierwszą eurosceptyczną publikacją Solidarnej Polski. Wcześniejsza, autorstwa publicysty Tomasza Cukiernika i zatytułowana „Next Generation EU – koszty i ryzyka dla Polski", ukazała się w marcu tego roku. „Okazuje się, że kontynuowanie polityki UE, realizując strategię Funduszu Odbudowy, jest korzystne nie dla środowiska naturalnego na świecie, a przede wszystkim dla Rosji, Chin czy Turcji i innych krajów" – pisze w niej Cukiernik. Teza, że odchodzenie od paliw kopalnych jest na rękę Rosji – ich czołowego eksportera – jest kuriozalna, choć regularnie przewija się w eurosceptycznej narracji. Na dekarbonizacji Polski to właśnie Rosja straci najbardziej. Według raportu agencji doradczej McKinsey&Company osiągnięcie przez Polskę pełnej neutralności klimatycznej ograniczy eksport z Rosji do Polski o 11 mld euro. Żaden inny nasz partner handlowy nie straci na tym tak wiele.

Co nas różni od Brytyjczyków

Eurosceptycy często przywołują przykład Wielkiej Brytanii, która w razie czego miałaby być dla Polski wzorcem relacji z Brukselą. „Brytyjczycy pokazali, że dyktatura brukselskiej biurokracji im nie odpowiada, i się odwrócili, i wyszli" – obwieścił niespodziewanie wicemarszałek Ryszard Terlecki podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu. Przywoływanie decyzji podjętej przez Brytyjczyków ma przekonać odbiorców, że spokojnie możemy iść w ich ślady, nic im się przecież złego nie stało. Abstrahując już od ujawniających się właśnie kosztów brexitu, sytuacja Polski i polskiej gospodarki jest zupełnie inna, o czym eurosceptycy nie wspominają. Jesteśmy mianowicie znacznie bardziej zintegrowani z Europą kontynentalną i Europejskim Obszarem Gospodarczym. Według wspomnianego już badania Velda wprowadzenie barier handlowych w Europie kosztowałoby Brytyjczyków dwukrotnie mniejszą utratę PKB niż Polaków. Zanotowaliby też dwukrotnie mniejszy spadek inwestycji i eksportu.

Wynika to z prostego faktu: Polska jest zintegrowana gospodarczo z Europą, a Wielka Brytania z całym światem. Inwestycje niemieckie pod względem wartości stanowią jedną piątą wszystkich inwestycji zagranicznych w Polsce, a francuskie – jedną dziesiątą. Tymczasem na Wyspach to odpowiednio 6 i 4 proc. W Wielkiej Brytanii na znacznie większą skalę inwestują za to Amerykanie, Japończycy czy Rosjanie. Poza tym brytyjska gospodarka ma odmienną specyfikę od polskiej. Nasza jest oparta na przemyśle i eksporcie towarów, a brytyjska na usługach, głównie tych finansowych. Ponad jedna piąta inwestycji na Wyspach lokowana jest w nieruchomościach mieszkalnych – w Polsce ich udział jest dwukrotnie niższy. Polska ma za to o połowę wyższy udział inwestycji zagranicznych ulokowanych w przemyśle. Tak więc dla Polski dostęp do wolnego obrotu towarami, zapewniony dzięki Europejskiemu Obszarowi Gospodarczemu, jest absolutnie kluczowy.

Ilu urzędników ma Bruksela

W wypowiedzi Terleckiego warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną kwestię – chodzi o rzuconą niby mimochodem „brukselską biurokrację". Chodzi o rzekomy przerost unijnej administracji, która rozrosła się do monstrualnych rozmiarów, zajmuje się sama sobą i korumpuje setki tysięcy urzędników wysokimi płacami, zapewniając sobie w ten sposób ich lojalność. W rzeczywistości instytucje unijne, czyli Parlament Europejski, Rada i Komisja Europejska, zatrudniają łącznie 43 tys. osób. Dla porównania: w Polsce zatrudnionych jest ponad 450 tys. urzędników państwowych i samorządowych, z czego 187 tys. pracuje w samej administracji centralnej. Polska, wbrew obiegowej opinii, jest pod tym względem całkiem oszczędna i wydaje na administrację 10 proc. swojego budżetu. Średnia dla wszystkich krajów UE wynosi tymczasem 12 proc.

Eurosceptycy stworzyli więc sobie eurochochoła, którego następnie efektownie obalają. Z prawdziwą UE, jej polityką oraz występującymi w niej procesami ten twór ich wyobraźni ma niewiele wspólnego, za to nadaje się do straszenia. Oczywiście eurosceptycy wiedzą, że posługują się manipulacjami, licząc na doraźne polityczne korzyści – za to z całkowitym lekceważeniem potencjalnych konsekwencji.

© PIOTR WÓJCIK

JACEK

Podsiadło:
Miliony much

Jaki wniosek my jako naród powinniśmy wyciągnąć z faktu, że trzeba nam było pięćdziesięciu pięciu milionów i jednej odsłony utworu rapera Maty, żeby zauważyć w nim pogardliwe dla Ukraińców słówko „Ukry”? Pytanie to kieruję do wszystkich, którzy poprawiali mi mapy, gdy ksenofobicznie podróżowałem na Ukrainę, zamiast jechać na osiołku nieuctwa „do Ukrainy”. Znany mi już prof. Matczak logicznie wnioskuje, że skoro 55 mln razy „Ukrów” nie zauważono, to ich tam nie ma. Czyni to w obszernej nieodpowiedzi udzielonej mi w Popularnym Serwisie Społecznościowym. Szczególnym zainteresowaniem gości profesora cieszą się tam obecnie mój wiek, mój wygląd, moje dzieci i moje „liczby odsłon”, przy czym z wątkiem wyglądu sporadycznie się splata wątek „walenia poety w mordę”. Sam profesor zaś żąda: „niech Pan, Panie Jacku [sic!], wyciągnie kij (Pan wie skąd)”. Panie profesorze, wydaje mi się, że wiem, jednakże pod pewnym warunkiem. Warunkiem tym jest nasza obopólna przynależność do tego samego kręgu kulturowego, za którą idzie wzajemna czytelność kodów językowych. Gdyby np. kij, o którym Pan z taką swadą się wypowiada, miał pochodzić z obcego mi slangu pracowników wymiaru sprawiedliwości, to jednak bym nie wiedział. Zakładam wszakże, że nie idzie o żaden „kij w oko Temidzie”, ale o zadomowiony w polskiej frazeologii i dobrze nam obu znany kij w mrowisku. Już wyciągam.

Nie, proszę zostać! I tekturka niepotrzebna, sprawiedliwość została wymierzona i nie musimy do tego wracać. Chciałem tylko unaocznić, że wyjęcie kija z mrowiska nic już nie pomoże, kiedy mrówczym trudem zbudowany świat został naruszony w posadach. Opinię na temat ludzkich mrowisk i w ogóle wszelkiego mrowia pomógł mi sobie wyrobić zespół Papa Dance, który był raperem Matą mojego pokolenia. Kiedy zaczął się lansować hasłem „Milion fanek nie mogło się mylić”, przemyślałem, co należało, a nawet co nieco przeczytałem. Ale tak w ogóle to w tych dniach skupienia za bardzo się skupiam na problemach prof. Matczaka i rapera Maty, a za mało na własnych, co mi słusznie wytknięto. Zatem przechodzę do właściwego tematu felietonu, a za wprowadzenie niechaj posłużą trzy dobrane dość przypadkowo, a zatem tendencyjnie, wypowiedzi ze wzmiankowanego już PSS Społecz.

Pan Jacek Woynicz ze Szczecinka, pedagog po studiach na UAM-ie, był łaskaw zapytać na stronie „Tygodnika Powszechnego”: „Kto to jest koorwa Jacek Podsiadło???”, za co otrzymał dwa w pełni zasłużone lajki, jakkolwiek nie otrzymał odpowiedzi. Pani Jolanta Ostrowska z Gdyni doznała analogicznego zaciekawienia: „nie znam człowieka. Czy to ojciec Dawida Podsiadło?”. Jej dociekliwość została nagrodzona trzema lajkami. Pan Dominik Lis z Radomia zaś otrzymał, uwaga, nawet do 25 lajków! Pan Dominik Lis jest na wielkim głodzie wiedzy: „Jakie relacje z synem ma prof. Matczak wiemy. A jakie ze swoim synem ma pan Poeta? Czy w ogóle ma? Dawid mówi tylko o bardzo bliskich relacjach z matką, która samotnie wychowywała dwóch synów”.

Podejdźmy zatem z adekwatną powagą do poruszonych treści. Szanowni Państwo. Z ogromnym smutkiem muszę powiedzieć, że bardzo mi jest przyjemnie, że wspólnie podjęliśmy ten jakże trudny dla mnie temat na forum publicznym. Zmagam się z nim od dłuższego już czasu. Chcę to wreszcie mieć za sobą, dlatego zapewniam, że w poniższym ustępie nie dogrzebią się Państwo niczego o charakterze kłamstwa. Od razu na początku wyjaśnię, że moje relacje z synem, choć utrudnione, nigdy nie były z gruntu złe. Np. nigdy, ale to nigdy ani nie nakazywałem, ani nie zabraniałem mojemu Dawidowi śpiewać. Nikt chyba nie zaprzeczy, że jest to młodzieniec zajebiście dobrze wychowany. Zasadniczo wychowywałem go bezstresowo, czyli, jak to się mówi, *ab ovo*. Jak powiada poeta: czym skorupka za młodu nasiąknie, tego Jaś nie będzie umiał. Mógł to być i mój błąd, że papierkiem lakmusowym naszych emocji uczyniłem poezję i muzykę. Może pozwolą Państwo zacytować sobie zespół Lombard: na życie patrzysz bez emocji, na przekór rzekom i ludziom wbrew. Rozumieją Państwo? Takie patrzenie pod prąd codzienności. A wracając do mojej latorośli: to nigdy nie był łatwy charakterek. Zdarzyło się na przykład, że siadamy do kolacji i on jako młody bezkompromisowy mężczyzna rzuca przed siebie kawał szczerego, krwistego mięsa, coś w rodzaju, powiedzmy, „Tato, zapuszczam wąsy”. Rozumieją Państwo, że rodzic, który usłyszy coś takiego z ust syna, i to własnego, musi jakoś zareagować. Ale, aby odnieść się do czasów bardziej już współczesnych, powiem tylko, że syn mój jest osobą w pełni pełnoletnią i ponosi odpowiedzialność za swoje życiowe wybory. W październiku nawet się żeni, o czym łamy „Tygodnika” mają zaszczyt poinformować jako pierwsze i chciałbym, abyśmy ten fakt należycie uszanowali. Tzn., żebyśmy się dobrze rozumieli: NIE są Państwo, z całym szacunkiem, zaproszeni. Po prostu prywatne relacje człowieka z jego synem winny być objęte tajemnicą poliszynela, bynajmniej ja tak właśnie uważam. Cieszę się, że mogłem to z siebie wyrzucić i smacznego. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli toczy się postępowanie w sprawie I Ns 375/21 z wniosku Stanisławy Bednarowskiej o stwierdzenie nabycia prawa własności przez zasiedzenie nieruchomości stanowiącej działkę nr ewid. 1655 o pow. 0,2912 ha, położoną w miejscowości Zdziechowice Drugie, gmina Zaklików, woj. podkarpackie, nieposiadającą urządzonej księgi wieczystej, oraz działkę nr ewid. 1656 o pow. 0,2385 ha, położoną w miejscowości Zdziechowice Drugie, gmina Zaklików, woj. podkarpackie, nieposiadającą urządzonej księgi wieczystej. Ww. nieruchomości znajdują się aktualnie w posiadaniu Stanisławy Bednarowskiej.

Sąd wzywa wszystkich właścicieli ww. nieruchomości, a w szczególności Karolinę Łyszczarz z d. Czerwińską, c. Wojciecha i Zofii, oraz Teresę Bednarowską, bądź ich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od daty zamieszczenia ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego i wykazali swoje prawa do tychże nieruchomości.

O ile w tym terminie nikt się nie zgłosi albo praw swoich nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono wykazane.

WIARA

DYM DEMONÓW

Koszmarna historia z wrocławskiego klasztoru dominikanów powinna nas uczulić na zjawiska, które ułatwiają fizyczną i duchową przemoc także dziś.

PIOTR SIKORA

Słuchając osób skrzywdzonych przez Pawła M., trzeba wziąć na poważnie głos wypowiedziany przez jedną z kobiet w imieniu wielu z nich: „To, że on zrobił nam krzywdę fizyczną czy dobierał się do naszych ciał, to już była wisienka na torcie, to był tylko efekt tego, co nam wszystkim zrobił psychicznie".

Ewolucja i teologia

Krzywda psychiczna ma wiele wymiarów. Dokładne jej opisanie możliwe byłoby tylko na podstawie dialogu z każdą z osób skrzywdzonych – tym bardziej że w przypadku każdej osoby krzywda jest trochę inna. Czytając raport komisji powołanej do zbadania tej sprawy, a także pojawiające się w innych miejscach relacje i wyznania skrzywdzonych, można jednak dostrzec pewne ogólne schematy, które stanowią jakby „szkielet" wyrządzonej przez Pawła M. krzywdy.

Centralnym elementem owego „szkieletu" była magiczno-demoniczna wizja rzeczywistości, będąca podstawą religijności zdominowanej przez lęk. Ta właśnie wizja uzasadniała przemocowe rytuały, którym poddawały się osoby zmanipulowane przez dominikanina. Ich trafna intuicja doznawanej krzywdy i rodzący się na tej podstawie sprzeciw wobec działań duszpasterza były neutralizowane poprzez wzbudzanie lęku przed czyhającym złem i poczucia winy, że za rozmaite zło, dziejące się w świecie, odpowiedzialni są opierający/opierające się jego przemocowym zachowaniom.

Manipulację z pewnością ułatwiały działające w każdym człowieku mechanizmy wykształcone w procesie ewolucji. W niebezpiecznym środowisku zdecydowanie większą szansę przetrwania mieli ci członkowie pierwotnej społeczności, którzy byli bardziej wyczuleni na zagrożenia. Co więcej, z ewolucyjnego punktu widzenia bardziej „opłacało się" interpretować niejasną sytuację jako zagrażającą, nawet jeśli w rzeczywistości zagrożenia nie było. Większą bowiem szansę przeżycia miał ten, kto brał grę świateł na liściach za zbliżającą się, dobrze zamaskowaną panterę, niż ten, kto pomylił się traktując zamaskowaną panterę jako tylko grę świateł. Ten pierwszy najwyżej mógł najeść się strachu, ten drugi prawdopodobnie został zjedzony.

Odziedziczyliśmy zatem po przodkach tendencję dostrzegania zagrożeń nawet tam, gdzie ich nie ma – jeśli tylko nie potrafimy jasno i w pewny sposób rozpoznać iluzoryczności niebezpieczeństwa. Nasz umysł ma zatem skłonność, by ulegać sugestii, że nam, naszym bliskim lub w ogóle światu grozi tajemnicze niebezpieczeństwo duchowe – jeśli tylko nie potrafimy przekonać samych siebie, w niewątpliwy dla nas sposób, że sugerowane niebezpieczeństwo jest złudzeniem (a w sferze ducha o taką jasną pewność trudno).

Tendencja ta była jednak wzmocniona przez fakt, że demoniczno-magiczna wizja rzeczywistości głoszona przez Pawła M. nie była jego autorskim pomy-

TOMASZ ADAMOWICZ / GAZETA POLSKA / FORUM

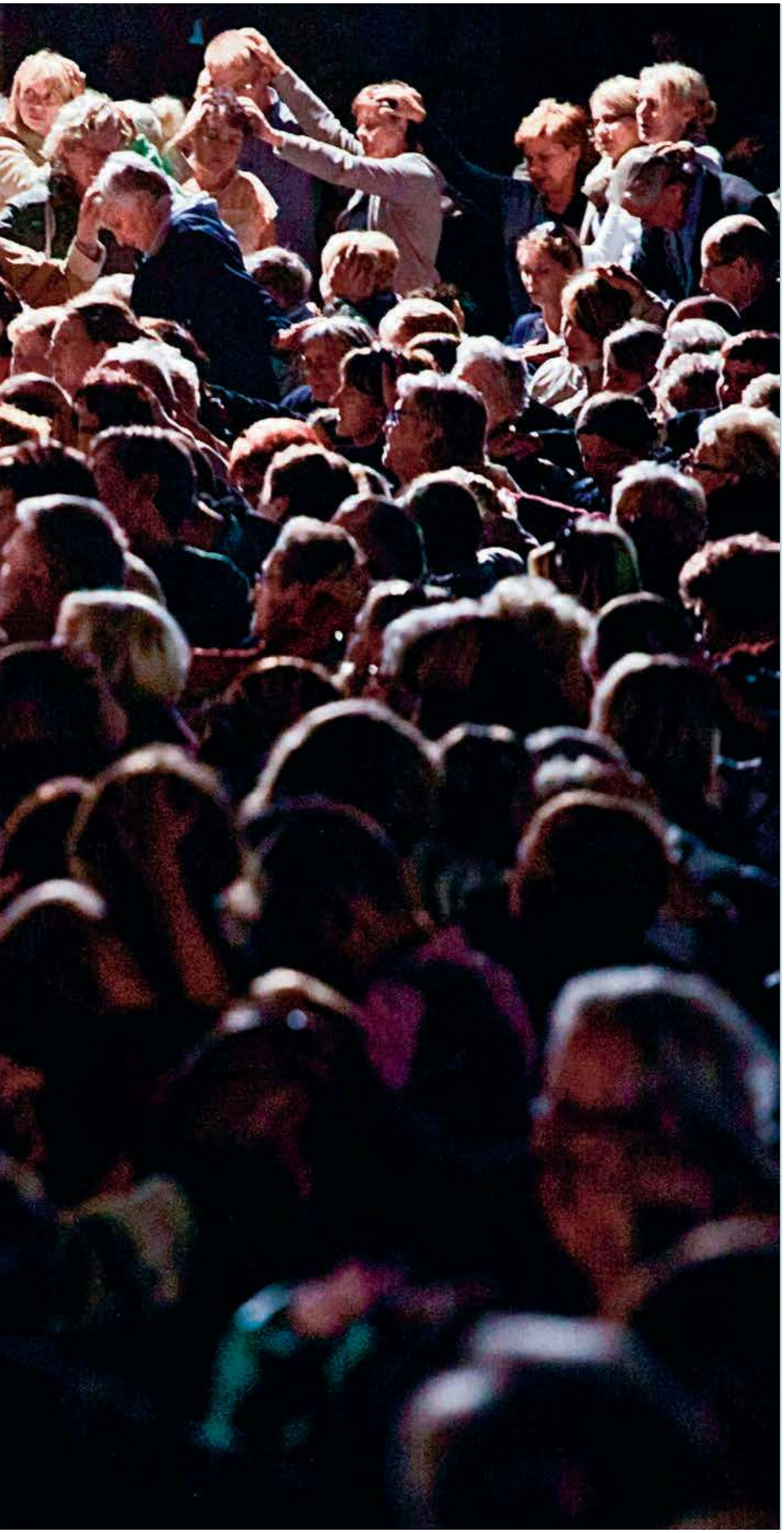

słem. Rozpowszechniano ją w wielu kościelnych wspólnotach, zwłaszcza należących do nurtu charyzmatycznego. Osoby przychodzące do dominikańskiego duszpasterstwa we Wrocławiu mogły już wcześniej słyszeć kazania i konferencje o podobnej treści. A to mogło uwiarygodniać słowa ich duszpasterza.

Mechanizm działa

Sprawa Pawła M. powinna nas uwrażliwić na fakt, że owa demoniczno-magiczna wizja rzeczywistości i oparta na niej religijność lęku nie tylko nie zanikły, ale przeciwnie – stają się coraz bardziej rozpowszechnione w wielu wspólnotach katolickich w Polsce.

Przeglądając internet możemy łatwo trafić na przekaz, zgodnie z którym „nadchodzą czasy ciemności i wielkiego oszustwa". Potężne zło atakuje i tylko „schronienie w krwi Chrystusa" nas uratuje – tak głosi jeden z bardziej popularnych „kaznodziejów lęku", ks. Dominik Chmielewski. Swoje apokaliptyczne przesłanie ilustruje historią znajomej katolickiej rodziny, która została – jak twierdzi – duchowo zaatakowana przez sąsiadów parających się czarami. W domu pobożnych ludzi zaczęły dziać się złe i dziwne rzeczy. W trakcie seansu rozeznania, w którym uczestniczyła rodzina i zaproszony autor konferencji, okazało się, że ojciec rodziny musi zanurzać swoich bliskich i swój dom we krwi Chrystusa – tj. odmawiać modlitwę, w której wymawia słowa „zanurzam w krwi Chrystusa...". Regularne odmawianie takiej modlitwy (czyż nie wygląda ona raczej na zaklęcie ochronne?!) pomogło – uspokaja kaznodzieja.

Wspomniana konferencja ma na YouTubie niemal ćwierć miliona odsłon. Pojawiła się zaś na kanale „Jezus jest Panem", który ma 64 tys. stałych subskrybentów. Wypowiedź ks. Chmielewskiego, typowa dla tego popularnego rekolekcjonisty (nieustannie przestrzega przed zagrożeniami duchowymi, twierdzi, że furtką, przez którą diabeł w nas wchodzi i opanowuje, może być ćwiczenie wschodnich sztuk walki, czytanie „Harry'ego Pottera", o praktyce jogi nawet nie wspominając), nie odbiega od wielu innych, które można tam znaleźć. Choćby od konferencji ks. Piotra Glasa – w których motywy ↦

Rekolekcje z o. Johnem Bashoborą w Górce Klasztornej, sierpień 2013 r.

duchowej wojny, ataku demonów na Polskę, poszczególne rodziny i ludzi mieszają się z przedstawianiem „mistycznych” wizji, w których miliony dusz zostają uwolnione z szatańskich więzów i wznoszą się do nieba nad Jasną Górą podczas Wielkiej Pokuty.

Wiele z tych motywów pojawia się w wypowiedziach organizatorów wspomnianej Wielkiej Pokuty i innych wydarzeń gromadzących setki tysięcy ludzi: Różańca do Granic i Polski pod Krzyżem. Listy zagrożeń duchowych, na których znajdują się także Beatlesi czy pacyfka, można znaleźć na internetowych stronach wielu parafii i grup charyzmatycznych. Gdy zaś portal franciszkanie.pl przestrzega, że udział w zabawie halloweenowej – czyli np. w dyskotece, na którą należy przyjść w szpiczastym kapeluszu i pelerynie albo w czarnym kostiumie z namalowanym na nim szkieletem – wikła dzieci w magię i okultyzm (co może łatwo prowadzić do opętania przez diabła), powtarza tylko ostrzeżenia, które można co rok usłyszeć w wielu miejscach Kościoła.

Jeśli z poczuciem absurdu i zarazem zgrozą dowiadujemy się, że Paweł M. zabraniał studentom korzystać z aparatów fotograficznych Canon (bo to imię jednej z ważniejszych postaci z buddyjskiego panteonu bodhisattwów), pamiętajmy, że są nadal w Polsce wspólnoty, w których sugeruje się, by nie robić zakupów w sieci sklepów Lewiatan (gdyż jest to imię biblijnego potwora o szatańskich cechach). Gdy czytamy, jak w proces manipulowania studentów Paweł M. wplótł akt palenia starych mebli, jakoby zamieszkanych przez demony, nie zapominajmy, że w 2019 r. podczas rekolekcji organizowanych przez charyzmatyczno-ewangelizacyjną grupę ksiądz rekolekcjonista doprowadził do tego, że uczestnicy przynosili książki o Harrym Potterze, parasolki z motywem Hello Kitty czy afrykańskie i hinduskie rzeźby, aby je spalić przed kościołem – miało to ustrzec ich dotychczasowych właścicieli przed działaniami demonów.

Sprawa Pawła M. powinna nas uwrażliwić na fakt, że **demoniczno-magiczna wizja rzeczywistości** i oparta na niej religijność lęku nie tylko nie zanikły, ale stają się coraz powszechniejsze w wielu wspólnotach.

Zwrócenie uwagi na takie zjawiska i zdecydowane, krytyczne odniesienie się do nich jest ważne z kilku powodów. Po pierwsze – ze względu na osoby skrzywdzone przez Pawła M., zwłaszcza te, dla których chrześcijaństwo i Kościół nadal pozostają ważnym punktem odniesienia. Powszechna obecność w Kościele „teologii lęku” – podobnej do tej, na której ich krzywdziciel opierał swoje działania – może sugerować, że ich były duszpasterz miał jednak trochę racji w tym, co im wmawiał, a przez to utrudnić im proces leczenia ran.

Po drugie – gdyż owa demoniczno-magiczna wizja świata niszczy życie wielu innym osobom, zwłaszcza głęboko religijnie zaangażowanym w grupach, w których owa „teologia lęku” dominuje. W środowiskach takich nie musi wcale dochodzić do fizycznej przemocy, jak w duszpasterstwie prowadzonym przez Pawła M. Ale szkody i zranienia, jakie taka wizja świata może przynieść tym, którzy do niej zostaną przekonani i będą działać na jej podstawie, i tak mogą być bardzo poważne (historię jednej z tak skrzywdzonych osób opisywaliśmy w „TP”: powszech.net/szymanska). Zasięg popularności „kaznodziejów lęku” każe przypuszczać, że osób mniej lub bardziej skrzywdzonych w ten sposób jest w Kościele w Polsce wiele.

Niedookreśloność doktryny

Pojawia się tu oczywiście problem, w jaki sposób „walczyć” z teologią i kaznodziejstwem lęku. Ważną myśl sformułował na swoim blogu ks. Grzegorz Strzelczyk. Zauważył, że wspólnym mianownikiem aberracji teologicznych Pawła M. było uznanie własnego, osobistego doświadczenia i natchnień za podstawowe źródło teologicznej interpretacji świata i za kryterium interpretacyjne wszelkich innych źródeł, w tym pism natchnionych i kościelnych sformułowań doktrynalnych. Zgodnie z zawartą w tej wypowiedzi katowickiego teologa sugestią trzeba wyraźnie dopowiedzieć, że podobnie dzieje się w przypadku wielu (jeśli nie większości) kaznodziejów lęku.

Ks. Grzegorz Strzelczyk sugeruje zatem, że potrzebne jest w polskim Kościele, a zwłaszcza tych jego nurtach, które związane są z pobożnością ludową i duchowością charyzmatyczną, przywrócenie pierwszeństwa dogłębnego studium obiektywnych (natchnionych i doktrynalnych) źródeł myślenia teologicznego. Dopiero taka dogłębna znajomość Pisma Świętego i doktryny Kościoła pozwala na właściwą ocenę osobistych doświadczeń duchowych i rozeznanie, które z nich można uznać za autentyczne natchnienia Ducha Świętego prowadzącego wierzących przez życie.

POŻEGNANIE

W dniu 3 września 2021 roku
Odeszła nasza ukochana Mama, Babcia i Prababcia

Ś.† P.

Eugenia Flekiewicz

z domu Chojnacka, ur. 15.12.1926 r.
Harcerka II Rzeczypospolitej, Członek AK
oraz Rady Głównej Opiekuńczej.
Wierna Czytelniczka „Tygodnika Powszechnego”.

O czym powiadamia pogrążona w smutku

Rodzina

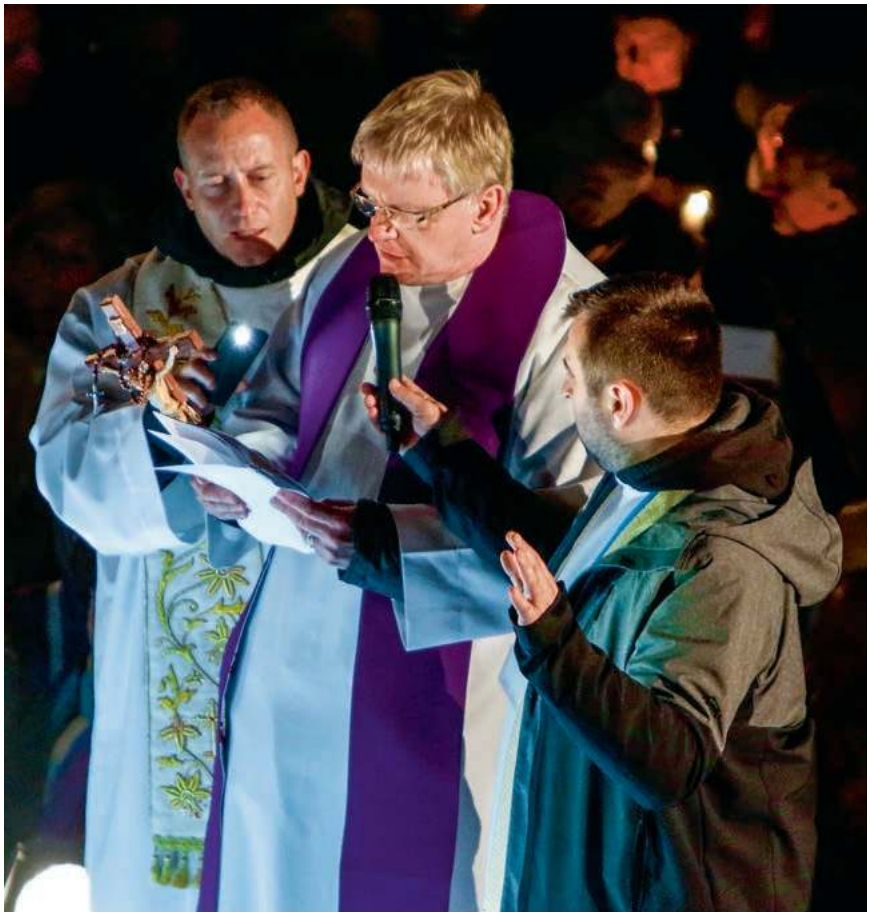

HENRYK PRZONDZIONO / GOŚĆ NIEDZIELNY / FORUM

Ks. Dominik Chmielewski (pierwszy z lewej) podczas nabożeństwa „Wielka Pokuta za wszystkie grzechy popełnione w Polsce", Częstochowa, październik 2016 r.

Ks. Strzelczyk ma niewątpliwie sporo racji. Sprawa jest jednak, moim zdaniem, znacznie bardziej skomplikowana. Uważne studium świętych pism i doktrynalnej tradycji Kościoła prowadzi bowiem do odkrycia, że treści w nich zawarte nie tworzą całkowicie spójnego systemu, który jasno wyznaczałby interpretację otaczającej nas rzeczywistości ani – tym bardziej – pozwalałby uzyskać jednoznaczne odpowiedzi na życiowe pytania.

W Biblii znajduje się i Księga Rodzaju, z otwierającym ją poematem o stworzeniu opiewającym piękno i dobro wszystkich dzieł Boga, i Księga Koheleta, głosząca, że wszystko to jest marnością, która nie może przynieść człowiekowi spełnienia. Znajdziemy fragmenty uznające wszelkie religie poza kultem Izraela za bałwochwalstwo, lecz także opowieść o Hiobie: poganinie, który był człowiekiem sprawiedliwym, autentycznie – choć na swój sposób, poza kultem Izraela – czczącym Boga prawdziwego. W Nowym Testamencie spotykamy Jakuba, która wprawdzie zgadza się, by chrześcijanie przychodzący do Kościoła spoza Izraela zachowywali tylko zasady przymierza noachickiego, ale rezygnację z obrzezania przez wiernych pochodzenia żydowskiego uważa za zdradę wiary. Spotykamy jednocześnie Pawła z Tarsu, który za taką zdradę uważa właśnie trwanie chrześcijan-Żydów przy praktyce obrzezania.

Także doktrynalna tradycja Kościoła nie stanowi spójnego – ani niezmiennego – systemu: Sobór Florencki stwierdził, że nikt, kto nie jest katolikiem, „choćby przelał krew dla Imienia Chrystusa", nie może być zbawiony. Sobór Watykański II głosił, że Duch Święty także niechrześcijanom daje możliwość uczestnictwa w misterium paschalnym (a jest to obrazowe stwierdzenie, na czym właśnie polega zbawienie).

Jeszcze bardziej takie niedookreślenie doktryny dotyczy nauki moralnej – tj. odnoszącej się do konkretnych życiowych decyzji człowieka. Żadne ogólne normy i zasady nie zdołają uwzględnić wszelkich okoliczności życiowych. Jak zauważył Ludwig Wittgenstein, w przypadku każdej, nawet bardzo precyzyjnie sformułowanej reguły powstaje problem sposobu jej stosowania do konkretnych sytuacji. Nie możemy go rozwiązać, odwołując się do kolejnej reguły, czyli do reguły stosowania pierwszej reguły (bo powstanie kolejny problem – sposobu stosowania tej drugiej reguły, i tak w nieskończoność). Ostatecznie, dowodzi austriacki filozof, musimy polegać na doświadczeniu płynącym z praktyki życiowej.

Sam Wittgenstein swoje uwagi sformułował w odniesieniu do językowych reguł używania słów, ale jego rozumowanie stosuje się w równym stopniu w przypadku etycznych reguł postępowania. Filozoficzne rozumowanie spotyka się tu z obecną w tradycji katolickiej zasadą prymatu sumienia oraz z – tak mocno podkreślaną przez papieża Franciszka – koniecznością indywidualnego rozeznawania. Człowiek rozeznający swoją drogę w skomplikowanej tkance okoliczności życiowych może korzystać z doktryny Kościoła – ale tylko jako z ważnej wskazówki, a nie jak z zasobnika gotowych rozwiązań.

Osobista dojrzałość

Spostrzeżenie, że w wielu wspólnotach Kościoła w Polsce potrzebne jest dogłębne studium chrześcijańskiej tradycji, zapisanej w pismach, które weszły do kanonu biblijnego, a także w późniejszych tekstach doktrynalnych, trzeba więc uzupełnić o uwagę, że konieczne jest również wychowanie ludzi do dojrzałej życiowej samodzielności. A tego drugiego brakuje nie mniej niż znajomości teologii.

Mierząc się z tym problemem trzeba pamiętać, że wychowaniu do dojrzałej samodzielności nie sprzyja obecna struktura katolickiej wspólnoty – z wyraźnym podziałem na „pasterzy", który prowadzą, i „trzodę", która jest prowadzona. Sposób mówienia kształtuje sposób myślenia – a zatem już sama metaforyka, wprowadzająca gatunkową różnicę pomiędzy zwykłymi wiernymi a księżmi i biskupami, sprzyja kształtowaniu się postaw, w których to, czego naucza duszpasterz (zauważmy, co przemyca do głowy to słowo!), staje się ważniejsze od osobistego rozeznania człowieka.

W raporcie komisji badającej sprawę Pawła M. i dominikanów uderzają relacje skrzywdzonych kobiet, które wspominają, że rodził się w nich wewnętrzny opór przeciw przekraczaniu ich granic, że nie chciały seksualnych zachowań, do których ich tamten nakłaniał, że czuły się ↦

↦ „jak dziewczynka wykorzystywana przez wujka". Nie miały jednak w sobie tyle siły, by ostatecznie się przeciwstawić. Nie wykrzesały tej siły być może dlatego, że nie miały dostatecznego zaufania do własnych, naturalnych intuicji moralnych. Nie można ich o to obwiniać. Wychowywały się i przebywały w środowisku, w którym z góry zakłada się, że ksiądz wie lepiej – naucza, przedstawia wolę Bożą, kieruje duchowo.

Zastanawiające, że taka – wyższa – pozycja „duchownego" pojawia się niemal w każdym przypadku krzywd seksualnych doznanych ze strony przedstawicieli instytucji religijnych (tak w Kościele katolickim, jak i w tradycjach od chrześcijaństwa odległych, np. buddyzmie). Jeśli więc chodzi nam o zapobieganie teraz i w przyszłości krzywdom podobnym do tych, które wyrządził Paweł M., trzeba podjąć wysiłek „spłaszczenia" struktury Kościoła (zwłaszcza w aspekcie autorytetu duchowego). Istnieją w chrześcijańskiej tradycji nurty, które na to pozwalają (począwszy od ewangelicznej sentencji Jezusa, by nikogo nie nazywać mistrzem i ojcem, gdyż siostrami i braćmi jesteśmy). Inne aspekty tradycji i doktryny wymagać jednak będą przepracowania.

Podobnie rzecz ma się z – koniecznie powiązanym z taką zmianą struktury – wychowaniem do dojrzałej samodzielności. I w tym procesie można korzystać z wielu zasobów chrześcijańskiej tradycji. Są jednak i takie, nawet szacowne, jej nurty, które wymagają odrzucenia (np. dość rozpowszechniona teologia duchowości, która niemal gloryfikuje posłuszeństwo kierownikowi duchowemu). Wychowując do dojrzałości, nie da się także pominąć tych osiągnięć współczesnej psychologii i pedagogiki, które pokazują, jak budować poczucie własnej wartości, rozpoznawać naruszanie swoich granic czy rozwijać nieagresywną asertywność. Musimy być nie tylko zdolni oceniać indywidualne doświadczenie w świetle chrześcijańskiej tradycji, ale również gotowi konfrontować tę ostatnią z wynikami nauk o człowieku.

Demony, którymi straszył Paweł M. – i którymi straszą współcześni kaznodzieje lęku – są jak dym. Nie mają trwałego bytu, ale jednak przesłaniają widok, zatruwają życie. Oby się rozwiały.

©℗ PIOTR SIKORA

Bezbronne

ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI

Od kilku lat w niemieckim Kościele katolickim wzrasta świadomość problemu przemocy wobec dorosłych, zwłaszcza kobiet.

Bardzo ważne, by człowiek mógł mówić we własnym imieniu. Jedynym sposobem na wyjście z podległości jest odnalezienie własnego głosu i możliwość opowiedzenia swojej historii – tak o znaczeniu, jakie ma wysłuchanie bezpośrednich relacji ofiar mówi profesor Ute Leimgruber. Teolożka z Uniwersytetu w Ratyzbonie zajmuje się przemocą wobec kobiet w środowisku kościelnym i mechanizmami nią rządzącymi. Niespełna rok temu, 25 listopada 2020 r., w światowy dzień przeciwdziałania przemocy wobec kobiet, ukazała się w Niemczech współredagowana przez nią książka pod znaczącym tytułem „Opowiadanie jako opór. Doniesienia o duchowym i seksualnym wykorzystywaniu dorosłych kobiet w Kościele katolickim".

Przełamanie tabu

23 historie opowiedziane własnymi słowami przez kobiety, które jako dorosłe doświadczyły w środowisku kościelnym przemocy duchowej lub seksualnej. Przemocy będącej zarazem wynaturzeniem władzy i jej wykorzystaniem. Historia młodej kobiety pracującej dla Kościoła, molestowanej przez księdza-zwierzchnika, nakłonionej przez niego i zasugerowanego przez niego spowiednika do aborcji. Historia dziewczyny w pełni ufającej swojemu starszemu krewnemu, zakonnikowi, który z rozmysłem budował zaufanie, by krok po kroku łamać jej granice intymności. Historia spowiednika wykorzystującego traumę przemocy seksualnej z dzieciństwa kobiety, by wejść z nią w erotyczną relację, zawsze jednak określaną mianem kierownictwa duchowego.

Gest publicznego opowiedzenia o tym jest, jak głosi tytuł, aktem sprzeciwu i wyrwania się spod władzy sprawcy. Ma również, jak wiemy choćby z przykładu historii wrocławskich dominikanów, niebagatelne znaczenie dla zatrzymania zła. „Nazywanie przemocy po imieniu jest oporem wobec samych czynów i oporem wobec ich tuszowania" – czytamy na stronie internetowej poświęconej książce. Historiom towarzyszą eseje teologiczne analizujące charakterystyczne procesy zachodzące w przypadkach manipulacji i przemocy w środowisku religijnym.

Wydanie książki możliwe było dzięki inicjatywie jednego z dwóch największych zrzeszeń katoliczek w Niemczech, KDFB (Katholischer Deutscher Frauenbund – Katolicki Niemiecki Związek Kobiet). Kiedy wybuchła w Kościele niemieckim debata na temat przemocy wobec dzieci i młodzieży, związana z publikacją głośnego raportu zwanego MHG-Studie, teologiczna komórka KDFB, do której należą cztery redaktorki książki, dr Barbara Haslbeck, dr Regina Heyder, prof. Ute Leimgruber i Dorothee Sandherr-Klemp, zaczęła zwracać uwagę na fakt, że przemoc w Kościele jest zjawiskiem szerszym, że dotyczy również dorosłych, a wśród nich szczególnie kobiet. Rok później KDFB wystosował apel do wszystkich kobiet-ofiar przemocy o przesyłanie świadectw. Zebrane historie zostały opublikowane pod pseudonimami.

Książka pojawia się w trakcie gorącej debaty kościelnej w Niemczech, wywołanej przez MHG-Studie i uruchomioną w konsekwencji Drogę Synodalną (podczas której biskupi prowadzą systematyczny dialog ze świeckimi). To szczególny czas dla tego Kościoła lokalnego: skończyło się trwające przez lata milczenie w różnych kwestiach i do debaty publicznej trafiają w sposób nieocenzurowany najróżniejsze głosy z każdej strony katolickiego spektrum. Również książka promowana przez KDFB spo-

MARTIN MEISSNER AP / EAST NEWS

Spotkanie modlitewne członkiń ruchu Maria 2.0, założonego przez katolickie działaczki walczące o równość płci w Kościele, zniesienie celibatu i transparentność w wyjaśnianiu skandali seksualnych duchownych, Münster, styczeń 2020 r.

tkała się z dużym odzewem. Wysłana do wszystkich uczestników Drogi Synodalnej, w tym do wszystkich niemieckich biskupów, zainteresowała dziennikarzy, aktywistów i samych hierarchów.

Publikacja tych historii jest ważnym etapem debaty o przemocy wobec dorosłych w Kościele niemieckim. Debaty stosunkowo nowej, która wyraźnie nabrała tempa w ostatnich latach. Jej najnowsze odsłony poświęcone są nade wszystko przemocy wobec dorosłych kobiet – jako grupy szczególnego ryzyka.

– Kwestia wykorzystywania kobiet zawiera elementy specyficznie związane z płcią. Kobiety w patriarchalnym, seksistowskim systemie doświadczają także innej formy mizoginii, która z kolei znajduje odzwierciedlenie w aktach przemocy – tłumaczy Leimgruber.

Głos wykorzystanych

Pierwsze informacje na temat pojedynczych przypadków przemocy w środowisku religijnym zaczęły dochodzić do niemieckiej opinii publicznej na przełomie wieków. Były to początkowo świadectwa spoza świata katolickiego, potem zaczęły pojawiać się pojedyncze opowieści byłych sióstr zakonnych. Leimgruber zwraca uwagę, że podobnie jak w ich książce, w wychodzących wówczas na jaw historiach przemoc seksualna zawsze szła w parze z duchową manipulacją. To połączenie, wykorzystujące władzę duchową do innych typów przemocy, stanowi specyfikę przestępstw seksualnych w kontekście religijnym.

W 2010 r. swoją historię zdecydowała się opowiedzieć dr Doris Reisinger, dziś teolożka i filozofka, która jest jedną z ważniejszych postaci zarówno dla pokrzywdzonych, jak i w eksperckiej debacie na temat przyczyn przemocy w Kościele katolickim. Cztery lata później ukazała się jej książka „Już nie ja. Prawdziwa historia pewnej młodej zakonnicy". Na przełomową rolę jej świadectwa zwraca uwagę dr Aurica Jax, teolożka kierująca Biurem ds. Duszpasterstwa Kobiet przy Konferencji Episkopatu Niemiec. Oprócz książki szerokim echem odbiła się na początku 2019 r. transmitowana przez telewizję rozmowa Reisinger z kard. Christophem Schönbornem, z zapadającym w pamięć, pełnym emocji jej pytaniem, czy kardynał wierzy w jej świadectwo. „Wierzę pani, tak".

Początek 2019 r. to także publikacja kolejnej książki dr Reisinger, poświęconej duchowej manipulacji w kierownictwie duchowym w Kościele. Na ten czas przypada również wejście na ekrany w Niemczech francuskiego filmu dokumentalnego przygotowanego dla kanału Arte, przedstawiającego problem przemocy seksualnej wobec zakonnic i jej systemowego tuszowania. – Było to bardzo ważne dla percepcji społecznej w Niemczech, ponieważ wyraźnie pokazano, że zjawisko przemocy wobec zakonnic istnieje, i to w katastrofalnym wymiarze, oraz że jest to zjawisko ogólnoświatowe – ocenia Leimgruber.

Instytucjonalna odpowiedź

Rok 2019 przyniósł także pierwszą oficjalną, instytucjonalną odpowiedź na rosnącą świadomość wagi problemu przemocy wobec dorosłych kobiet. We wrześniu kierowane przez Auricę Jax biuro zorganizowało w Siegburgu dwudniowe spotkanie poświęcone przemocy w środowisku kościelnym, przygotowane „przez kobiety dla kobiet". Wśród ponad stu uczestniczek znalazły się zarówno pokrzywdzone, jak i kobiety naukowo zajmujące się problemem, siostry zakonne odpowiedzialne za formację, które chciały się z tematem skonfrontować i nauczyć się uwzględniać zagrożenie przemocą w swojej pracy, a także dziennikarki – zobowiązane jednak do dyskrecji.

Ta chroniona przestrzeń stała się dla wielu kobiet bezprecedensową okazją do doznania solidarności. Odkryły, że nie są same, że wiele pokrzywdzonych chce o swojej krzywdzie mówić i że wiele jest osób wrażliwych, które chcą ich wysłuchać. Spotkanie w Siegburgu to kamień milowy w społecznym dostrzeżeniu problemu. ↦

Od stycznia 2021 r. przy Biurze ds. Duszpasterstwa Kobiet uruchomiono punkt kontaktowy dla pokrzywdzonych kobiet dorosłych. Na wiadomości od nich czeka ośmioro doradców, zgłaszającym się zapewniona jest anonimowość. Aurica Jax opowiada, że zgłoszenia są bardzo różne. Pokrzywdzone piszą, że sama świadomość istnienia takiego oficjalnego punktu wspieranego przez Kościół hierarchiczny jest dla nich bardzo ważna. Pojawiają się pytania, do kogo zwrócić się w danej diecezji. Jedne kobiety po prostu chcą opowiedzieć swoją historię, inne są gotowe oficjalnie zgłosić doznaną przemoc (zazwyczaj nie chodzi o świeckie sądownictwo, bo sprawy najczęściej się przedawniły, ale chociaż o kościelne – przeciw sprawcy albo zakonom, które nie zareagowały lub odmówiły wsparcia). Są wreszcie wiadomości od kobiet, które potrzebują intensywnego i stałego wsparcia, bo doświadczenie przemocy zrujnowało ich życie.

Po pierwszym półroczu działalności bp Franz-Josef Bode, odpowiedzialny w niemieckim episkopacie za Komisję ds. Kobiet, podsumował działanie punktu, mówiąc o blisko 11 tys. odsłon strony internetowej, 300 mailach i około 50 poradach. Wśród zgłaszających się kobiet przeważały siostry zakonne, również byłe. Bp Bode wspomniał, że trwają pierwsze rozmowy nad utworzeniem podobnego punktu kontaktowego dla mężczyzn.

Przemoc wobec zakonnic

Kiedy pytam Jax o jej bilans pierwszego półrocza, podkreśla, że znajdują się na początku drogi. Wsparcie instytucjonalne jest w jej ocenie krokiem naprzód, ale jednocześnie historie, które poznają, i trudności, jakie kobiety wciąż napotykają w walce o sprawiedliwość, są przerażające.

Przeważająca liczba sióstr zakonnych w tych anonimowych zgłoszeniach nie jest niczym zaskakującym. Leimgruber podkreśla, że są one grupą szczególnie narażoną na podległość wobec władzy, zarówno tej formalnej, jak i duchowej. – Problemy zakonów żeńskich są specyficzne, ponieważ relacje zależności są bardziej złożone, relacje duszpasterskie wyglądają inaczej, a przemoc duchowa odgrywa inną rolę.

Zwraca również uwagę na to, że o dokładnym wymiarze tej przemocy nie mamy danych. Stąd potrzeba porządnej, naukowej i empirycznej pracy, by znaleźć konkretne przykłady, ocenić ich statystyczne znaczenie, zrekonstruować procesy i charakterystyczne modele zachowań. Od października Leimgruber, Reisinger i Haslbeck będą wspólnie pracowały nad kilkuletnim programem badawczym afiliowanym przy Uniwersytecie w Ratyzbonie, mającym na celu zbadanie skali przemocy wobec zakonnic.

> Po odkryciu skali przemocy wobec kobiet **nie można patrzeć na historię Kościoła tymi samymi oczami** ani uprawiać teologii tak jak przedtem.

Oprócz liczb wielkim problemem, jasno postrzeganym w Kościele niemieckim, jest to, na ile sposób formacji i samo nauczanie kościelne przyczyniły się do zaistnienia przemocy, zwłaszcza tej, która opiera się na manipulacji duchowej. Walka trwa nie tylko o to, by uznać konkretne historie za przypadki przemocy i by rozliczyć winnych. Także o to, by zauważyć, że po odkryciu skali przemocy nie można patrzeć na historię Kościoła tymi samymi oczami ani uprawiać teologii tak jak przedtem.

Jak zauważa Jax, były już w historii Kościoła momenty, w których świadomość ogromu zła doprowadziła do refleksji, że z powodu tego, co się stało, nie pozostał kamień na kamieniu. Nastąpiła zmiana paradygmatu. – I dla mnie taką zmianę wywołuje również historia przemocy seksualnej. Myślę, że trzeba na nowo spojrzeć na Kościół i teologię.

Zauważenie przemocy jako zjawiska powodującego poważny wstrząs w świadomości Kościoła ma również być podstawą tekstu programowego komisji do spraw kobiet na Drodze Synodalnej. Wraz z rozwojem dyskusji w jej ramach coraz wyraźniej widać, że chodzi nie tylko o teoretyczną dyskusję o dostępie kobiet do określonych urzędów, ale także o przejrzenie teorii i praktyki kościelnej w kontekście powszechności zachowań przemocowych. Nie wszyscy członkowie komisji akceptują jednak ten postulat i wciąż nie jest jasne, czy znajdzie on swoje miejsce w dokumencie końcowym.

Na przyszłość

Tymczasem najbliższe miesiące przyniosą kolejne inicjatywy pogłębiające analizę zjawiska przemocy wobec dorosłych w Kościele niemieckim. Na początku października w Münster odbędzie się konferencja „Dojść do głosu. Teksty biblijne i przemoc seksualna". Jak piszą organizatorzy, będzie się podczas niej „analizować teksty biblijne, aby sprawdzić, w jaki sposób odnoszą się one z jednej strony do przemocy seksualnej, a z drugiej – jakie teksty były i są wykorzystywane do nadużywania władzy duchowej. (...) Pragniemy położyć nowy fundament pod uzdrawiającą interpretację tekstów biblijnych, która może pomóc wierzącym w każdym wieku nabrać większej pewności siebie w kontaktach z tymi, którzy chcą nadużywać swojej władzy duchowo i seksualnie".

Na przyszłoroczny Katholikentag zaplanowany został natomiast duży panel pod tytułem #AdultsToo, zainicjowany przez KDFB, który będzie dotyczył nie tylko przemocy wobec kobiet, ale generalnie wykorzystywania dorosłych – zapowiada Leimgruber, która jest wśród organizatorów dyskusji. Przygotowuje ona również anglojęzyczną wersję książki „Opowiadanie jako opór", tym razem zbierającą historie spoza Niemiec.

Na jaką zmianę liczy w najbliższej przyszłości? – Konieczna jest zmiana prawa kościelnego, by nadużycia seksualne wobec dorosłych zostały jasno zdefiniowane. – tłumaczy Leimgruber. – Obecnie mogą one być ścigane, jeśli pokrzywdzony „potrzebował ochrony i pomocy". Konferencja Episkopatu Niemiec w zarządzeniu z 2019 r. napisała, że ta prawna definicja potrzeby ochrony i pomocy zostanie poszerzona o odniesienie do faktu, że ochrony i pomocy potrzebują także osoby, które pozostają w relacjach władzy i zależności, jakie mogą pojawić się w relacjach duszpasterskich. A ja uważam, że to wciąż za mało. Potrzebujemy jasnych przepisów, które pokażą, że każdy akt seksualny w ramach relacji duszpasterskiej jest wykorzystaniem. Ponieważ relacje duszpasterskie zawsze generują relację władzy i zależności.

© ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI

MURAD SEZER / REUTERS / FORUM

Ceremonia ślubna przygotowana przez wspólnotę żydowską z Izmiru na Europejskie Dni Kultury Żydowskiej. Synagoga Shalom, Stambuł, październik 2018 r.

Mojżesz, Allah i goście

MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z IZMIRU

Choć Żydzi w Izmirze od wieków modlili się tuż obok muzułmanów, ich dziedzictwo popadło w zapomnienie. Dziś to się zmienia.

Wygląda niepozornie. Właściwie łatwo ją przegapić, wędrując krętymi uliczkami Kemeraltı, jednego z najstarszych bazarów nie tylko w Turcji, ale i na świecie. Odrapane, bure, pomazane sprayami ściany nie zapowiadają niczego ciekawego. Ot, kolejny stary budynek naprzeciwko restauracyjki z kebabem.

Gdy podniesiemy jednak wzrok, dostrzeżemy marmurową bramę z frontonem i inskrypcjami w języku hebrajskim, nienaturalnie wklejoną w nierówny ceglany mur. To mieszcząca się tu od ponad czterech stuleci Synagoga Portugalska. W 1665 r. żydowscy mieszkańcy Izmiru tłumnie gromadzili się w niej, by słuchać nauk Szabetaja Cewiego, samozwańczego mesjasza, który omamił tysiące współwyznawców (także tych poza granicami Imperium Osmańskiego) zapowiedzią rychłego końca świata. Z oryginalnego budynku zachowały się trzy ściany, m.in. ta naprzeciwko budki z kebabem.

Gościnny sułtan

Budowniczowie synagog dotarli do Imperium Osmańskiego pod koniec XV wieku. Wypędzeni z Hiszpanii decyzją króla Ferdynanda i Izabeli Kastylijskiej (dekret alhambryjski o wydaleniu z kraju wszystkich Żydów, którzy nie zgodzą się zmienić wyznania), a także z Portugalii za sprawą króla Manuela I, znaleźli bezpieczne schronienie u Bejazyda II. Sułtan nie tylko pozwolił uciekinierom z Europy osiedlić się na terenie Imperium, ale też zapewnił im przywileje. Zagwarantował im wolność wyznania oraz możliwość posiadania własnych szkół i sądów.

Decyzji nie pożałował. Przybysze szybko przyczynili się do rozkwitu nowej ojczyzny. To oni przywieźli ze sobą technologiczne i medyczne nowinki, oni zakładali pierwsze drukarnie. Zadbali też o rozwój handlu i medycyny, wielu zostało lekarzami, nawet na osmańskim dworze. W Izmirze istniała cała dzielnica żydowska, która zniszczeniu uległa dopiero w wyniku wielkiego pożaru, do którego doszło w 1922 r., po odbiciu miasta z rąk Greków przez Mustafę Kemala Atatürka i jego armię.

Republika nie dla wszystkich

Gdy Smyrna stała się Izmirem, a imperium republiką, populacja żydowskich mieszkańców miasta zaczęła się zmniejszać. W świeckim państwie brakowało miejsca dla otwarcie deklarujących wiarę w Boga, nieważne, czy nazywanego Jahwe czy Allahem. Choć Żydzi i muzułmanie starali się sobie nie przeszkadzać, nowe porządki nie dla wszystkich były do zaakceptowania.

W latach 30. doszło do pogromów na terenie Tracji, gdzie bojkot żydowskich sklepów przerodził się w otwartą agresję i fizyczną przemoc. W latach 40. niemuzułmańskich mężczyzn między dwudziestką a czterdziestką przymusowo wcielono do armii. Niemal w tym samym czasie wprowadzono nowy podatek od majątku. Jego stawka różniła się w zależności od pochodzenia – Żydzi, Grecy i Ormianie płacili znacznie więcej niż Turcy.

Choć podczas II wojny światowej Turcy na różne sposoby uratowali od zagłady kilkadziesiąt tysięcy Żydów, w nowoczesnej historii republiki nie brak też czarnych kart w wojennej historii turecko-żydowskich relacji. Jest nią choćby historia okrętu Struma, który w grudniu 1941 r. zacumował na Bosforze z ośmioma setkami żydowskich uciekinierów z Europy na pokładzie. Turcy, próbując zachować neutralność w wojnie, nie pozwolili uchodźcom udać się w dalszą podróż do Palestyny. Statek został odholowany na pełne morze, gdzie zatonął, trafiony radziecką torpedą.

Rabin na iftarze

Po powstaniu Izraela rzesze tureckich Żydów porzuciły starą ojczyznę na rzecz nowej, niektórzy jednak zostali. Ich potomkowie, choć coraz mniej liczni, do dziś tu mieszkają, żyją i pracują. Wspólnota żydowska w Izmirze liczy około półtora tysiąca osób.

– Bez problemu praktykują, modlą się, chodzą do synagog i celebrują święta. ↦

↦ Są bardzo przywiązani do tradycji i rytuałów – mówi Raşel Maseri, mieszkająca w Izmirze pisarka i reżyserka pochodzenia żydowskiego. Sama nie jest aktywną członkinią tutejszej gminy wyznaniowej, ale od jej członków wie, że nigdy nie spotkali się z ostracyzmem czy wrogością ze względu na wyznanie i pochodzenie.

Potwierdzają to zresztą bohaterowie dokumentu pt. „Izmir Deniz Çocukları" nakręconego przez Maseri, na który składają się wspomnienia żydowskich mieszkańców nadmorskiej dzielnicy Karataş. Usłyszymy więc o tym, jak przed szabatem muzułmanie również – z szacunku dla żydowskich sąsiadów – sprzątali swoje domy. O wspólnych świątecznych posiłkach, na które żydzi zapraszali muzułmanów, a muzułmanie żydów. O rabinie, który modlił się w meczecie podczas obrzezania znanego z sąsiedztwa chłopca, i o piecach, w których muzułmanki wypiekały chałki i boyozy (rodzaj bułki z ciasta francuskiego, potrawa kuchni żydowskiej charakterystyczna dla Izmiru) dla swoich żydowskich przyjaciółek.

Ukryte skarby

Po tym świecie zostały wspomnienia, są jednak w Izmirze tacy, którzy walczą o to, by w turecko-żydowskich relacjach na powrót zagościła dawna serdeczność, a żydowskie dziedzictwo miasta odzyskało dawny blask.

Taką osobą jest Nesim Bencoya, który od kilkunastu lat szefuje projektowi mającemu na celu rewitalizację izmirskich synagog i utworzenie w mieście muzeum, które prezentowałoby żydowskie dziedzictwo i historię miasta. Jemu i jego współpracownikom wiele ułatwiła... islamizacja kraju. Decyzje prezydenta Erdoğana dotyczące religii okazały się na rękę nie tylko muzułmanom, ale i przedstawicielom innych wyznań, którzy zaczęli zakładać stowarzyszenia mogące starać się o zwrot niszczejących dóbr i świątyń. Pomysłowi przyklasnęli też miejscy urzędnicy, skuszeni perspektywą ściągnięcia do Izmiru jeszcze większej liczby turystów. Na odnowienie synagog udało się pozyskać pieniądze nie tylko z izraelskiej Fundacji Kiriaty, ale też z izmirskiego Funduszu Rozwoju, z niemieckiego konsulatu, a ostatnio także 500 tysięcy euro od Unii Europejskiej.

Bo Synagoga Portugalska to nie wszystko. Na Kemeraltı znajdziemy unikatowy w skali świata kompleks żydowskich świątyń. Nigdzie indziej nie zachowało się tyle synagog noszących cechy typowe dla XVII-wiecznego budownictwa; wiele z nich sąsiaduje ze sobą, tworząc oryginalne założenie architektoniczne. Wystarczy przejść dwieście metrów uliczką 926, minąć zadaszone stragany, aby znaleźć się w synagodze Ec Chaim. Naprzeciwko znajduje się synagoga Hevra. Zaraz za nią synagogi Kedose, Algaze i Sinyora Giveret.

Jasna, białoniebieska synagoga Algaze, datowana na 1724 r., szczyci się przypominającą baldachim konstrukcją z czterema smukłymi kolumnami, która otacza bimę. Brak galerii dla kobiet wyjaśnia miejska legenda, według której w trakcie modlitwy w Jom Kipur kantor wywołał skandal, mrugając do siedzącej tam wiernej. Po tym wydarzeniu babiniec zamknięto. Hevra, tak jak Synagoga Portugalska, pamięta czasy Szabetaja. W synagodze Ec Chaim, która była tu być może jeszcze przed przybyciem do Imperium Żydów sefardyjskich, już trwają prace renowacyjne. Konserwatorzy z izraelskiego Uniwersytetu Bar Ilan zajęli się też kolekcją żydowskich tkanin rytualnych: aksamitnych kurtyn czy haftowanych sukienek na świętą.

– Izmir posiada nieprawdopodobny skarb – mówi o żydowskim dziedzictwie miasta Bencoya. – W okolicy, zwanej zresztą ulicą Synagogalną, żyli, pracowali, handlowali i modlili się przedstawiciele różnych wyznań i narodów. Gdy z pobliskich meczetów rozbrzmiewał ezan, czyli wołanie na modlitwę, w synagogach również odbywały się modlitwy. Nasz cel to nie tylko odnowienie budynków, ale ożywienie tej międzykulturowej i międzyreligijnej wspólnoty.

Liderzy projektu i władze metropolii liczą też, że izmirskie synagogi z Kemeraltı trafią na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. ©

Autorka jest dziennikarką i reporterką zawodowo związaną z Turcją. Wydała dwie książki reportaży o tym kraju: „Wróżąc z fusów" i „Izmir. Miasto giaurów" (która niedawno ukazała się w Czarnym). Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego" dostępne na Legimi.pl

Pobierz aplikację Legimi na smartfon, e-czytnik, tablet lub komputer i czytaj wygodnie wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego".

TYGODNIK POWSZECHNY Legimi

weź, czytaj!

WOJCIECH

Bonowicz: *Kalendarz*

Jeżeli już koniecznie chcecie wiedzieć, ja nie czekam na żadną wiosnę w Kościele. Czekam, aż skończy się zima. Doczekać się nie mogę.

Mówią, że w Krakowie zima potrwa jeszcze trzy lata. A co potem? No właśnie nie bardzo wiadomo. Logika jest taka, że z każdą kolejną nominacją było tylko gorzej. Nie ma żadnych dowodów na to, że po jednej zimie nie zjawi się następna. Plotka głosi, że klerycy w krakowskim seminarium mają specjalny kalendarz, w którym odkreślają kolejne dni zbliżające ich do przesilenia. Obawiam się, że to – niestety – tylko plotka. Jak się tak uważnie rozejrzeć, to nikt wiosny nie wypatruje. Nawet koledzy księża, skądinąd gorliwi wierzący, w to akurat nie bardzo wierzą.

Czuć powszechne zmęczenie. Słyszę od wielu osób, jak bardzo męczy je na przykład kościelny język. Kiedyś nie zwracały nań uwagi – był jaki był, można się było doń przyzwyczaić. Jeśli kaznodzieja nudził, przeczekiwało się homilię, a dalej liturgia biegła już swoim torem. Dziś coraz więcej osób czuje, że w takim rozmijaniu się języka z rzeczywistością jest coś nieetycznego i nieewangelicznego. Że kiedy przychodzi głęboki kryzys, nie można, ot tak, próbować go zagadać używanymi od lat formułami. Bo te formuły też w jakimś stopniu są odpowiedzialne za to, że do kryzysu doszło.

Za językiem idą rozmaite inicjatywy. Jedni mnożą nabożeństwa, inni konferencje, jeszcze innym marzą się jakieś przedsięwzięcia o charakterze narodowym. Żeby tak znów oddać cały naród „w niewolę" i nie przejmować się, czy to zrozumie, czy się przejmie, czy też wzruszy ramionami albo zaprotestuje. Żeby – na wszelki wypadek – powtórzyć różaniec do granic, wielki egzorcyzm, co to nam już raz tak znakomicie te granice przed złem zabezpieczył. A jak nie to, to chociaż skłonić dzieci i młodzież do czytania naszych świętych autorów, o co zadbało ostatnio ministerstwo, które za dzieci i młodzież odpowiada. Bardzo spodobało mi się krążące w internecie zdjęcie, na którym mocuje się ze sobą dwóch dziesięciolatków, a w dymkach pojawiają się okrzyki: „Wojtyła lepszy!", „Nie, lepszy Wyszyński!". To nie żadni „wrogowie Kościoła" wyśmiewają podobne posunięcia; myślę, że rośnie liczba katoliczek i katolików, którym zwyczajnie przeszkadza taka *propaganda fidei*. A przeszkadza tym bardziej, im większy widać rozdźwięk między tą eksponowaną świętością a tym, co w Kościele – i ukościelnianym państwie – dzieje się na co dzień.

Nie ma zmiany, nie ma resetu, o którym pisałem przed kilkoma miesiącami – i nic nie zapowiada, żeby miało do niego dojść. Jest coraz bardziej nerwowa dreptanina: krok w przód, krok w tył, czasem zrobi się coś dla świętego spokoju, a czasem nawet z dobrej woli, ale wygląda to tak, jakby o święty spokój chodziło. Trzeba „coś dać" świeckim, trzeba „coś dać" kobietom – takie myślenie czuć w powietrzu. Przeważa postawa defensywna, ideologia wycofywania się, jak to niedawno określił papież. Trzeba „coś dać", ale za daleko się nie posuwać. Tam, gdzie toczą się zażarte dyskusje, nie wystawiać się na konfrontację, tylko osobno, niejako z offu, mówić swoje i do swoich. Kościół widział już niejedno, przetrwał niejeden zakręt. Wyjdzie i z tego bez szwanku? „Gdy auto wpadnie w poślizg, naciśnięcie hamulca może mieć katastrofalne skutki, ale gdy umiejętnie doda się gazu, można wyprowadzić samochód z poślizgu i poprowadzić go w pożądanym kierunku" – pisał niedawno na łamach miesięcznika „Znak" ks. Michał Heller. „Odnowa soborowa pozostała niedokończona, a w międzyczasie świat tak się zmienił, że wiele ówczesnych reform już wymagałoby »przereformowania«". Problem w tym, że w polskim Kościele narastają raczej tęsknoty przedsoborowe. Hamować! Hamować! Broń Boże nie przyspieszać!

Długa zima pustoszy od środka. Zapasy, które się zgromadziło, są na wyczerpaniu. Trzy lata? A co, jeśli pięć, dziesięć i więcej? ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Nagroda dla Łukasza Grajewskiego!

Nasz dziennikarz Łukasz Grajewski otrzymał w gdyńskim Muzeum Emigracji Nagrodę im. Macieja Płażyńskiego w kategorii „dziennikarz krajowy publikujący na tematy polonijne". Jury doceniło reportaż „Jesteśmy towarem", który opublikowaliśmy w „Tygodniku Powszechnym".

Autorowi serdecznie gratulujemy, a Państwa zachęcamy do lektury na **powszech.net/jestesmytowarem**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Talibowie zwiedzają jeden z bloków bagramskiego aresztu, 15 września 2021 r.

TALIBOWIE Z AFGAŃSKIEGO GUANTANAMO

Jeszcze niedawno byli więźniami w Bagramie, dziś przychodzą zwiedzać ten owiany złą sławą areszt. Był on kuźnią afgańskich radykałów.

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z BAGRAMU (AFGANISTAN)

W bloku więziennym cele ciągną się jedna za drugą w kilku rzędach. Niektóre mają otwarte na oścież ciężkie metalowe drzwi, a inne nieduże dziury w kratach, jakby rozerwał je filmowy Obcy.

W każdej celi przebywało ponad 30 więźniów. Bloków było kilkanaście. Łącznie w tym areszcie śledczym przetrzymywano ok. 5 tys. ludzi. Znajdował się na terenie bazy lotniczej Bagram, która była centrum dowodzenia podczas dwóch dekad obecności Stanów Zjednoczonych w Afganistanie. Położona jest mniej więcej godzinę jazdy samochodem na północ od stołecznego Kabulu.

Z drugiej strony

Teraz po areszcie chodzi grupa talibów. Ugrupowanie przejęło władzę w kraju w połowie sierpnia. Niektórzy stacjonują na terenie bazy, inni przyszli ją odwiedzić.

42-letni Sultan, który podaje tylko imię, dzwoni do kuzyna. – Jestem w Bagramie! Tak, tu mnie przetrzymywali! A teraz chodzę tędy jako wolny człowiek – mówi.

Sultan opowiada, że w pięciu różnych więzieniach spędził łącznie dziesięć lat. Jak twierdzi, żadne nie mogło równać się z tym, co przeżył w Bagramie, oficjalnie zwanym Aresztem Śledczym w Parwanie, a potocznie afgańskim Guantanamo.

– To dar od Boga, że mogę chodzić tu wolno. Jestem wdzięczny Bogu, że wszystko ze mną w porządku – mówi Sultan, który twierdzi, że w różnych celach w Bagramie przesiedział siedem lat. Że często miał skrępowane nogi i ręce, za to tylko sporadycznie mógł zaczerpnąć świeżego powietrza, bo na spacerniaku wolno mu było przebywać pół godziny w ciągu dnia. Najgorsze były jednak tortury. Przywiązywanie do fotela na kółkach, a następnie rażenie prądem lub bicie. – Okładali mnie tak, że straciłem kilka zębów – mówi Sultan i pokazuje kilka dziur.

Repertuar tortur miał być bogaty: cały czas włączone światło, by zaburzyć sen więźniów, podwieszanie głową do dołu, oblewanie wodą, rozpylanie gazu pieprzowego. Inny z więźniów, 36-letni Hadżimumin Hamza, twierdzi, że wykorzystywano ich też seksualnie. – Z trudem przywołuję te wydarzenia. Stosowali przedmioty, byśmy stali się mniej męscy – twierdzi Hamza. – Wstyd mi mówić o szczegółach.

Choć wspomnienia ich nie opuszczają, niedawni więźniowie cieszą się, że mogą zobaczyć Bagram na własne oczy już z drugiej strony krat.

Mroczna strona demokracji

Na początku lipca, gdy wycofywanie się zagranicznych wojsk z Afganistanu było w zaawansowanej fazie, jak grom z jasnego nieba spadła informacja, że Amerykanie opuścili bazę w Bagramie – symbol ich dwudziestoletniej obecności w Afganistanie.

Wcześniej była ona nie tylko centrum operacyjnym, ale też demonstracją siły. Gigantyczne terytorium ogrodzone betonowym murem, z własnym pasem startowym, licznymi hangarami i barakami. Pokaz myśli operacyjnej i logistycznej najpotężniejszej armii świata. A także symbol bezkarności, brutalności, kłamstw i obecności tu kolejnych zagranicznych państw.

Powstałe w latach 50. XX w., lotnisko miało służyć celom komercyjnym. Niemal 30 lat później Sowieci, którzy najechali Afganistan, uczynili z niego bazę wojskową. Po inwazji w 2001 r. zajęły ją USA. Areszt został utworzony przez tych ostatnich. Początkowo przebywało w nim kilkuset osadzonych, po latach ich liczba sięgnęła ponad 5 tys. Jak twierdzi Hamza, 85 proc. stanowili talibowie, a resztę ludzie powiązani z Państwem Islamskim. Ci drudzy znajdowali się w osobnych blokach, by uniknąć konfliktów między członkami zwaśnionych ugrupowań. – Czasem trafiali tu też niewinni ludzie. Niektórych trzymano przez rok czy dłużej, a następnie wypuszczano, tłumacząc się pomyłką – twierdzi Hamza.

Niezależnie od tego, czy ktoś trafił do tego aresztu jako niezaangażowany sympatyk talibów lub Państwa Islamskiego, czy jako osoba przypadkowa, wychodził jako zatwardziały radykał.

Dziś wielu talibów utożsamia tortury i nielegalne przetrzymywanie w aresztach z demokracją.

Talibowie przejmują władzę

Trafienie do Bagramu oznaczało znalezienie się w strefie wyjętej spod prawa. Uwięzieni nie mogli liczyć na ochronę żadnej konstytucji ani na uczciwe postępowanie, nie mówiąc o kontakcie z prawnikiem. Areszt znajdował się pod jurysdykcją afgańskich straży więziennych, a także amerykańskich żołnierzy.

Choć osadzeni mieli spędzić tu tylko pewien czas, często przebywali latami. Według licznych raportów organizacji broniących praw człowieka, ale też amerykańskich instytucji państwowych, dochodziło tu do tortur. Wobec kilkudziesięciu amerykańskich żołnierzy prowadzono śledztwa w sprawie nadużyć. Jak ustalił dziennik „New York Times", w 2002 r. przynajmniej dwóch więźniów zostało pobitych ze skutkiem śmiertelnym. Jak przekonywały amerykańskie władze, w 2014 r. areszt został zamknięty. Ciasne izolatki miały pozostawać niewykorzystywane od lat. Wszystko to okazało się nieprawdą – osadzeni pozostawali w areszcie w Bagramie aż do przejęcia władzy przez talibów.

Zanim baza opustoszała, amerykańscy piloci wykonali setki lotów samolotami transportowymi, wywożąc stąd sprzęt wojskowy. Na koniec Amerykanie nie poinformowali swoich afgańskich sojuszników, że opuszczają Bagram. Afgańskie wojska rządowe potrzebowały kilku godzin, by dotrzeć na miejsce. W tym czasie szabrownicy zdążyli wykraść z bazy trochę rzeczy.

Potem przez ponad miesiąc Bagram był pod kontrolą sił rządowych, aż ostatecznie wpadł w ręce talibów jak cała reszta kraju. Gdy bojownicy zbliżali się do bazy, znajdujący się tu afgańscy żołnierze i strażnicy więzienni w większości uciekli.

Na własne oczy

Akurat tego dnia jeden z ponad 30 współwięźniów Hamzy poczuł się źle. Osadzeni mieli wzywać pomocy, ale nikt nie przychodził. Wreszcie zrozumieli, że w ich bloku więziennym nie ma już strażników. – Postanowiliśmy wykorzystać okazję i wydostać się z celi. Wzięliśmy metalowe tacki, na których przynoszono nam jedzenie, i nimi piłowaliśmy kraty – mówi Hamza.

Gdy opuścili celę, uwolnili innych. Zabrali pozostawioną broń. Zatrzymali nieliczne straże, które wciąż znajdowały się na terenie aresztu, ale – tak twierdzi Hamza – puścili ich wolno. Znalazł ładowarkę, podłączył do niej telefon i gdy urządzenie się uruchomiło, zadzwonił do jednego z towarzyszy broni, który następnie zabrał go spod najbliższej bramy.

Teraz Hamza pierwszy raz widzi areszt na własne oczy. Trafił do niego ze spętanymi rękami i workiem na głowie. ↦

Mohammad Munir Ahmadi pokazuje swój numer identyfikacyjny, który zapisał w celi, by zostawić po sobie jakieś wspomnienie.

W celach na półkach leżały ułożone na stosach egzemplarze Koranu.

Talibowie w bazie w Bagramie pozują na tle humvee, który był na wyposażeniu afgańskiej armii.

Wszystkie zdjęcia wykonano 15 września 2021 r.

Kolega z jego celi, 30-letni Mohammad Munir Ahmadi, ciągle chodzi z telefonem i nagrywa: bazę, areszt i dawną własną celę. Nareszcie może oglądać cały ten teren przez nikogo nie niepokojony. Obaj są pod wrażeniem tego, co widzą. Nie wiedzieli, że terytorium jest tak przestronne.

– Wydawało mi się, że z tego miejsca nie da się wydostać – mówi Hamza.

Inżynier od bomb

Skazano go na 25 lat. Przeciwko wielu osadzonym przez lata nie wszczęto nawet śledztwa, nie mówiąc o tym, że nie usłyszeli wyroku.

Hamza nie był niewinny i nie ukrywa tego. Do talibów dołączył dwie dekady temu. Był jeszcze nastolatkiem. Dlaczego to zrobił? Bez przekonania twierdzi, że powodem stała się okupacja kraju przez zagraniczne wojska. Jak dodaje, po ich wycofaniu nie ma żadnych problemów z obcokrajowcami.

Hamza opowiada, że pochodzi z prowincji Paktia we wschodnim Afganistanie, z zamożnej i wpływowej rodziny. Jego ojciec i wujek byli przedsiębiorcami w Kuwejcie. Hamza ukończył studia rolnicze na Uniwersytecie Kabulskim. Gdy przystał do talibów, zajął się czymś innym. Talibowie nauczyli go sporządzać ładunki wybuchowe, które następnie jego grupa detonowała w Kabulu. Sześciomilionowa stolica Afganistanu to jedno z najbardziej doświadczanych zamachami miast na świecie. Dokonywali ich talibowie i lokalna filia Państwa Islamskiego. Za większość ataków nikt nie brał jednak odpowiedzialności. Ich ofiarami w ogromnej mierze była ludność cywilna.

Hamza stał na czele jednej z licznych komórek rozsianych po kraju. Ze względu na swój status i pochodzenie nie mógł sobie pozwolić na ścięcie brody i chodzenie w „zachodnich" ubraniach. Pozostali zmieniali wygląd, by nie dało się ich łatwo

Hadżimumin Hamza (pierwszy z prawej), który spędził niemal 4 lata w areszcie, tłumaczy innym talibom, jak przywiązywano osadzonych do fotela, a następnie rażono prądem i bito.

Mohammad Munir Ahmadi robi zdjęcia podczas wizyty w areszcie w Bagramie, gdzie spędził trzy lata.

↦ rozpoznać. Część członków jego komórki została zatrzymana i Hamza podejrzewa, że to właśnie oni wsypali go służbom.

Gdy rozmawialiśmy na terenie bazy w Bagramie, pozostali dwaj byli więźniowie, którzy zgodzili się porozmawiać – Ahmadi i Sultan – wyraźnie pozostawali pod wpływem mężczyzny, który mówił z pakistańskim akcentem. W rozmowie obaj twierdzili, że nie byli zaangażowani w żadne działania zbrojne czy zamachy, lecz tylko wspierali talibów.

Hamza stał daleko od tego mężczyzny, więc nie dostawał od niego żadnych wskazówek. Czy dlatego w rozmowie był tak szczery?

Ponadto Hamza stwierdził, że Ahmadi także konstruował ładunki wybuchowe.

Napisy na ścianach

Hamza pokazuje kolejne pomieszczenia: rejestracja, pokój przesłuchań, prysznice, izolatki, oddział dla chorych. Porusza się po tym terenie swobodnie i z rozeznaniem niczym przewodnik.

Na dłużej zatrzymujemy się w celi, gdzie przez większość czasu przebywał razem z Ahmadim. Na metalowym słupie znajdującym się pośrodku narysowane jest serce, a pod nim dwa numery identyfikacyjne: 907741 przypisany Ahmadiemu i 907736 – Hamzie.

Wyżej słup jest obłożony gąbką, na której więźniowie trenowali ciosy bokserskie. Wokół leżą ciasno ułożone materace, koce i ubrania. Nie mieli gdzie trzymać nielicznych rzeczy, więc kubki i worki ze szczoteczkami wieszali na ścianie. Wypisywali też na niej różne rzeczy: swoje imiona, wyznanie wiary, wiersze i wspomnienia. – Pisaliśmy to, żeby nie zaginął o nas ślad, gdyby zabili nas Amerykanie – mówi Hamza.

Na korytarzu znajdowała się tablica z siedmioma zasadami: „Nie rzucać", „Nie bić się", „Nie pluć", „Nie dotykać", „Nie niszczyć celi", „Nie być nieposłusznym".

Początkowo osadzeni dostawali pomarańczowe uniformy, które znane są ze zdjęć z więzienia w bazie Guantanamo. Niektóre wciąż walają się po celach. Jednak więźniowe się zbuntowali i w rezultacie otrzymali czarne ubrania, a następnie kolejne, bardziej przypominające tradycyjne stroje afgańskie. Koców nie wystarczało dla wszystkich, więc czasami rozcinali jeden na pół, by się podzielić. Jedzenie podawano im przez szparę w kratach. Posiłki dostawali skromne, trochę chleba i warzyw. Woda była w celi. Na półce leżą książki. Głównie egzemplarze Koranu, ale zdarzają się też powieści.

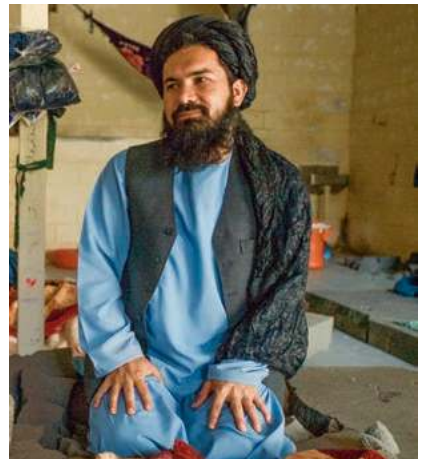

Hamza nie ukrywa, co robił: jego grupa organizowała w Kabulu zamachy bombowe, w których ginęli głównie cywile.

Telefon w szczelinie

W więzieniu afgańscy strażnicy dorabiali, sprzedając stare telefony komórkowe i karty sim. Za każde naładowanie baterii osadzeni musieli im zapłacić. Oficjalnie posiadanie telefonu było oczywiście zakazane. Hamza pokazuje szczeliny między cegłami, przykryte materacami, gdzie je chowali. W drugiej celi, w której przebywał, udaje mu się wygrzebać telefon ukryty przy muszli klozetowej.

– Miałem ten telefon przez dwa lata. Dzięki niemu, gdy udało się złapać zasięg, kontaktowałem się z rodziną – mówi. Na dowód pokazuje starą nokię. – Straciłem ich kilka, ale za każdym razem udawało mi się dostać nowy – dodaje.

Więźniowie komunikowali się też między celami. Ponoć np. łapali mysz, przywiązywali kartkę do ogona i wrzucali ją do kanału wentylacyjnego.

Sultan natomiast znajduje swój zeszyt, w którym prowadził m.in. kalendarz, by nie stracić całkiem poczucia czasu.

Mówi, że pochodzi z Zabulu, południowej prowincji Afganistanu sąsiadującej z pakistańską granicą. Zanim trafił do Bagramu, przez trzy lata przenoszono go z więzienia do więzienia w różnych częściach kraju. Rodzina nie wiedziała, co się z nim dzieje. Zobaczył ją dopiero po pięciu latach. Spoglądali na siebie przez szybę, na rozmowę mieli 20 minut.

Gdy Hamza wyszedł na wolność, świat wydawał mu się obcy. Ma czwórkę dzieci, najmłodsze urodziło się, gdy był już zatrzymany.

– Z trudem poznawałem własne dzieci. Spędziliśmy dużo czasu wyłącznie z dorosłymi, nie widzieliśmy rodzin. Niezależnie, czy byli to ludzie czy samochody, wszystko wydawało się obce. Trzymałem w ręku smartfona i nie wiedziałem, jak on działa – mówi Hamza.

Koniec Bagramu?

Dziś z Aresztu Śledczego w Parwanie zostały wspomnienia i ślady dawnego porządku. Talibowie wciąż nie przeszukali całego terytorium, bo wiele solidnych drzwi jest zamkniętych. Pewnie niejeden z nich odnajdzie tam swoje straszne wspomnienia.

Zbierają się wokół krzeseł, do których przywiązywano ich pasami, i mówią, jak działały. Sultan jednak podchodzi do nich z dystansem. Sam siada na jednym z nich, a inny talib go wozi. Obaj się z tego śmieją. Po ziemi walają się opaski uściskowe, opakowania po paralizatorach. W ciasnych izolatkach wciąż unosi się zapach odchodów. W celach panuje bałagan – porozrzucane ubrania, materace, rzeczy osobiste, o których nikt nie myślał, gdy nadarzyła się szansa, by uciec.

W pobliskich barakach zamieszkują teraz talibowie. Niektórzy to byli więźniowie.

Jaka przyszłość czeka Bagram? Nuruddin Turabi odpowiada za więziennictwo w talibskim Afganistanie. Pełnił tę funkcję także ponad 20 lat temu, gdy ugrupowanie przez pięć lat rządziło krajem. Turabi, jednooki mułła z wyraźnym pakistańskim akcentem, twierdzi, że Areszt Śledczy w Parwanie zostanie zamknięty. – To nie było afgańskie więzienie, tylko amerykańskie. Nie opierało się na żadnych zasadach – mówi.

Przekonuje, że to koniec bezprawia i od teraz więźniowie będą traktowani humanitarnie. Jak na razie trudno zweryfikować te deklaracje. Więzienia nie wznowiły jeszcze oficjalnie działalności, a osadzonych w nich jest niewielu. Jednak na komisariatach i w aresztach Afgańczycy, którzy podpadli nowym władzom, trafiają pod pręgież, wychodząc z siniakami i trwałymi uszczerbkami na zdrowiu.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

AP / EAST NEWS

Aktorzy w rosyjskich strojach ludowych przed lokalem wyborczym. Miasto Krymsk w Kraju Krasnodarskim, 19 września 2021 r.

Niezbyt rozumne głosowanie

ANNA ŁABUSZEWSKA

Jeden ze spektakli politycznych putinizmu – nazywany wyborami do Dumy Państwowej, izby niższej parlamentu – przeszedł do historii. Co z niego wynika?

Głosowanie trwało trzy dni, od piątku 17 września do niedzieli 19 września, a w kilku regionach także w eksperymentalnym trybie online. Podane oficjalnie wyniki okazały się w pełni zgodne z oczekiwaniami władz: ogłoszono, że wygrała Jedna Rosja, i to z niewiarygodnie doskonałym wynikiem 49,8 proc., który gwarantuje jej utrzymanie konstytucyjnej większości.

Drugie miejsce przyznano Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej (19 proc.). Nieco ponad 7 proc. zgarnął Władimir Żyrinowski ze swoją LDPR. Niewiele mniej głosów zdobyła Sprawiedliwa Rosja, poszerzona o partię Za Prawdę nacjonalisty Zachara Prilepina. Pięcioprocentowy próg wyborczy pokonała jeszcze partia Nowi Ludzie (5,32 proc.) – to utworzony niedawno projekt, skrojony przez Kreml dla urozmaicenia składu opatrzonych już bohaterów, którzy od lat zasiadają w niezmiennych pozach na kanapie przeznaczonej dla tzw. systemowej opozycji (tj. koncesjonowanej przez Putina).

Cały ten spektakl, imitujący demokratyczny akt głosowania, odegrano zgodnie z założeniami reżysera – prezydenta Władimira Putina. Parlament pozostanie na swoim dotychczasowym miejscu w hierarchii władzy, nie zacznie raptem odgrywać samodzielnej roli, pozostając nadal kieszonkową maszynką do przyjmowania zleconych przez Kreml aktów prawnych. A trochę ich będzie: podczas rozpoczynającej się kadencji Duma będzie miała za zadanie przyjęcie ustaw zwiększających kontrolę władzy nad społeczeństwem oraz obsługę przypadających na rok 2024 wyborów prezydenckich.

O ile w ogóle jakakolwiek elekcja w Rosji jeszcze jest planowana.

Wycinanie ludzi Nawalnego

Rozciągnięte na trzy dni głosowanie było zwieńczeniem długiego cyklu przygotowań.

Nad całością czuwał Siergiej Kirijenko, ekspremier jeszcze z czasów prezydenta Borysa Jelcyna. Nazywany wówczas „Kinder-Niespodzianką" (był wtedy bardzo młody), dziś jest ambitnym zastępcą szefa prezydenckiej kancelarii, odpowiedzialnym za zawiadywanie wewnętrzną sceną polityczną.

W okresie przedwyborczym Kreml skupił uwagę na dokładnym zaoraniu politycznego pola: wyeliminowano kandydatów z opozycji pozasystemowej, z największą zaciekłością zwalczając przy tym ludzi związanych z Aleksiejem Nawalnym. Zastraszano ich, poddawano karom pozbawienia lub ograniczenia wolności, obkładano wysokimi grzywnami, nękano rewizjami, grożono członkom ↦

↦ ich rodzin. Niektórzy wyjechali z Rosji z obawy o bezpieczeństwo swoje i bliskich. Sygnał był jasny: za działalność polityczną prowadzoną poza poletkiem, które wyznacza Kreml, można stracić wolność.

Kandydatom związanym w przeszłości z Fundacją Walki z Korupcją i ze sztabami Nawalnego (obie organizacje zostały już uznane w Rosji za ekstremistyczne) postawiono po prostu tamę: ich nazwiska nie zostały umieszczone na listach wyborczych, pod różnymi pretekstami. Pozostali nieakceptowani przez Kreml kandydaci – ci spoza opozycji systemowej – nawet jeśli przeszli przez sito, to i tak bez szans na zdobycie mandatu. Do startu dopuszczono np. demokratyczną partię Jabłoko weterana Grigorija Jawlińskiego, ale nie pokonała ona pięcioprocentowego progu (wskazywały na to sondaże).

Wpisana w strukturę putinizmu opozycja systemowa otrzymała zadanie imitowania alternatywności i konkurencji politycznej. Podczas debat telewizyjnych dopuszczono nawet do wygłaszania ostrych tez – np. publicysta Maksim Szewczenko, lider niewielkiej Rosyjskiej Partii Wolności i Sprawiedliwości, mógł krytykować władze za wycięcie ludzi Nawalnego.

Sobowtór zmienia personalia

Przed samymi wyborami Kreml skupił się na tym, aby uniemożliwić zastosowanie przez wyborców „rozumnego głosowania". To strategia wymyślona przez Nawalnego i polegająca na zagłosowaniu na tego kandydata spoza Jednej Rosji, który miałby największe szanse na wygraną w danym okręgu jednomandatowym.

W ramach tej operacji państwowa agencja Roskomnadzor (nadzorująca sferę komunikacji i technologii) zablokowała stronę internetową „rozumnego głosowania" i aplikacje zawierające odpowiednie funkcje. Ponadto sąd arbitrażowy Moskwy zakazał koncernom internetowym Google i Yandex, aby ich rosyjscy użytkownicy mogli znajdować w wyszukiwarkach samo wyrażenie „rozumne głosowanie".

Akcja hamowania „rozumnego głosowania" była w prokremlowskich mediach tłumaczona koniecznością przeciwstawienia się podejmowanym przez Zachód próbom manipulowania rosyjskimi wyborami. Według telewizyjnej narracji, instrumentami tego rzekomego zewnętrznego wpływu miałyby być internet i wolne media.

W najbliższych latach Putin może oddać władzę w ręce następcy, ważne będzie więc posiadanie w pełni posłusznego parlamentu.

Jeszcze w sierpniu ministerstwo sprawiedliwości wpisało na listę „zagranicznych agentów" niezależną internetową telewizję Dożd' (TV Rain) i portal „Ważnyje Istorii" (Ważne Historie), dla którego pracują dziennikarze śledczy, pokazujący kłamstwa rosyjskiej elity politycznej, jej ukryte skrzętnie majętności i inne przejawy korupcji. W sytuacji przedwyborczego napięcia jakikolwiek przekaz, który nie byłby zatwierdzoną przez najwyższe czynniki kanoniczną wersją dozwolonej treści, nie powinien był trafić do publiczności. Należało więc ograniczyć swobodę mediów, które pozostają poza gestią Kremla.

Władze sięgnęły nie tylko po kij, ale i po marchewkę. Jedną z metod poszerzania grupy wyborców przychylnych Jednej Rosji i Putinowi były konkretne obietnice socjalne. Prezydent przyznał jednorazowe wypłaty dla funkcjonariuszy służb mundurowych (w wysokości 15 tys. rubli) i emerytów (po 10 tys. rubli).

Natomiast w celu wniesienia zamętu w głowach niezbyt dobrze zorientowanego elektoratu zastosowano – znaną już z wcześniejszych wyborów – metodę wpisywania na listy wyborcze „sobowtórów" znanych opozycjonistów. Np. w Petersburgu, gdzie startował popularny w tym mieście polityk z partii Jabłoko Borys Wiszniewski, na liście pojawiło się jeszcze dwóch kandydatów o tym samym imieniu i nazwisku. Przy czym jeszcze niedawno obaj nazywali się zupełnie inaczej – swoje personalia zmienili tuż przed kampanią wyborczą. Jak na komendę obaj zapuścili też brody („oryginalny" Wiszniewski nosi zarost).

Trudny scenariusz sukcesji

Władimir Putin – choć formalnie nie jest w kierownictwie Jednej Rosji – zaangażował się w kampanię. Na czele listy wyborczej postawił swoich dwóch zaufanych ludzi: ministra obrony Siergieja Szojgu i ministra spraw zagranicznych Siergieja Ławrowa. Zwraca natomiast uwagę nieobecność Dmitrija Miedwiediewa, lidera Jednej Rosji – nie wystartował, a przy paru przedwyborczych okazjach wygłosił jedynie ogólne formułki bez żadnego znaczenia („Jedna Rosja bezapelacyjnie musi wygrać"), po ogłoszeniu wyników zaś nie pojawił się w siedzibie partii. Być może Kreml uznał, że niepopularny Miedwiediew nie będzie dobrą lokomotywą listy Jednej Rosji, a być może zaważyły inne względy.

Jednym ze scenariuszy na najbliższe lata jest przekazanie władzy przez Putina w ręce dobrze wybranego następcy. Według komentatorów może to nastąpić już w czasie kadencji nowo wybranej Dumy, dlatego otrzymanie odpowiednich wyników było dla Putina tak ważne – sterowanie posłuszną większością konstytucyjną, jaką zdobyła Jedna Rosja, będzie podczas tak trudnej operacji łatwiejsze niż układanie się z wieloma aktorami.

Być może Miedwiediew, trzymany obecnie na bocznym torze, jest w scenariuszu uwzględniany i ma jeszcze szanse powrotu na szczyty. Choć to mało prawdopodobne.

Jak podciągnąć wynik

Niezależnie od tego, czy w zaczynającej się kadencji Duma będzie ważnym uczestnikiem przekazywania rządów, zapewnienie dobrego wyniku Jednej Rosji było oczkiem w głowie Kremla.

Ranking popularności tej „partii władzy" w ostatnim roku leciał bowiem na łeb na szyję. Nawet sondażownie kontrolowane przez prezydencką kancelarię nie dawały jej więcej niż 30 proc., w tym w Moskwie – nawet mniej niż 20 proc. Do Jednej Rosji trwale przylgnęło określenie ukute przez Nawalnego: „Partia oszustów i złodziei". Jak w takich warunkach zapewnić tracącemu w sondażach ugrupowaniu niebotycznie wyśrubowany wynik 50-procentowego poparcia, dającego większość konstytucyjną? No właśnie, uczciwie się nie da. Trzeba było zatem sięgnąć do arsenału wypróbowanych metod podciągania rezultatu.

Głosowanie rozciągnięto na trzy dni, co kontrolowanym przez władze komisjom wyborczym dało więcej możliwości manipulowaniami wynikami. A manipulacje były masowe. Niezależna prasa wyłapuje przypadki uczciwego liczenia

głosów – w takich lokalach wyniki znacząco odstają od ogólnokrajowych na niekorzyść Jednej Rosji.

Zastosowano też znane z poprzednich głosowań „karuzele" (te same osoby głosujące po wiele razy), dosypywano karty wyborcze do urn, przymuszano pracowników przedsiębiorstw państwowych i sfery budżetowej do głosowania, zastraszano członków komisji wyborczych, zniechęcano obserwatorów (obserwatorzy z OBWE w ogóle nie przyjechali). Eksperymentalnie w siedmiu regionach (m.in. w Moskwie) wprowadzono możliwość głosowania online. Skorzystał z niej także prezydent, który w związku z wykryciem wielu przypadków koronawirusa w jego bezpośrednim otoczeniu odizolował się w swoim bunkrze w rezydencji Nowo-Ogariowo. Te i inne formy nieprzejrzystego głosowania (np. oddawanie głosu poza lokalem wyborczym) stworzyły dodatkowe możliwości zmanipulowania wyników.

Analityk Siergiej Szpilkin od lat stosuje modele matematyczne do badania oficjalnych wyników wyborów i wykazuje, na ile zostały one sfałszowane. Szpilkin przeanalizował również dane z obecnego głosowania – frekwencję w oddzielnych komisjach w zestawieniu z głosami oddanymi w tych komisjach na różne partie. Jego zdaniem Jedna Rosja otrzymała ok. 30 proc. głosów przy 38-procentowej frekwencji. Tymczasem oficjalnie podano, że zdobyła prawie 50 proc. przy 50-procentowej frekwencji.

Donbas głosuje na Jedną Rosję

Możliwość oddania głosu stworzono także mieszkańcom separatystycznego Donbasu. Postępująca tam paszportyzacja (przyznawanie rosyjskiego obywatelstwa mieszkańcom tamtejszych tzw. republik ludowych, donieckiej i ługańskiej) dotyczy już 600 tys. osób. W poprzednim głosowaniu – nad poprawkami do konstytucji – byli oni masowo dowożeni autokarami do pobliskiego obwodu rostowskiego na terytorium Federacji Rosyjskiej. Tym razem chętni również mogli pojechać na wycieczkę do Rostowa, ale mogli też zagłosować na miejscu, korzystając z opcji online.

Mieszkańcy Donbasu w większości są wiernym elektoratem Jednej Rosji, wiążą swoją przyszłość z Moskwą, darzą estymą Putina i jego politykę. Odpłacają lojalnością wobec Kremla i prokremlowskich struktur politycznych. Teraz będą mieć w Dumie swojego człowieka: w jej składzie umieszczono (bo trudno powiedzieć, że wybrano) Aleksandra Borodaja – samozwańczego premiera separatystycznych tworów w Donbasie w pierwszym okresie ich istnienia. To kolejny krok integrujący ten ukraiński region z rosyjską przestrzenią społeczno-polityczną.

Głosowanie odbyło się też rzecz jasna na Krymie, który Rosja uważa za swoje terytorium. Przyglądało mu się tam kilku sprzyjających Moskwie przedstawicieli Zachodu, m.in. były francuski parlamentarzysta Michel Voisin. Wyborów na Krymie nie uznały USA, Unia Europejska i Wielka Brytania, co było do przewidzenia.

Ze szczególną uwagą Kreml przyglądał się tu reakcji Turcji, najwyraźniej oczekując na przyjazne słowa. Tymczasem najpierw turecki MSZ, a potem prezydent Recep Tayyip Erdoğan podczas spotkania z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim w kuluarach Zgromadzenia Ogólnego ONZ jednoznacznie stwierdzili, że Turcja uważa Krym za integralną część Ukrainy i sprzeciwia się wszelkim próbom naruszania granic. Z kolei Rada Najwyższa Ukrainy uznała głosowanie za niezgodne z prawem – w związku z przeprowadzeniem ich na okupowanym Krymie oraz w separatystycznych republikach – i wezwała parlamenty innych państw do „właściwej oceny sfałszowanych wyborów".

Co dalej?

Skala fałszerstw dokonanych na rzecz Jednej Rosji świadczy w gruncie rzeczy o sporym potencjale protestu w rosyjskim społeczeństwie. Władzom udało się osiągnąć swoje cele tylko dzięki bezpardonowym metodom nacisku, represjom wobec przeciwników politycznych, ograniczeniu obszaru wolności oraz powszechnym fałszerstwom.

Czy przyczyni się to do wzrostu popularności rządzących? Wręcz przeciwnie. Można się spodziewać, że w sytuacji narastającego niezadowolenia społecznego, przy pogarszających się warunkach życia, władza sięgnie jednak raczej po bat niż po marcepany uśmierzające społeczne frustracje. A posłuszna Duma przegłosuje każdą ustawę zaostrzającą rygory życia społecznego i poszerzającą zakres kontroli władz nad obywatelami.

Jeżeli okaże się, że przeprowadzenie kolejnych tzw. wyborów będzie stwarzało dla władz zbyt duże ryzyko, spektakl być może zostanie odwołany. Albo zastąpiony inną formą fasadowego wyrażenia zgody przez społeczeństwo, np. plebiscytem.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

REKLAMA

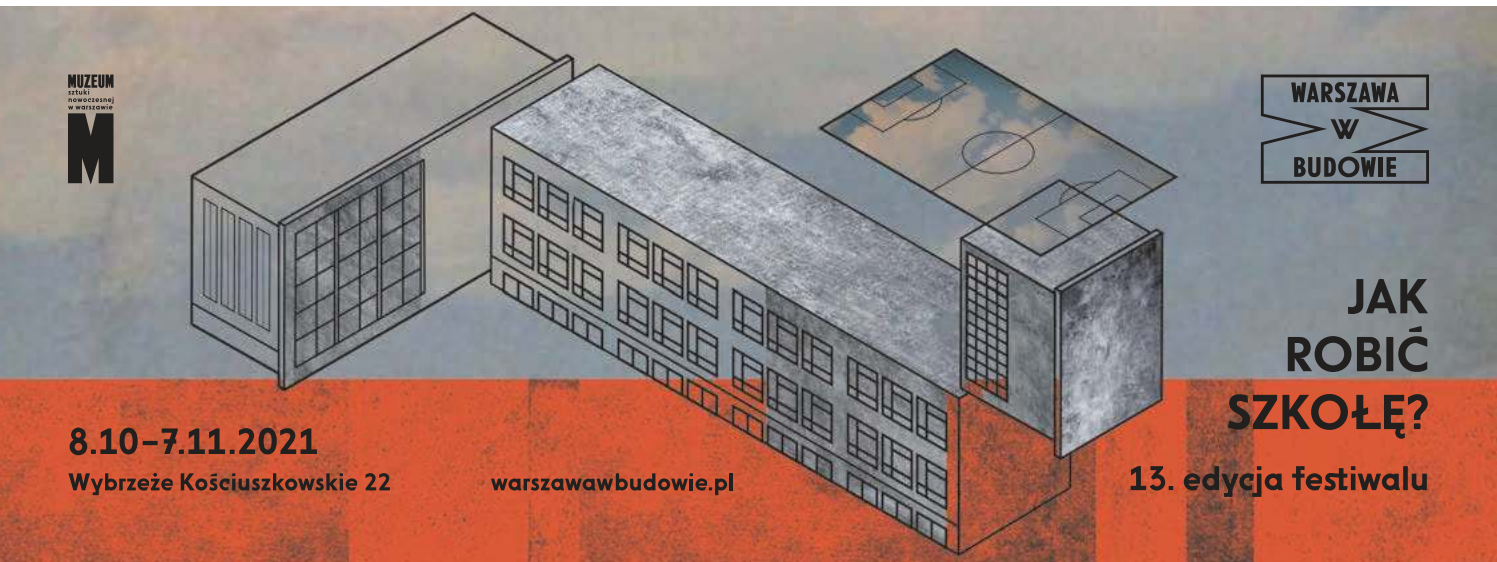

Szeryf na salonach

PIOTR OLEKSY

Klub piłkarski Sheriff Tyraspol gra w Lidze Mistrzów. Czy Naddniestrze, separatystyczne parapaństwo istniejące od 30 lat, wchodzi do Europy?

Gdy polski pomocnik Ariel Borysiuk grał w Sheriffie, bez zająknięcia chwalił klubową bazę: nowoczesny kompleks z trzema stadionami, w tym jednym krytym, a także z basenem, spa i pięciogwiazdkowym hotelem. Tak to wyglądało w Tyraspolu, stolicy Naddniestrza.

Gorzej było z meczami wyjazdowymi. Piłkarzowi, który marzył o europejskiej karierze, przychodziło grać na boiskach, wokół których deptały kury. W Kiszyniowie, stolicy sąsiedniej Mołdawii, ponad trybunami mecz mogli oglądać mieszkańcy pobliskich bloków. W Suruceni, trzytysięcznym mołdawskim miasteczku, w miejscu jednej z trybun był cmentarz. Czasem boisko przechodziło płynnie w pastwisko.

Być może Borysiuk żałuje, że w barwach klubu nie doczekał do obecnego sezonu. Piłkarze Sheriffa udali się bowiem niedawno na hiszpański Estadio Santiago Bernabéu, a wkrótce Toni Kroos, Luka Modrić, Sergio Ramos i inni piłkarze Realu Madryt odwiedzą Tyraspol. W fazie pucharowej Ligi Mistrzów klub z Naddniestrza podejmie jeszcze jedną legendę, czyli Inter Mediolan, a także Szachtara Donieck.

Paradoksy konfliktu

Sheriff, klub ze stolicy prorosyjskiej separatystycznej republiki, która 30 lat temu odłączyła się od Mołdawii, na co dzień gra właśnie w mołdawskiej lidze. To jeden z wielu paradoksów tego konfliktu. Fakt, że klub z Naddniestrza bierze udział w krajowych rozgrywkach – i kolejny fakt, iż to właśnie on od prawie 20 lat reprezentuje Mołdawię w europejskich pucharach – nie budzą dziś w Kiszyniowie większych emocji.

Wprawdzie drużyna nie ma wielu fanów na prawym, mołdawskim brzegu Dniestru – ale to dlatego, bo wypomina się jej, iż za pieniądze oligarchów wykupywała graczy z ligi mołdawskiej, osłabiając inne zespoły. Natomiast wrogości o charakterze etnicznym lub politycznym raczej tu nie dostrzeżemy. W sytuacji, gdy klub ściąga do Mołdawii gwiazdy europejskiej piłki, rodzą się nawet zalążki sympatii.

Wielkich emocji w Mołdawianach nie budzi dziś też istnienie Naddniestrza. Przywykli, a poza tym mają swoje problemy. Nieuznane państwo nie budzi też zainteresowania: młodzi w ogóle tam nie bywają, a jego obraz tworzą na podstawie rzadkich i stereotypowych doniesień medialnych.

Teraz bilety na mecz z Realem sprzedały się w mgnieniu oka. Stadion Sheriffa mieści prawie 13 tys. widzów. Zakładając, że przynajmniej połowa przybędzie z prawego brzegu Dniestru, można stwierdzić, że w obszarze relacji społecznych będzie to wydarzenie znaczące. Ale nie przełomowe. Bo przełomów w tym konflikcie nikt nie chce i nie potrzebuje.

Droga na szczyty

Jeszcze niedawno Sheriff był w świecie piłkarskim egzotyką, klubem z dziwnym logotypem (złota gwiazda w stylu odznaki szeryfa), z którym wiązała się historia jakiegoś posowieckiego konfliktu i ciemne interesy właścicieli.

Właściciel klubu Wiktor Guszan, były milicjant, zaczął przygodę z wielkimi pieniędzmi w połowie lat 90. XX w. Najpierw przejął kontrolę nad przerzutem papierosów i alkoholu przez Naddniestrze na Zachód, by wkrótce wraz ze wspólnikami stworzyć holding Sheriff i zmonopolizować większość branż lokalnej gospodarki. Drużynę piłkarską powołali, aby dała mieszkańcom parapaństewka poczucie dumy i budowała sympatię dla ich marki.

W 2005 r. partia Odrodzenie, polityczna przybudówka holdingu, zdobyła kontrolę nad parlamentem nieuznanej republiki. W 2016 r., ustanawiając swojego człowieka prezydentem, uzyskali pełnię władzy w Naddniestrzu.

Nad mołdawską konkurencją klub dominował od samego powstania w 2002 r. Mecze w europejskich pucharach kończyły się jednak sromotnymi porażkami, więc przez lata, by zapewnić kibicom i piłkarzom minimum emocji, zapraszano do Tyraspola na mecze towarzyskie zespoły z Rosji, Ukrainy lub Serbii. Jednocześnie sam udział w rozgrywkach organizowanych przez UEFA gwarantował stały dopływ gotówki. Z czasem zespół było stać na sprowadzanie coraz lepszych piłkarzy z Europy, a także Afryki i Ameryki Południowej. Aż w końcu stał się pełnoprawnym członkiem europejskiej rodziny piłkarskiej. Podobną drogę przechodzi obecnie cała separatystyczna republika.

W nowych warunkach

To nieuznawane do dziś państwo powstało dzięki zaangażowaniu rosyjskiej armii w wojnę domową w 1992 r. Spo-

Stadion Sheriffa Tyraspol. Naddniestrze, 15 października 2017 r.

łecznym fundamentem, na którym zostało zbudowane, była zaś sowiecko-rosyjska tożsamość kulturowa miejscowej ludności. Te dwa współgrające czynniki wykorzystała lokalna wierchuszka, wywodząca się z kadr przemysłu i armii.

Z czasem „czerwonych dyrektorów" zastąpili bardziej nowocześni „biznesmeni". Wprawdzie wsparcie Kremla i prorosyjska orientacja społeczeństwa nie zmieniły się, jednak Naddniestrze – postrzegane jako rosyjski satelita – od jakiegoś czasu funkcjonuje w nowych warunkach: gospodarka jest coraz bardziej związana z mołdawską rzeczywistością prawno-instytucjonalną, a głównym źródłem pieniędzy stały się rynki europejskie.

Ten nowy model zaczął kształtować się w latach 2014-16, gdy Mołdawia podpisała z Unią Europejską dwie umowy: stowarzyszeniową oraz o pogłębionej strefie wolnego handlu (DCFTA). Początkowo Tyraspol, a zakulisowo także Moskwa, sprzeciwiały się włączeniu Naddniestrza w sferę DCFTA, ale ostatecznie osiągnięto tu porozumienie.

Chwilę potem oligarchowie rządzący Sheriffem przejęli pełnię władzy w parapaństwie. Otwarcie rynków europejskich postrzegali jako szansę. Z kolei Rosja widziała w tym perspektywę zrzucenia obciążenia, którym było finansowe wspieranie Naddniestrza (w dobie sankcji zyskało to duże znaczenie). Tak też się stało: w latach 2017-18 Moskwa zaprzestała bezpośrednich dotacji dla Tyraspola. Rządzący oligarchowie mieli radzić sobie sami.

Po pierwsze biznes

Gospodarka Naddniestrza opiera się na kilku dużych zakładach przemysłowych: fabryce cementu, hucie stali, zakładzie tekstylnym i elektrowni w Dniestrowsku. Właścicielem pierwszych trzech jest Sheriff, a elektrownia należy do spółki rosyjskiej. Holding zarabia też na spedycji różnych towarów – od papierosów i alkoholu przez żywność po RTV. Zyski czerpane są tu z manipulacji stawkami celnymi i prawdopodobnie z przemytu. Trudno oszacować, jaką rolę w imperium Sheriffa odgrywa zaangażowanie na rynkach finansowych i w sektorze bankowym, realizowane przez sieć spółek-córek zarejestrowanych w rajach podatkowych.

W każdej z tych sfer dostęp do rynków europejskich jest kluczowy, a warunkiem dla jego uzyskania jest rejestracja działalności gospodarczej w Mołdawii. W ten sposób świetne naddniestrzańskie koniaki kupujemy w Polsce jako produkt mołdawski. Podobnie wygląda rzecz z tamtejszą stalą czy tekstyliami, które kupują światowe marki odzieżowe.

Po 2018 r. więzi naddniestrzańsko-mołdawskie jeszcze się pogłębiły, gdyż porozumiano się w takich kwestiach jak tablice rejestracyjne czy dyplomy uczelni. Ich realizacja postępuje opornie, ale postępuje. W efekcie Mołdawia i Unia Europejska stały się głównymi partnerami handlowymi Naddniestrza. Rynki europejskie przyjmują 40 proc. tamtejszego eksportu, co czterokrotnie przewyższa wartość towarów sprzedawanych odbiorcom rosyjskim.

Bez Rosji ani rusz

Właściciele Sheriffa nie sięgnęli po władzę w Naddniestrzu, aby wypełnić dziejową misję bastionu rosyjskiej cywilizacji, lecz żeby rozwijać własne biznesy. Pojawia się więc pytanie: czy w obecnej sytuacji nie byłoby im wygodniej odpuścić sobie całą tę prorosyjsko-separatystyczną otoczkę i po prostu przyłączyć się do Mołdawii?

Odpowiedź będzie negatywna. Firma Sheriff wyrosła dzięki warunkom państwa nieuznanego, a w końcu przejęła nad nim władzę, niczym pasożyt przejmujący kontrolę nad żywicielem. Teraz w jej interesie jest utrzymanie żywiciela przy życiu. Bez Naddniestrza Guszan i jego wspólnicy straciliby możliwości manipulacji stawkami celnymi i lawirowania między różnymi systemami prawnymi.

Naddniestrze funkcjonuje więc obecnie w specyficznym układzie międzynarodowym: pieniądze z rynków europejskich utrzymują je przy życiu i pozwalają ograniczać możliwości ingerencji Kremla w sprawy wewnętrzne, a jednocześnie kremlowskie wsparcie polityczne i obecność rosyjskich żołnierzy gwarantują niezależność od Republiki Mołdawii.

Wygodna próżnia

Co ciekawe, w Naddniestrzu zaczynają pojawiać się też zachodnie firmy. Jednak ta europeizacja ma wymiar pozorny: w ostatnich latach nastąpił regres w obszarze praw człowieka i wolności słowa, a polityczne aresztowania są częste jak nigdy dotąd.

Pogarsza się też sytuacja socjalna. Dla holdingu wszystko to, co nie przynosi zysku, w tym sfera socjalno-budżetowa, jest obciążeniem. Wcześniej władze Naddniestrza dbały, by zachować dużą populację, gdyż legitymizowało to istnienie parapaństwa. Problem emigracji zarobkowej jest tu obecny od kilkunastu lat, ale teraz przybiera coraz większe rozmiary. Z perspektywy Sheriffa liczy się bowiem tylko to, by na miejscu znaleźli się pracownicy do fabryk i odpowiednia liczba kierowców tirów. Pozostali, jeśli im źle, mogliby wyjechać.

Co może zaskakiwać, przez lata to Rosja była tu gwarantem względnego pluralizmu politycznego, dawało jej to bowiem możliwość rozgrywania rywalizujących środowisk. Teraz Kreml, pozbawiony narzędzi nacisku gospodarczego, stracił część zainteresowania parapaństwem. Zadowala się pilnowaniem, by Zachód nie stał się tu zbyt wpływowy w wymiarze politycznym. W efekcie miejscowa elita funkcjonuje w wygodnej próżni.

Paradoksem historii jest, że to prorosyjska, separatystyczna republika przyniosła do Mołdawii piłkę na najwyższym europejskim poziomie. Niestety, w republice Sheriffa igrzyska i chleb nie występują w parze, lecz są smutną alternatywą. ©

DANIEL DMITRIEW / FORUM

Autor pracuje na UAM, opublikował książkę „Naddniestrze. Terror tożsamości". Stale współpracuje z „TP".

XOSE BOUZAS / AFP / EAST NEWS

Protestując przeciw skazaniu Egipcjanek, europejskie działaczki feministyczne przykuły się kajdankami przed ambasadą Egiptu w Paryżu, 25 czerwca 2021 r.

Dziewczyny z TikToka

SARA NOWACKA

Wyroki dla młodych Egipcjanek to drastyczny przejaw cenzury internetu w świecie arabskim. Dokonują jej te same władze, które Zachód uważa za alternatywę dla radykałów.

Haneen Hossam usłyszała wyrok 10 lat więzienia i grzywny o równowartości 19 tys. dolarów, pod zarzutami handlu ludźmi, wykorzystywania dziewczyn do udostępniania wideo w mediach społecznościowych za pieniądze i naruszanie moralności publicznej. Mawada al-Adham została skazana na 6 lat i taką samą grzywnę. Oskarżono ją o atakowanie społecznych wartości i naruszenie moralności publicznej. Minatullah Emad – 3 lata i 6 tys. dolarów grzywny za handel ludźmi, publikowanie nieprzyzwoitych treści i prostytucję. Manar Sami – 3 lata za podżeganie do rozpusty. Sama al-Masri – takie same zarzuty, 3 lata i 19 tys. dolarów.

W ciągu niespełna dwóch lat egipskie sądy skazały dziewięć influencerek w związku z ich działalnością w internecie. Ich największą zbrodnią było posiadanie popularnych kont na TikToku, znanej aplikacji mobilnej.

W rzeczywistości profil Haneen Hossam, 21-letniej studentki archeologii, trudno odróżnić od kont innych znanych użytkowniczek mediów społecznościowych. W 2020 r. opublikowała na nim wideo, gdzie zachęcała dziewczyny do założenia profilu w aplikacji Likee, pozwalającej na monetyzowanie popularnych, podobnych do tych tiktokowych nagrań – to stało się powodem oskarżenia.

Na pozostałych filmach Hossam tańczy, udając, że wykonuje lecące w tle utwory – takie filmy to ostatnio największy trend TikToka. Jest uśmiechnięta i pełna energii. Jej włosy zawsze zasłania chusta. Obrońca Hossam uważa, że wysoki wyrok otrzymała, gdyż nie zjawiła się na rozprawie. Sama Hossam po ogłoszeniu wyroku nagrała film, w którym zwraca się do prezydenta Abda al-Fattaha al-Sisiego, nie mogąc pojąć, czym zasłużyła na taką karę.

Jedna z oskarżonych, Minatullah Emad, występująca w sieci pod pseudonimem Remad Emad, przyznała się do zarzutu prostytucji. Powiedziała, że przyjmowała pieniądze za seks z mężczyznami, obwiniając za skłonność do takich działań potrzeby finansowe, które kreują wśród kobiet kultura konsumpcyjna i media. Są jednak wątpliwości, na ile o tym przyznaniu się do winy zdecydowały szantaż i strach przed egipską tajną policją.

Honor rodziny

Młodzi Egipcjanie wydają się zmieszani. – Kiedy oglądałem ich profile, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że to przede wszystkim dzieciaki – mówi jeden z moich rozmówców, 30-letni mieszkaniec Kairu. – Jestem w kropce. Nic dziwnego. Przez lata przywykliśmy niestety do aresztowań aktywistów, do surowych wyroków dla członków opozycji i każdego, kto krytykował arabskich dyktatorów.

Tyle że w profilach „dziewczyn z TikToka", jak je nazwano w Egipcie, trudno dopatrzeć się polityki. Taniec, ruszanie ustami do popularnych piosenek, zdjęcia z koleżankami, zdjęcia jedzenia – to niemal niezbędny zestaw każdego użytkownika takich serwisów jak Instagram czy TikTok.

Dr Karolina Rak z Instytutu Bliskiego i Dalekiego Wschodu UJ, założycielka profilu „Niswiyya – Feminizm arabski" na Facebooku, uważa, że działania egipskich władz „wpisują się w obecną w egipskim społeczeństwie narrację kontroli i nadzorowania ciał kobiet i ich zachowań, czego przejawem jest postrzeganie ich jako nośnika honoru całej rodziny. Widoczne to było w pierwotnej retoryce stosowanej dla uzasadnienia aresztowania blogerek, w której podkreślano, że ich aktywność uderza w moralne podwaliny wartości rodzinnych".

Politycy lubią uderzać w ten ton, budując wizerunek narodu egipskiego jako jednej rodziny. A zatem w powszechnym rozumieniu społeczeństwa, w większości konserwatywnego, o honorze całego narodu decyduje zgodne z obowiązującymi normami zachowanie kobiet.

Uderza jednak surowość wyroków. Karolina Rak podkreśla, że sprawy „dziewczyn z TikToka" zbiegły się z egipską falą #MeToo – ruchu obywatelskiego obecnego od paru lat w różnych krajach i zwracającego uwagę na problem molestowania kobiet. – Dziesiątki Egipcjanek opowiadały o swoich traumatycznych doświadczeniach właśnie w mediach społecznościowych – mówi dr Rak.

Jedna z nich, Amal Fahmy, została skazana: dostała 2 lata więzienia za podzielenie się traumatycznym doświadczeniem i krytykę rządu za nieudolną ochronę obywatelek. – Widać dysproporcję w reakcji władz – mówi Rak. – Ponad 50 kobiet i dziewcząt oskarżyło Ahmeda Zakiego, 22-letniego byłego studenta Amerykańskiego Uniwersytetu w Kairze, o molestowanie i napaść online, zanim zdecydowano się podjąć działanie.

Ostatecznie sąd skazał Zakiego na 8 lat więzienia. O dwa lata mniej niż Haneem Hossam.

15 lat za tweeta

Karolina Rak zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt oskarżeń przeciw „dziewczynom z TikToka": – Już w trakcie egipskiej rewolucji z 2011 r. można było dostrzec, jak media społecznościowe stają się ważnym narzędziem lokalnych aktywistów. Doświadczenia kobiet zaczęły być postrzegane jako narzędzie destabilizacji państwowej kontroli, ale też tradycyjnych konserwatywnych wartości.

To właśnie od czasu Arabskiej Wiosny autokraci w wielu krajach zwiększają kontrolę nad użytkownikami mediów społecznościowych i publikowanymi tam treściami.

W 2018 r. władze Egiptu uchwaliły nowe prawo dotyczące cyberprzestępczości, na mocy którego blogi i konta w mediach społecznościowych, które mają więcej niż 5 tys. obserwujących, podlegają takim samym zasadom jak środki masowego przekazu. Oznacza to, że władze mają wobec prywatnych użytkowników więcej narzędzi, którymi mogą uniemożliwiać publikowanie pewnych treści. Według nowych przepisów władze mogą też blokować strony, które ich zdaniem „zagrażają bezpieczeństwu narodowemu". Nawet przeglądanie zablokowanej strony podlega karze do roku pozbawienia wolności.

Rekordowe wyroki dotyczą oczywiście osób angażujących się politycznie w internecie. W 2020 r. aktywista Bahey al-Din Hassan został skazany na 15 lat więzienia za wpis na Twitterze krytykujący prezydenta.

Ryzykowny lajk dla Kataru

Kontrolę nad informacją w internecie zwiększyły też władze Zjednoczonych Emiratów Arabskich (ZEA) i Arabii Saudyjskiej. Oba państwa współpracują z Egiptem – np. wsparły Kair kwotami odpowiednio 3 mld i 5 mld dolarów po tym, jak wojskowy zamach stanu obalił prezydenta Muhammada Mursiego – pierwszego wybranego demokratycznie, wywodzącego się z Bractwa Muzułmańskiego i nieprzychylnego monarchiom z Zatoki Perskiej.

W 2017 r. władze Emiratów zablokowały w swoim państwie dostęp do Skype'a. W odpowiedzi jeden z internautów

INSTAGRAM.COM/MAWADA_ELADHM

MAWADA AL-ADHAM *została skazana na 6 lat więzienia i grzywnę.*

INSTAGRAM.COM/HANEEN_HOSSAM

HANEEN HOSSAM *otrzymała wyrok 10 lat więzienia i karę grzywny.*

napisał petycję, domagając się odblokowania serwisu; podpisało się pod nią tysiące Emiratczyków. Rządzący nie ugięli się, a Urząd ds. Regulacji Telekomunikacji zablokował serwis change.org, służący do publikowania petycji.

W 2018 r. emiracka Rada Narodowa ds. Mediów ogłosiła nowe regulacje dotyczące mediów elektronicznych. Od tej pory influencerzy angażujący się w działalność komercyjną czy też promujący sprzedaż jakiegokolwiek produktu muszą uzyskać specjalną licencję. Popularnym użytkownikom, którzy jej nie posiadają, grozi grzywna (ok. 1300 dolarów).

W tym samym roku emiracka prokuratura aresztowała trzy osoby, które wzięły udział w popularnym wyzwaniu tanecznym z wykorzystaniem poruszających się pojazdów. Oskarżono je o narażanie życia innych i promowanie „praktyk niezgodnych z wartościami przyświecającymi Emiratom".

Przywódcy takich państw jak Egipt czy ZEA argumentują, że przepisy ograniczające swobodę internautów są uzasadnione walką z ruchami islamistycznymi. Zarówno monarchia Emiratów, jak też reżim prezydenta Al-Sisiego postrzegają te ruchy jako główne zagrożenie dla stabilności i trwałości swoich rządów. W końcu to Bracia Muzułmanie, którzy po objęciu władzy przez Al-Sisiego zostali wpisani na listę organizacji uznawanych za terrorystyczne, byli wcześniej beneficjentami rewolucji z 2011 r. (tej, która obaliła sędziwego dyktatora Mubaraka).

A ponieważ inny kraj znad Zatoki Perskiej – Katar, skonfliktowany z Abu Zabi oraz Kairem – udziela wsparcia i schronienia poszukiwanym w ZEA czy Egipcie członkom Bractwa, prawo w Emiratach przewiduje karę do 15 lat pozbawienia wolności za samo tylko wyrażanie w sieci sympatii dla Kataru.

Wybiórcza modernizacja

Dominującą narracją, która miała stanowić kontrę w stosunku do konserwatyzmu Bractwa Muzułmańskiego, było promowanie wizerunku Al-Sisiego i młodych monarchów znad Zatoki Perskiej jako gwarantów nowoczesnych zmian i modernizacji. Taka retoryka pozwoliła im również zdobyć przychylność wielu zachodnich rządów. Prym wiedzie tutaj prezydent Francji Emmanuel Macron, wrogi nawet umiarkowanym islamistom. W 2020 r. Macron uhonorował Al-Sisiego Orderem Narodowym Legii Honorowej, najwyższym odznaczeniem przyznawanym przez państwo francuskie.

Po tym, jak został prezydentem w 2014 r., Al-Sisi odwiedził kobietę, która padła ofiarą molestowania podczas demonstracji na jego cześć na placu Tahrir. Prezydent zobowiązał się wtedy do zwalczania przemocy wobec kobiet. Kiedy w tym samym roku zmieniono konstytucję – ustanowioną przez poprzedni rząd złożony z islamistów z Bractwa – zagwarantowano w niej równość kobiet i mężczyzn (takiego zapisu zabrakło w konstytucji podpisanej przez poprzedniego prezydenta Mursiego). Diabeł jednak tkwi w szczegółach: w tym samym artykule zmieniona konstytucja wspomina o obowiązkach kobiety wobec rodziny. A czymże innym jak nie rodziną jest cały naród egipski?

W tym roku podczas obchodów Międzynarodowego Dnia Kobiet prezydent postanowił złożyć im hołd, wygłaszając z tej okazji przemówienie. „Kobiety to sumienie naszego narodu" – powiedział.

Co powiedziałyby na to skazane „dziewczyny z TikToka"? ©

HISTORIA

OSTATNI TAKI ŚPIEW

Argentyńskie tango śpiewane odchodzi do historii. Kilka ostatnich wokalistek żyje w domach spokojnej starości i mało kto pamięta ich nazwiska.

DOMA MATEJKO

Zulema Durán" – zapisuje na karteczce dozorca La Casa del Teatro, domu dla emerytowanych artystów, który znajduje się przy alei Santa Fe 1243, w samym centrum Buenos Aires. To z Zulemą mam rozmawiać zaraz po Nowym Roku. Jest grudzień 2019 r.

Na kilka dni przed wywiadem pokazuję karteczkę znajomym.

– Zulema Durán? Jak ci powiedzieli, że kim jest ta Zulema? – odpowiadają pytaniem. Dopiero Nieves Dacoba, która należy do osób znających wszystkie hasła w krzyżówkach, twierdzi, że kojarzy Zulemę. Prawdopodobnie z telewizji.

Zulema Durán chętnie udziela wywiadów. Wszystkim mówi to samo. Ma już nawet przygotowaną formułkę. Zupełnie, jakby odczytywała swój życiorys. Zanim jeszcze padnie pierwsze pytanie, przerywa mi w pół słowa i mówi: – Nie kłopocz się, wszystko ci skrócę.

– Jestem pracownicą tanga. Od pięćdziesięciu lat w zawodzie. Śpiewałam prawie dwanaście lat dla Juana Carlosa Copesa, dopóki ten nie rzucił wszystkiego dla „Tanga Argentyńskiego". Przed i po Copesie dużo podróżowałam. Jakoś tak wyszło – recytuje Zulema, jedna z ostatnich żyjących wokalistek tanga, z odchodzącego argentyńskiego pokolenia.

Dom wygasłych gwiazd

Zulema Durán, rocznik 1941, jest tak zmęczona próbami do nowego spektaklu, że po południu zdrzemnęła się i przespała termin naszej rozmowy.

– Człowiek myśli, że jak tu zamieszka, to odpocznie. A okazuje się, że jest tyle rzeczy do zrobienia, że ciężko złapać oddech – żartuje, gdy się wreszcie spotykamy.

Siedzimy na dziewiątym piętrze La Casa de Teatro. W oddali słychać rytmiczne odgłosy, które wydaje winda przesuwająca się w górę i w dół. Jej metalowa konstrukcja, pochodząca z początku XX wieku, robi duże wrażenie. Sprawia, że człowiek dla pewności ma ochotę wybrać schody.

Sześć pięter niżej znajduje się Teatro Regina, w którym występują rezydenci tego domu, kiedyś znani artyści. Parter zajmuje butik z rzeczami *vintage*. Aktorki i aktorzy – bardziej lub mniej rozpoznawalni – oddają do niego swoje używane ubrania. Dochód ze sprzedaży jest przeznaczany na utrzymanie domu i jego mieszkańców.

Dom to słowo umowne, bo trudno sobie wyobrazić, że po tym ogromnym budynku, będącym perłą argentyńskiego stylu *art déco*, ktoś mógłby przechadzać się w szlafroku.

A jednak. Kiedy w 1938 r. Regina Pacini – portugalska śpiewaczka i żona Marcela Torcuata de Alveara (prezydenta Argentyny w latach 1922-28) – zakładała tutaj przytułek dla ubogich artystów, z pewnością nie przypuszczała, że La Casa del Teatro przetrwa długie dziesięciolecia i stanie się kultowym miejscem na mapie Buenos Aires, a także domem dla wielu wygasłych gwiazd.

Przed Zulemą Durán mieszkał tu m.in. Luis Moglia Barth, reżyser „Tanga" (1933), pierwszego w Argentynie długometrażowego filmu dźwiękowego, w którym zagrały jedne z pierwszych śpiewaczek i autorek tekstów tanga: Azucena Maizani oraz Rosita Quiroga. To również dzięki temu filmowi tango wyruszyło w świat i dało się poznać na innych kontynentach.

Symbolem Argentyny miało jednak stać się później.

Zakazane piosenki

Nie było żadnego planu, żadnego dążenia do celu. Wszystko, co wydarzyło się w życiu Zulemy, powstało na styku szczęścia i przypadku.

Jej kariera zaczęła nabierać tempa w momencie, kiedy Argentyńczycy łapali głęboki oddech pomiędzy jedną dyktaturą wojskową (tą z lat 1966-73) a kolejną, która rządziła krajem w okresie 1976-83.

Chociaż tango nigdy nie było szczególnie podatne na wpływy polityczne, to bywały momenty, kiedy władza cenzurowała wykonywanie niektórych utworów tanga ze względu na, przykładowo, fragmenty wykonywane w *lunfardo* – slangu będącym wynikiem mieszanki języków emigrantów pochodzących z Włoch i Hiszpanii oraz ich własnej inwencji twórczej. Obarczony złą sławą „języka więźniów i przestępców", *lunfardo* znalazł swoje zastosowanie w pierwszych piosenkach tanga, śpiewanych wtedy nocą w – nie ma co tego ukrywać – domach publicznych.

Jak to zazwyczaj bywa z dyktaturami, również w Argentynie rządzący uważali, że kultura powinna odzwierciedlać (pozorny) dobrostan. Nie można więc było pozwolić, aby śpiewano, iż „świat był i będzie gównem" (to fragment piosenki „Cambalche", zakazanej przez cenzurę), skoro oficjalnie jest świetnie.

DAVID SILVERMAN / GETTY IMAGES

Tango w restauracji, dzielnica La Boca, Buenos Aires, marzec 2019 r.

Zulema Durán przyjechała do argentyńskiej stolicy z prowincji Santa Fe i od razu zaczęła śpiewać tango – dla rozrywki oraz z pragnienia, aby poznać nocne życie Buenos Aires. Również dla rozrywki zgłosiła się do programu „Grandes Valores del Tango", emitowanego na Kanale Dziewiątym. Tym samym wzięła udział w jednym z pierwszych *talent show* w historii argentyńskiej telewizji.

Programu nie wygrała, bo jego producentka już po kilku odcinkach zaproponowała jej kontrakt na nagrania. Namówiła ją, aby Zulema zrezygnowała z konkursu na rzecz płyty.

– Pech chciał, że zaraz po tym, jak przyjęłam ofertę, producentka pokłóciła się z prowadzącym i przeszła do Kanału Trzeciego. Zrobił się chaos, a ja zostałam i bez konkursu, i bez kontraktu – opowiada Zulema.

Trochę magii

– Wszystko to, o czym ci opowiadam, już nie istnieje – mówi Zulema.

Nie istnieje szkoła na skrzyżowaniu ulic Córdoba i Riobamba, w budynku numer 10, w której wieczorami udzielała lekcji z geografii i historii. Nie istnieje wydawnictwo przy ulicy Cerrito, w którym znalazła zatrudnienie na dzień po przybyciu do Buenos Aires, a które wydawało piękne mapy świata. Nie ma tych dwóch ↦

tanguerías (taką nazwę nosiły bary, w których wykonywało się tango), La Botica del Ángel ani Gotán, które swój moment świetności przeżywały w chwili, gdy kariera Zulemy nabierała prędkości.

Nie istnieje nawet Cancán, bar niedaleko alei Libertadores, do którego pewnej nocy przyszedł Carlos Copes, najwybitniejszy choreograf tanga w Argentynie. Zaoferował Zulemie, żeby śpiewała w jego balecie.

– Było w tym coś z magii. Nie zastanawiałam się. Przyjęłam ofertę – opowiada.

Miesiąc później występowała już w Meksyku. W ciągu dnia chodziła na spacery i kąpała się w basenie, przy czym cały czas uważała, żeby nie złapać anginy. W spektaklu śpiewały tylko dwie osoby – ona i jej kolega , który szybko zakochał się w pewnej Meksykance i postanowił nie wracać do Argentyny. A Zulema ruszyła dalej wraz z baletem, do Puerto Rico.

– Nigdy nie myślałam, że będę śpiewać za granicą. Nigdy też nie przypuszczałam, że spędzę dziesięć lat na Corrientes – twierdzi Zulema. Wyraz jej twarzy łagodnieje. Ściąga ciemne okulary. Przez chwilę jest mniej Zulemą-artystką, a bardziej sobą.

Ulica Corrientes to jedna z głównych alei w Buenos Aires. Jadąc przez stolicę, metrem lub autem, w którymś momencie trzeba ją przemierzyć. W latach 60. XX w. Corrientes oraz dzielnica San Telmo stanowiły centrum argentyńskiego tanga.

Takie bary jak Malena del Sur, Gotán czy Tango14 przyciągały turystów i trochę zamożniejszych Argentyńczyków. W tamtych czasach tango było rozrywką dla zamożnych, gdyż wejściówki do barów miały wygórowane ceny.

To jednak nie stanowiło problemu dla przyszłego męża Zulemy – dyrektora banku. Poznali się w barze Dominó przy alei Maipú, w którym tańczyło się jazz i tango, a który dzisiaj też już nie istnieje. Gdy na schodach, które były niezwykle strome („Tak bardzo, że w szpilkach nie ma szans zejść" – twierdzi Zulema), zobaczyła postawnego mężczyznę, wiedziała, że to miłość jej życia. Nic nie planowała. Tak wyszło.

Ostatnie, które pamiętają

– Pamiętam, jak kupiliśmy sobie auto. Takiego fitito [fiat 600 – red.], których już nie produkują. Trzeba było to auto dotrzeć, więc pojechaliśmy na festiwal do Mar de Plata. Poszło mi dobrze, ale zajęłam drugie miejsce – wspomina.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Regina Pacini, portugalska śpiewaczka, żona prezydenta Argentyny i założycielka La Casa del Teatro, ok. 1928 r.

Pierwsze miejsce zajęła Amelita Baltar, która w 1969 r. swoim wykonaniem tanga „Balada para un loco" na chwilę wstrząsnęła całą stolicą. Dosłownie: jej występ na Pierwszym Iberoamerykańskim Festiwalu Muzyki i Tańca w Buenos Aires został wygwizdany. Publiczność uznała, że ballada nie może rościć sobie miana tanga. Mimo to Porteños, czyli mieszkańcy Buenos Aires, zaczęli mimowolnie, od niechcenia, nucić *„estoy piantao, piantao"* (jestem szalony, szalony).

Z ulic piosenka przeniosła się do studiów nagraniowych. Zaczęli ją wykonywać różni artyści, aż w końcu „Balada para un loco" została uznana za jedną ze stu najważniejszych piosenek Ameryki Łacińskiej.

Amelita i Zulema, które kiedyś dzieliły scenę, teraz łączy fakt, iż są jednymi z niewielu żyjących wokalistek tanga, które pamiętają czasy, kiedy na ulicach stolicy można było usłyszeć tango – gwizdane po cichu lub spontanicznie nucone.

W 1983 r. w Paryżu świat po raz pierwszy ujrzał spektakl „Tango Argentino", do którego choreografię przygotował Carlos Copes. Nikt nie przewidywał, że paryski sukces – oprócz wzrostu zainteresowania tangiem na świecie oraz w samej Argentynie – przyniesie wkrótce kres epoce tanga śpiewanego.

Tajemnicze zniknięcie

– Nie wiemy, co się stało. To jest zagadka – mówi Zulema, kiedy pytam o losy tanga śpiewanego.

Podczas gdy świat oszalał na punkcie „Tanga Argentyńskiego", w samej Argentynie zamykane były kolejne bary, w których śpiewano tango. Po 1983 r. w spektaklach utwory śpiewane zeszły na drugi, a nawet trzeci plan. Bywało, że podczas spektaklu śpiewano wyłącznie jeden utwór.

– Po tym, jak Carlos Copes wyjechał w trasę i zostałam sama, pracowałam jeszcze dziesięć lat. Głównie na południu kraju. Ale tango zaczęło umierać – opowiada Zulema.

Gdy Zulema mówi „tango", ma na myśli śpiew. Gdy mówi „taniec", ma na myśli tango takie, jakie istnieje w naszych wyobrażeniach.

Tango dla niej to opowieść. W jego tekście nie można nic przeinaczyć. To, co zostało w piosence zapisane, trzeba zaśpiewać słowo po słowie. Dokładnie, nie pomijając niczego i niczego nie zmieniając.

– Jeżeli jest napisane „Cieszę się, że wróciłaś / po całym roku / w tej sukieneczce / co ci podarowałem" – Zulema cytuje fragment tanga „Lo que vos te merecés" – to ja nie mogę zaśpiewać „w tej garsoneczce". Musi być „sukieneczka" i już!

Wtedy, po latach życia w trasie, wróciła do Buenos Aires. Nie miała nawet gdzie szukać pracy. Jej *tanguerías* już nie istniały.

Zgłosiła się do La Casa del Teatro. Żeby zostać tutaj rezydentką, musiała przejść przez proces rekrutacyjny, złożyć CV i – jak przystało na Argentynę, światową mekkę psychologów – zrobić testy psychologiczne. Przyjęto ją bez zastrzeżeń.

Proszę, żeby zaśpiewała tango „Lo que vos te merecés".

Jej głos jest niski, chropowaty. Taki, który nie jest wynikiem ćwiczeń, lecz życiowego doświadczenia.

Jak się tańczy tango

Można być w Buenos Aires i nie usłyszeć tanga. Tango jest domeną ludzi starszych i tych Argentyńczyków, którzy

w tangu upatrują prawdziwej argentyńskości.

Trzeba wiedzieć, gdzie iść, żeby go posłuchać. Trzeba wiedzieć, kogo pytać, żeby móc o nim porozmawiać. Chociaż Argentyna zasłynęła na świecie także dzięki temu gatunkowi, a w Polsce doczekaliśmy się naszego „Tanga milonga", w dzisiejszej Argentynie nie jest to temat oczywisty.

– W naszej parafii oferują kurs tanga. Można przyjść i nauczyć się grać lub tańczyć – opowiada Maria Dacoba. – Rok temu, na urodziny mojego męża, poszliśmy do *tanguería* o nazwie Madera, w centrum Buenos, żeby zobaczyć, jak się teraz tańczy tango. Najwięcej było tam turystów z Brazylii.

Maria skończyła pięćdziesiątkę i deklaruje, że kiedyś nauczy się tańczyć tango. W jej domu oglądano w telewizji „Grandes Valores del Tango" i to, co dzisiaj Maria wie o tangu, zawdzięcza właśnie temu programowi. – Zazwyczaj słuchało się takiej muzyki, za którą tęsknili rodzice-emigranci – wspomina.

Większość Argentyńczyków, którzy dzisiaj mają 50 lub 60 lat, wychowała się w rodzinach, gdzie kultywowano europejskie tradycje. Przedstawiając się, często mówią o sobie: „Jestem Hiszpanem", „Jestem Włochem", „Jestem Polakiem". Nawet jeżeli nie potrafią poprawnie wypowiedzieć swoich nazwisk.

– My słuchaliśmy głównie muzyki hiszpańskiej – wspomina Maria.

Jej rodzice pochodzili z hiszpańskiej Galicji. Mama, Manola, do końca życia oglądała telewizję po galicyjsku. Tanga nie słuchała. Choć w Argentynie spędziła ponad 60 lat, mówiła z silnym galicyjskim akcentem.

DOMA MATEJKO

Podczas rozmowy z autorką „Tygodnika" Zulema Durán wykonuje utwór śpiewanego tanga „Lo que vos te merecés", styczeń 2020 r.

Na rodzinnych imprezach, na które byłam zapraszana podczas moich pobytów w Argentynie, siadała koło mnie i szeptała mi do ucha „My, Europejki, musimy się trzymać razem".

Argentyńczycy, zwłaszcza młodzi, nie dorastają z tangiem w tle – takim, które leciałoby w radiu. Nikt im tanga nie śpiewa. Tańczą cumbię, z przerwami na rocka. Każde wesele otwiera walc. Tanga Argentyńczycy uczą się tak samo, jak Polacy krakowiaka.

Sprzedam tango, kupię tango

Do dzielnicy La Boca trafiam dopiero w czasie mojej drugiej wizyty w Argentynie i to po ponad trzech miesiącach spędzonych w stolicy. Tu po raz pierwszy słyszę tango.

To w La Boca zatrzymywali się nowo przybyli imigranci, zanim zadecydowali o swoim dalszym losie – lub zanim to los zdecydował za nich. Kolorowe budynki, pomalowane przez artystę Benita Quinquelę Martína, miały wynagrodzić imigrantom z Europy trud podróży i dać nadzieję na przyszłość. To tu narodziło się tango, które znamy z filmów. Takie, które ma się przed oczami, kiedy się myśli „tango".

Dzisiaj na głównej ulicy, zwanej el Caminito, można sobie zrobić zdjęcie z tancerzem ubranym w strój nawiązujący do lat 20. ubiegłego wieku. Koszula rozpięta prawie do linii spodni i przygładzone włosy świadczą o tym, że mamy do czynienia z prawdziwym *macho*.

Koszt zdjęcia – dwa dolary, płatne gotówką. Zdewaluowanego peso tancerz-model nie przyjmuje.

Niedaleko jest La Perla – kawiarnia, w której na ścianach wiszą zdjęcia i podobizny największych gwiazd Argentyny, w tym Maradony oraz Carlosa Gardela, do którego należy m.in. pierwsze zarejestrowane tango śpiewane „Mi noche triste" z 1917 r.

Tango sprzedaje się więc niezwykle dobrze. Można kupić sobie pocztówkę z tancerzami i wysłać znajomym na znak, że się tu było. Można nabyć magnes z napisem „tango" i przyczepić na lodówkę, żeby goście wiedzieli, że widzieliśmy, jak to się tańczy w Argentynie.

Nikt nam jednak tanga na ulicy nie zanuci. Nie zatańczymy go w pierwszym lepszym barze. Trudno jest tu szukać autentyzmu. Bo tak właściwie, co nim dzisiaj jest?

Być może prawdziwe tango jest w samych Argentyńczykach. W tęsknocie Zulemy Durán za tym, co było.

© DOMA MATEJKO

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 595/21, toczy się postępowanie z wniosku Mariusza Rudnika o stwierdzenie nabycia spadku po Czesławie Słonawskiej, c. Władysława i Stanisławy, ostatnio zwykle przebywającej w Warszawie przy ul. AK Batalionu Parasol 3 m. 41, ur. 2 lutego 1935 r. w miejscowości Ludwiszyn, zm. 23 października 2017 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Mysłowicach, Wydział I Cywilny, informuje, iż pod sygn. akt I Ns 81/21 w tutejszym Sądzie toczy się postępowanie z wniosku Gminy Mysłowice – Miejskiego Zarządu Gospodarki Komunalnej z siedzibą w Mysłowicach w sprawie o stwierdzenie nabycia spadku po Marku Adamczyku (Adamczyk), s. Antoniego i Łucji, zm. 3 września 2020 r. w Mysłowicach, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Mysłowicach. Skład spadku nie jest znany.

Wzywa się spadkobierców Marka Adamczyka, aby w ciągu trzech miesięcy od ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

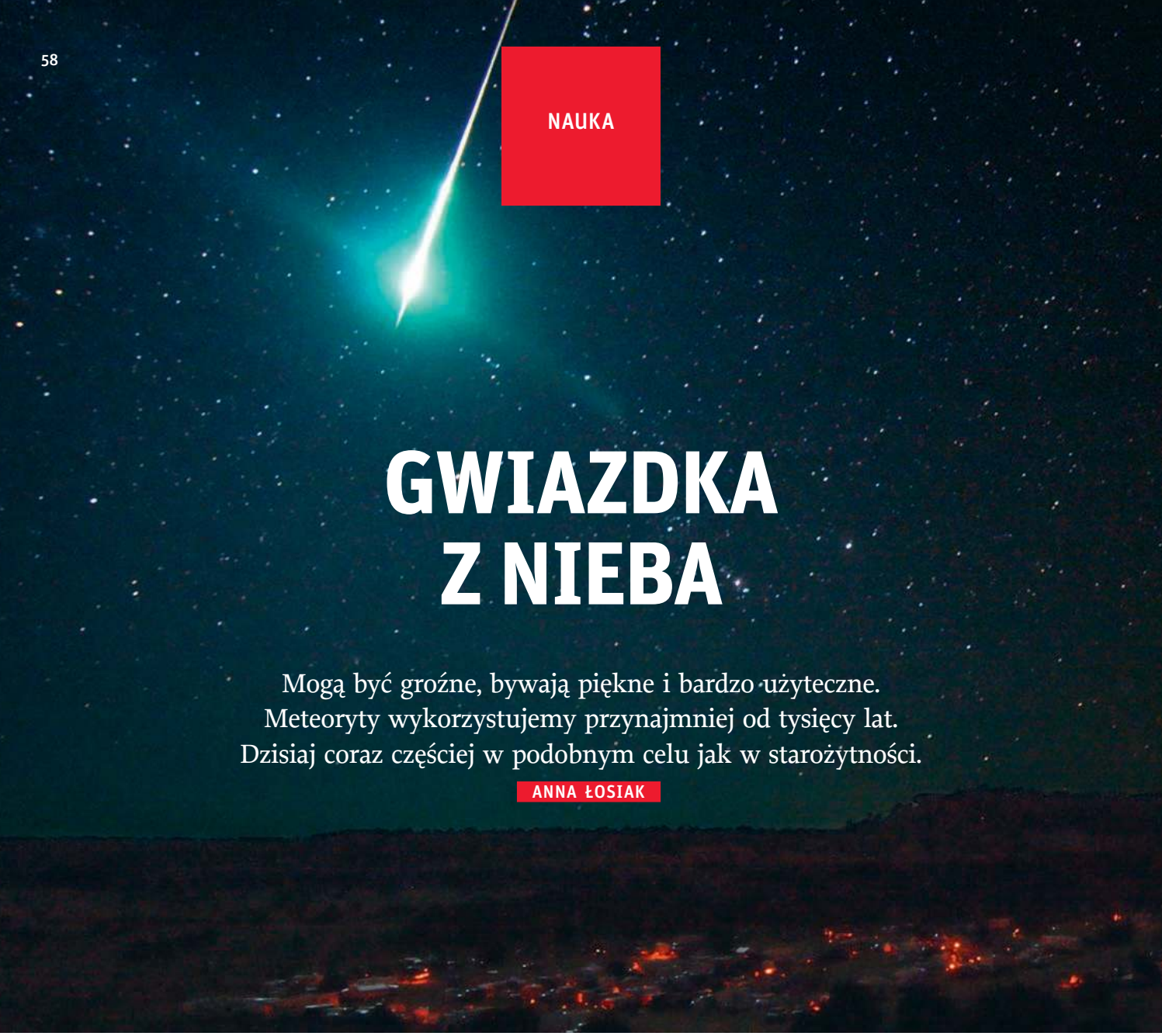

GWIAZDKA Z NIEBA

Mogą być groźne, bywają piękne i bardzo użyteczne. Meteoryty wykorzystujemy przynajmniej od tysięcy lat. Dzisiaj coraz częściej w podobnym celu jak w starożytności.

ANNA ŁOSIAK

Na początku była eksplozja. Wielka gwiazda zakończyła swoje życie jako supernowa. Potężny wybuch zgruchotał jej serce na drobne fragmenty, które połączyły się z innymi cząsteczkami dryfującymi w przestrzeni kosmicznej, by dać początek naszemu Układowi Słonecznemu. Słońce powstało z wodoru, a cięższe pierwiastki, takie jak żelazo, krzem czy tlen, utworzyły dokoła niego wirujący dysk. Cząsteczki występujące w tym dysku zderzały się ze sobą, stopniowo tworząc coraz większe ciała – asteroidy, potem również planety, w tym naszą Ziemię.

Resztki materiału, z którego zbudowany jest Układ Słoneczny, możemy czasem podziwiać w muzeach – pojawiają się na Ziemi jako meteoryty. To fragmenty asteroidy, które przetrwały przejście przez atmosferę. Są dużo starsze niż nasza planeta. Z tego powodu większość meteorytów jest zbierana i kolekcjonowana w celach naukowych, a ich badanie to jedyny sposób, żeby się dowiedzieć, co się działo w naszej kosmicznej okolicy ponad 4,5 mld lat temu.

Meteoryty są wyjątkowe również ze względu na swój skład chemiczny: wiele z nich zawiera dużo rzadkich pierwiastków, takich jak platyna, iryd czy pallad. Są one nie tylko w większości droższe od złota, ale również mają kluczowe znaczenie w produkcji nowoczesnej elektroniki i baterii do samochodów elektrycznych.

Klejnoty faraonów

Człowiek od dawna doceniał wyjątkowość meteorytów. Zanim nauczyliśmy się pozyskiwać metale z rud, meteoryty były jedynym źródłem tajemniczej, twardej i jednocześnie plastycznej materii – żelaza. Nie mamy pewności, od kiedy meteoryty służyły do produkcji narzędzi i ozdób, ponieważ niezabezpieczone żelazo szybko rdzewieje i zmienia się w rdzawy pył. Pierwsze ślady wykorzystania żelaznych meteorytów pochodzą z egipskiego grobowca w Gerzeh sprzed przeszło 5 tys. lat, czyli ponad tysiąc lat przed wynalezieniem sposobu na wytop żelaza z rudy.

Przez tysiące lat meteorytowe wyroby znajdowały się w rękach elity. W końcu

HOWARD EDIN / OKLAHOMA CITY ASTRONOMY CLUB / NASA

Każdego dnia ponad sto ton kosmicznego pyłu i drobnych skał wpada do ziemskiej atmosfery, gdzie większość tego materiału ulega spaleniu. Większe, kilkucentymetrowe fragmenty, które odpowiednio jasno świecą, nazywane są bolidami. Kolor bolidu zależy od składu chemicznego spadającej asteroidy: te zawierające dużo żelaza są żółte, a zbudowane w większości ze skał bogatych w wapń i magnez mienią się odcieniami fioletu i niebieskości.

Na zdjęciu bolid sfotografowany nad Parkiem Stanowym Black Mesa w Oklahomie przez astronoma amatora Howarda Edina we wrześniu 2008 r.

miały niespotykany w epoce brązu srebrzysty kolor i ogromną wytrzymałość. Najprawdopodobniej ludzie już wtedy wiedzieli, że zostały wykonane z czegoś, co spadło z nieba. Mogły być więc uważane za bezpośredni dar bogów.

Z meteorytowego żelaza ok. 2500 r. p.n.e. wykonano ozdobny sztylet (znaleziony w Alaca Höyük w Turcji), który był bardziej biżuterią niż bronią. Był to w końcu przedmiot tak dużej wartości, że nie opłacało się ryzykować zepsucia go w trakcie używania. W mniej więcej tym samym czasie powstał także wisiorek z Umm al-Marra w Syrii. Produkcję meteorytowych oznak luksusu kontynuowano przez co najmniej tysiąc lat. Z ok. 1400 r. p.n.e. pochodzi stylizowana siekierka z Ugarit w Syrii oraz kilkanaście różnych ozdób z czasów dynastii Shang w Chinach. Najwięcej rozgłosu zyskały jednak meteorytowe znaleziska z grobu Tutenchamona: doskonale zachowany sztylet, a także fragment bransoletki i podpórki pod głowę.

Największą popularność przedmioty z meteorytów żelaznych przeżywały ponad 3,3 tys. lat temu. Później technologia produkcji żelaza rozpowszechniła się na tyle, że niemal każdego było stać na swój własny żelazny nożyk, nierozróżnialny na pierwszy rzut oka od przedmiotów wykonanych z meteorytów. Nie dało się więc już używać tego materiału jako symbolu bogactwa i łaski bogów.

Kosmiczne obrączki

Niedawno meteoryty zaczęły powracać do łask jako materiał jubilerski, choć teraz, na szczęście, nie trzeba być ani faraonem, ani cesarzem Chin, żeby cieszyć się pięknem tych kosmicznych skał. Obecnie najczęściej wykorzystywaną w produkcji biżuterii właściwością meteorytów żelaznych są tzw. figury Widmanstättena, czyli wzór przecinających się, wydłużonych prostokątów o różnym odcieniu szarości, widoczny na wypolerowanym i potraktowanym słabym kwasem meteorycie. Taki wzór ma nie tylko niewątpliwe walory estetyczne, ale jest również nie do podrobienia. Może powstać tylko w wyjątkowych warunkach: kiedy płynny stop żelaza i niklu bardzo wolno (w tempie kilku stopni na milion lat) ochładza się w sercu kilkusetkilometrowej asteroidy. Cały proces trwa co najmniej kilkadziesiąt milionów lat.

Elementy z meteorytów żelaznych są dziś używane jako detale w pierścionkach, wisiorkach i kolczykach. Popularnym ich źródłem jest meteoryt Gibeon z Namibii, ze względu na drobne, ale dobrze widoczne figury Widmanstättena, dużą ilość dostępnego materiału (w sumie zebrano ponad 26 ton) oraz odporność na rdzewienie, dzięki niskiej zawartości siarki i innych domieszek. Największy i najsłynniejszy polski meteoryt żelazny Morasko, który spadł pod Poznaniem 5 tys. lat temu, tworząc tam kilka kilkudziesięciometrowych kraterów, nie nadaje się na biżuterię. Rdzewieje bowiem bardzo szybko nawet po najmniejszym kontakcie z wilgocią.

Z kosmiczną biżuterią trzeba jednak uważać – meteorytowe elementy zawierają sporo niklu, który może uczulać. Ale obecność tego pierwiastka może być przydatna – wykorzystujemy ją do rozpoznania pozaziemskiego metalu. Ludzie (poza rzadkimi specjalistycznymi zastosowaniami) nie wytwarzają stopu żelaza i niklu, więc jeżeli gdzieś znajdziemy tę nietypową kombinację, możemy być niemal pewni, że mamy do czynienia z przetopionym meteorytem. W taki właśnie sposób rozpoznano kosmiczne pochodzenie sztyletu Tutenchamona. Podobnie, używając komercyjnie dostępnych testów na obecność niklu, możemy sprawdzić, czy nasz okaz jest rzeczywiście pochodzenia kosmicznego.

Miłośników bardziej tradycyjnej biżuterii, z pełnymi blasku klejnotami, mogą zainteresować pallasyty. To jedna z najpiękniejszych i najrzadszych grup meteorytów składająca się z kilkucentymetrowych kryształów oliwinów zatopionych w srebrzystym metalu. Znamy zaledwie 61 miejsc, gdzie można je znaleźć. Pochodzą z głębokiego wnętrza asteroid, z granicy między żelaznym jądrem a skalnym płaszczem. Oliwiny to piękne, zielono-żółte kamienie półszlachetne o dużej przejrzystości i pięknym blasku. Mogą być wstawiane w wisiorki, robi się z nich także tarcze zegarków.

Kamienie z Marsa

Niektóre meteoryty wykorzystywane w jubilerstwie mają jeszcze bardziej niezwykłą historię – pochodzą z Księżyca i Marsa.

Marsjańskie meteoryty narodziły się na Czerwonej Planecie, gdy po wybuchu ↦

↦ wulkanu płynna, gorąca lawa zastygła na kamień. Przebywały tam przez ostatnie kilka miliardów lat, tylko z rzadka niepokojone niewielkimi trzęsieniami marsjańskiej powierzchni albo powoli przeciskającą się przez szczeliny wodą. W taki właśnie nudny sposób spędzały swoje kamienne życie, aż do momentu, gdy znienacka w ich pobliżu uderzyła spora asteroida. Energia wyzwolona w wyniku tego zderzenia utworzyła krater o średnicy kilku kilometrów, ale też wyrzuciła w przestrzeń kosmiczną tony skał. Większość z tych kamieni po jakimś czasie została pochłonięta przez Słońce i spaliła się całkowicie, ale niektóre wylądowały na Ziemi.

Spośród tych, które trafiły na naszą planetę, tylko niewielka część została odnaleziona i naukowo rozpoznana jako pochodzące z Marsa. Dlatego meteoryty z innych ciał niebieskich są tak rzadkie: spośród 61 tys. znanych meteorytów (z których większość znajduje się w muzeach i ośrodkach badawczych), tylko 214 pochodzi z Marsa i około 300 z Księżyca. Za tą unikatowością idą ich ceny: gram szarej, niepozornie wyglądającej skały z Marsa kosztuje średnio od 300 do 1,5 tys. zł, ale jeśli to fragment bardziej znanego meteorytu, znalezionego w nietypowych okolicznościach, to ceny mogą sięgać 40 tys. zł za gram. Tyle zapłacimy za kawałeczek meteorytu Northwest Africa 7034 zwanego „Black Beauty", znalezionego w 2011 r. na Saharze. Jest on jednym z najstarszych meteorytów marsjańskich, przechowujących w swoim wnętrzu informacje o czasie, kiedy Czerwona Planeta była znacznie bardziej podobna do Ziemi. Mars posiadał wtedy na swojej powierzchni płynące rzeki, a może nawet ocean.

Zaginiony krater

Jeżeli nie stać nas na takie ekstrawagancje, można zainwestować w coś tańszego, ale również łączącego się z kosmicznymi zderzeniam – tektyty. To niewielkie (do kilku kilogramów) kawałki szkła impaktowego utworzonego w momencie, gdy duża asteroida (co najmniej kilkaset metrów średnicy) uderzyła w Ziemię pod znacznym kątem.

Ziemskie skały występujące na powierzchni w pobliżu miejsca zderzenia zostają w chwili uderzenia podgrzane

Co się stało w Tall el-Hammam

SODOMA ODNALEZIONA? Taką sugestię wysunęli amerykańscy badacze w ostatnim wydaniu „Scientific Reports". Zdaniem Teda Buncha z Uniwersytetu Północnej Arizony i jego współpracowników położone w południowej dolinie rzeki Jordan starożytne miasto Tall el-Hammam mogło być ową biblijną metropolią. Według ustaleń badaczy w 1650 r. p.n.e. zostało ono, jak Sodoma, zniszczone przez gniew z niebios. Asteroidę, która wybuchła kilka kilometrów nad nim.

DOWODAMI mają być bogata w węgiel i popiół warstwa obejmująca całe miasto, stopione w temperaturze powyżej 2 tys. st. C ceramika i cegły oraz wiele innych poszlak, które mają bliźniaczo przypominać blizny po uderzeniach asteroid. Badacze twierdzą, że zagładę przyniósł miastu bolid większy niż ten, który w 1908 r. wybuchł nad Tunguzką. Wówczas ok. 50-metrowy kawałek kosmicznej skały eksplodował z mocą tysiąckrotnie większą niż bomba atomowa zrzucona na Hiroszimę.

TO NIE PIERWSZE doniesienia naukowe odwołujące się do historii biblijnej Sodomy. Ten sam amerykański zespół od lat forsuje hipotezę o tym, że w czasach starożytnych Ziemię spotkał kosmiczny kataklizm. Ale jak dotąd ich ustalenia obalali specjaliści od planetarnych impaktów i archeolodzy.

NAJNOWSZA PUBLIKACJA również wywołuje wiele sceptycznych komentarzy. Autorzy badania nie przedstawiają bowiem niepodważalnych dowodów na to, że w tym miejscu wybuchła wielka asteroida – przede wszystkim nie odnaleziono żadnych śladów pozaziemskiej materii. Wątpliwości budzą także przeprowadzone analizy struktur, które miałyby nosić ślady uderzenia.

SUPERWYSOKIE, topiące ceramikę temperatury panujące w mieście również mogą mieć prostsze wyjaśnienie. Ich ślady znane są także z innych stanowisk i okresów w tym rejonie. Gliniane, bliskowschodnie chaty podczas pożaru mogły bowiem działać jak piece, gwałtownie zwiększając panującą wewnątrz temperaturę.

ARGUMENTEM za tym, że miasto zniszczył całkowicie „ziemski" pożar, jest też to, że krzemionkowe kropelki będące skutkiem ekstremalnie wysokiej temperatury pojawiają się wyłącznie w obrębie miasta, ale już nie w glebie poza nim. Asteroidy nie bywają tak selektywne.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI, ANNA ŁOSIAK

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu pod syg. akt I Ns 275/21 toczy się postępowanie z wniosku Stanisławy Rutyny o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości oznaczonych jako: działka ewid. nr 3982 o pow. 0,1600 ha, stanowiąca grunty rolne zabudowane w obrębie 0007 Wydrza Gminy Grębów, powstała z cz. pgr 8335/1 LWH 6292 gm. kat. Grebów oraz z cz. pgr 8389/1 LWH 1770 KW TB1T/00001729/4 gm. kat. Grębów.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się i wykazali swe prawa do tych nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu.

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich, I Wydziale Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 398/18 toczy się postępowanie z wniosku SKOK „Śląsk" w Rudzie Śląskiej o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłym Sławomirze Tutla, ur. 24 listopada 1961 r., s. Józefa i Anny, zm. 29 marca 2017 r. w Ziębicach, ostanio zamieszkałym z Ziębicach.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców po Stanisławie Tutla, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

NASA

CULTNAT / CENTRE FOR DOCUMENTATION OF CULTURAL AND NATURAL HERITAGE / MATERIAŁY PRASOWE

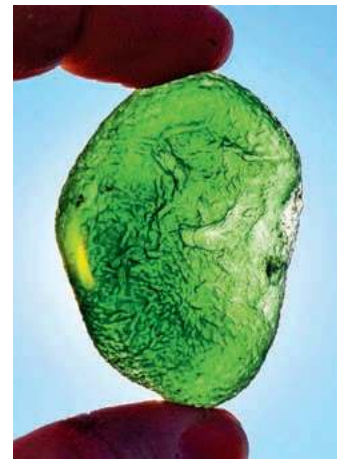

WIKIOPEDIA.ORG

do kilku tysięcy stopni i topią się w mgnieniu oka, tworząc różnokolorowe szkło. Zabarwienie różnych rodzajów tektytów wynika z niewielkich domieszek pierwiastków występujących w glebie. Indochinity znajdowane m.in. w Tajlandii mają zwykle ciemnobrązowy kolor, mołdawity z Czech są trawiastozielone, a szkliwo Pustyni Libijskiej występujące w zachodnim Egipcie ma piękny miodowy kolor. W niektórych przypadkach udało się powiązać pola tektytów z konkretnym kraterem, w którym powstały. Wiemy np., że iworyty, czyli tektyty z Wybrzeża Kości Słoniowej, pochodzą z 10-kilometrowego krateru Bosumtwi w Ghanie, a wspomniane wcześniej zielone mołdawity powstały w 24-kilometrowym kraterze Ries w południowych Niemczech.

Krater źródłowy pozostałych tektytów nadal stanowi zagadkę. Jest to szczególnie fascynujące w przypadku indochinitów, ponieważ razem z kilkoma innymi typami tektytów tworzą one jedną gigantyczną i powstałą w tym samym czasie powierzchnię, ciągnącą się od północnej granicy Wietnamu przez Indonezję aż do Australii, a niewielkie kawałeczki odnajdowano nawet w pobliżu Madagaskaru. To największe pole tektytów odkryte na Ziemi, a jednocześnie nie znamy ich źródła. Badania z innych tego typu zjawisk wskazują, że krater, który je utworzył, musiał być również wyjątkowo wielki – a jak na razie go nie znaleźliśmy.

Powyżej: miodowy skarabeusz z impaktowego szkliwa pustyni libijskiej, będący częścią odświętnego grobowego stroju króla Tutenchamona.

Po lewej: meteoryt marsjański „Black Beauty" („Czarna Piękność") znaleziony w 2011 r. na Saharze.

Po prawej: mołdawit – fragment ziemskiej skały podgrzanej w wyniku uderzenia meteorytu.

Tektyty doskonale nadają się do różnych rodzajów biżuterii, ale szczególnie popularne są w wisiorkach i kolczykach. Są dość łatwe w formowaniu, więc można im nadać dowolny kształt, a jednocześnie są relatywnie odporne na uszkodzenia.

■■■

Ze względu na wysokie ceny takich materiałów z kosmosu wiele osób próbuje je podrabiać. I o ile niektóre z tych podróbek są dość proste do rozpoznania (jak regularnie pojawiające się na portalach aukcyjnych „obrączki z meteorytem", bardzo nieudolnie udające wzór figur Widmanstättena), inne można rozróżnić tylko przy pomocy specjalistycznego sprzętu.

O wartości meteorytów oczywiście w największym stopniu decyduje ich znaczenie naukowe. Ale to właśnie nasza wiedza o tym, skąd pochodzą i jakie niosą informacje o Układzie Słonecznym, nakręciła także zainteresowanie kolekcjonerów, chcących obcować z rzeczami, dosłownie, nie z tej Ziemi. © ANNA ŁOSIAK

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. akt I Ns 71/21 postępowanie z wniosku Zakładu Ubezpieczeń Społecznych o stwierdzenie nabycia spadku po Damianie Kubis, zm. 30 stycznia 2018 r., ostatnio zamieszkałym w Noskowie. W skład spadku po zmarłym wchodzi prawo własności pojazdów mechanicznych.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod syg. akt I Ns 69/21 postępowanie z wniosku Alior Bank S.A. o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Bartkowiaku, zm. 22 stycznia 2017 r., ostatnio zamieszkałym w Żerkowie. Skład spadku po zmarłym nie jest znany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall: *MB*

Pierwsza śmierć – niemiecki żołnierz zastrzelony przez powstańców. Na Ordynackiej.

Pierwszy strach – przed Czerwoną Armią.

Pierwsze piękno – ruiny miasta. Piękno destrukcji.

Kobiety, nagość. Starożytne rzeźby w Muzeum Narodowym.

Dziadek, który nie umie być wiejskim sekretarzem partii. Chłopem też nie umie być. Umie umrzeć – w kuchni, w ich mieszkaniu, w ruinach Nowego Światu.

Pierwszy list – do prezydenta Bieruta, żeby wypuścił z więzienia ojca-akowca.

Żyd, ale porządny człowiek, powie ojciec o naczelniku więzienia. To wszystko, co o więzieniu im opowie.

Najlepszy uczeń w technikum budowlanym. Architektura.

W światło trzeba wyjść, w przestrzeń, mówi profesor.

Propyleje – doskonałość schodów, mówi profesor.

Gaudi, fascynacja Bogiem, ludźmi, przyrodą i myślą, Przyrodą i Myślą (zaczyna nadużywać dużych liter).

Koszule non iron i opera w Sydney. Nowoczesność.

Dworzec, Tychy, pierwszy konkurs. Makietę robi kolega z roku, mieszka na korytarzu, za kotarą, bez okna, za stówę na miesiąc. Pierwsza nagroda.

Pierwsza żona.

Pierwszy syn. Będzie teologiem.

Pierwszy pies, skundlony wyżeł.

Cypel Czerniakowski – współżycie z krajobrazem Wisły. Józef Sigalin (ten od trasy W-Z, fenomenalnej) chce budować. Przyjazny facet. Miał zwyczaj trzymać pistolet na biurku i był skuteczny. To kiedyś. Niestety, nie może już trzymać pistoletu i Cypla nie ma. Mimo krajobrazu Wisły.

Ursynów – WK 70 i system „Szczecin", prefabrykaty. Fajny zespół, Włodek jest synem, nienawidzi ojca z ancien régime'u, ale jest synem. Piotr też jest synem, czasami to pomaga. Nawet bardzo.

Pałac Mostowskich, pierwsze przesłuchanie. Pracują ze wszystkich sił, żeby Polacy mieli życiową przestrzeń, zeznaje zgodnie z prawdą. Przesłuchujący wyraźnie rozbawieni.

Tu się będzie dobrze mieszkać, mówi na Ursynowie Edward Gierek. Ach, jaki zachwyt powszechny, jakie uznanie dla panów architektów.

Pierwszy rozwód.

Pierwszy talon na samochód. Mały fiat.

Druga żona.

Proboszcz ursynowski, Tadeusz Wojdat, pyta, czy zaprojektuje mu kościół.

Przychodzi ksiądz bez telefonu, bo Ursynów jeszcze się buduje i telefonów nie ma. Do pustego mieszkania przychodzi, bo i mebli nie ma, tylko materac i stół kreślarski.

Nie pyta, czy wierzy w Boga.

Nie pyta, czy należy do partii.

Pyta, czy zaprojektuje mu kościół.

Nad makietą kościoła z reporterką HK.

Tam są drzwi. Surowe, jak w kościołach romańskich.

Tutaj nawa. Elementy bazylik wczesnochrześcijańskich przemieszane nieco z Młodą Polską.

Dzwonnica. Barok.

Nie, nie za dużo. To są cytaty.

Nie cytaty właściwie, tylko nastroje i ciągłość kulturowa.

Aha, ciągłość.

Niegustowne? (odgaduje myśli reporterki HK).

Czasami chce się być z czymś niegustownym. Z niewymyślonym. Ze swojskim. Bardziej ze swojskim niż z bezbłędnym znakiem nowoczesności.

Ksiądz wie od razu, co i jak, chociaż nigdy niczego nie budował. Może we krwi ma się to budowanie? Nie z WK 70, tylko prawdziwe, kiedy kładzie się cegły, a rusztowanie zbija się z desek. I kiedy zna się człowieka, dla którego się buduje.

Pierwszy raz zna człowieka, dla którego buduje.

Pierwszy raz nie ma nakazów, zakazów ani norm.

Pierwsza wolność.

Nie, nie za dużo jej.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Wolność, równość, siostrzeństwo!

Wydanie specjalne „Moc kobiet" dostępne jako e-book na powszech.net/emockobiet

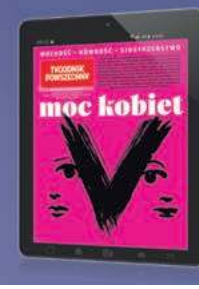

A może i za dużo – dla człowieka zniewolonego nakazami. Jak taki człowiek jest już wolny, to chce powiedzieć wszystko naraz i mówi za dużo i za głośno.

To niebezpieczne.

Trzeba się ograniczyć. Formą, która stwarza rygory.

Można nauczyć się rygorów, wystarczy trochę treningu. I pewności, że nikt nam tej wolności za chwilę nie odbierze.

Sąd Najwyższy.

Rytmy kolumn, z patynowej miedzi, grecki klasycyzm, sublimacja ateńskiej demokracji.

Pierwsza córka.

Pierwszy zawał.

Kapitalizm. Dworek dla prywatnego klienta. Klient handluje na rynku dodatkami krawieckimi.

Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego. (Książka jest równie ważna jak czytelnik). Ogród na dachu. Zieleń rodzima czy zagraniczna, ozdobna. Ogród wyrasta sam z siebie, ze swojskich samosiejek. Uniwersytet każe wyciąć.

Wita papieża na otwarciu Biblioteki.

Otwarcie Gmachu Sprawiedliwości.

Trzecia żona.

W prezencie ślubnym przelot balonem.

Pierwsza żona umiera (syn pierwszej żony, ten teolog, handluje winem, córka drugiej żony kończy japońską informatykę).

Balon nie odlatuje.

Powstają doktoraty o twórczości MB, w Warszawie i Petersburgu.

Szpital, ksiądz z sakramentem.

Czwarty stent.

Wie, jak ma być. Ile gmin, ilu ludzi i jak budować, żeby ludzie przetrwali.

Pisze książkę.

Posyła ją premierowi, prezydentowi, trzem ministrom i jednemu kardynałowi. Razem dziewięćdziesięciu czterem osobom. Dostaje jeden mail i pięć telefonów. Żaden nie jest od premiera, ministrów ani od kardynała.

Jeden z telefonów jest o tym, że życie MB nadaje się na film.

W książce używa słów: Tajemnica, Poznanie, Ziemia, Dobro, Prawda, Wiedza, Życie, Ja, Ty, Kosmos i Jednia.

(Jednia – nie jedność, ponieważ kocha tradycję).

Nadal nadużywa dużych liter. ©

Bohaterem tekstu jest Marek Budzyński.
Tytuł książki: „Przekształcanie przestrzeni dla trwania życia”.
Moja rozmowa z MB pt. „Trochę wolności, trochę czasu” ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” w 1982 roku.

weź, czytaj!

w prenumeracie:

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: „Tygodnik Powszechny” ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00-14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

TYGODNIK POWSZECHNY

SALESmanago marketing automation

KULTURA

ATAK SERCA

JELENA KOSTIUCZENKO, REPORTERKA:

W Rosji wymaga się lojalności,
za nią można kupić wszystko.
Lojalny obywatel jest nagradzany,
ale niech ma się na baczności.
System i o niego może się upomnieć.
I przemieli go, jak maszynka mięso.

MAŁGORZATA NOCUŃ: Pani przygoda z dziennikarstwem rozpoczęła się od marzenia o butach.

JELENA KOSTIUCZENKO: Tak, jako nastolatka zapragnęłam kupić sobie nowe buty. Wypatrzyłam je w sklepie: skórzane, z charakterystycznym przeszyciem. Piękne mi się wydawały.

Pochodzę z biednej rodziny. Zaczęłam pracować w wieku dziewięciu lat. Imałam się różnych zajęć, przede wszystkim mycia podłóg. W rosyjskiej szkole podstawowej odbywają się „lekcje pracy", w mojej podstawówce można było w ramach tych zajęć wybrać naukę dziennikarstwa telewizyjnego i prasowego. Zapisałam się na „dziennikarstwo prasowe" i związałam z miejscową gazetą „Siewiernyj Kraj". Była typową gadzinówką, pod totalną kontrolą miejscowych władz. Pisałam o zupełnych bzdurach, ale za każdy opublikowany tekst mi płacono. Pomyślałam sobie: lepsze już to niż szorowanie podłóg. I buty mogłam sobie kupić.

Wszystko uległo zmianie, kiedy w wieku 15 lat kupiła Pani numer opozycyjnej „Nowoj Gaziety".

Siedziałam i przeglądałam ten numer „Nowoj". Wzrok zatrzymał się na artykule Anny Politkowskiej, tekst dotyczył dzieci żyjących w ogarniętej wojną Czeczenii. Po jego lekturze nie mogłam się otrząsnąć. Myślałam: przecież codziennie oglądam w telewizji wiadomości, czytam gazety, słucham radia, wydawało mi się, że jestem świadoma wydarzeń w moim kraju, nawet w dalekich kaukaskich republikach, a ja nic nie wiem! Tekst Politkowskiej mówił o bezwzględności czeczeńskiej wojny. Uderzał precyzją, profesjonalnością. Nie było w nim fałszywych informacji, manipulacji. To była po prostu dziennikarska rzetelność. Zrozumiałam, że to jest prawdziwe dziennikarstwo. Przeczytałam ten numer „Nowoj" od deski do deski i podjęłam decyzję: będę pracować w tym tytule. W moim życiu pojawił się nowy cel, nie chodziło już o buty, ale o to, żeby nauczyć się profesjonalnego dziennikarstwa.

Zaczęłam się zastanawiać, jak przeprowadzić się do Moskwy – brakowało mi pieniędzy. Jako osoba spoza stolicy mogłam wybrać studia jedynie na Moskiewskim Uniwersytecie Państwowym – ta uczelnia zapewniała akademik dla przybyszy z prowincji. Pracowałam gdzie popadnie, żeby uzbierać na bilet, kupić sobie komputer i telefon komórkowy.

Jako studentka wymarzonego dziennikarstwa, z komputerem i komórką stawiła się Pani w redakcji „Nowoj". Powiedziała Pani: „Chcę pisać jak Politkowska". Chyba nie potraktowano Pani poważnie?

Byłam bardzo młoda: wielkie niebieskie oczy, włosy starannie splecione w warkocz, „oryginalny" ubiór. Mój strój i sposób bycia wyróżniał się na ulicy, ale w „Nowoj" nikogo nie zdziwił. Nasza gazeta do dziś ściąga odmieńców i swoim profilem odróżnia się od innych rosyjskich tytułów. Przez pewien czas felieto-

ZOFIA DIMITRIJEVIĆ

nistą był u nas bezdomny chłopak. Opisywał życie na ulicy.

„Nowaja" nie zatrudnia specjalistów, uczy młodych ludzi, by się nimi stali. To najlepsza szkoła dziennikarstwa. Marzyłam, by zostać na pokładzie „Nowoj". I zostałam.

Bohaterami swoich tekstów uczyniła Pani ludzi dyskryminowanych przez system. Interesuje się Pani „maleńkim człowiekiem", co charakterystyczne dla rosyjskiej literatury.

W Rosji zniszczono regionalną prasę. Małe miasteczka i wsie na powrót stały się *terra incognita*. Staram się docierać do miejsc znajdujących się poza zainteresowaniem centralnych mediów. Piszę o ludziach, których nasze społeczeństwo nie chce zauważać, a często wręcz się nimi brzydzi. To prostytutki, narkomani, głusi, ↦

JELENA KOSTIUCZENKO jest rosyjską dziennikarką śledczą, reporterką „Nowoj Gaziety". Finalistka tegorocznej edycji Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego. Za zaangażowanie w sprawy społeczne była niejednokrotnie atakowana i aresztowana. Działa na rzecz osób LGBT+. W Polsce ukazał się jej zbiór reportaży „Przyszło nam tu żyć", Czarne 2020.

↦ cierpiący na choroby psychiczne i neurologiczne, ale też... pracownicy policji. Ludzie ci tworzą swoje mikrokosmosy. Opowieść o nich nie mieści się w przyjętej przez nasze media narracji. Wybrałam sobie taką niszę, ponieważ chcę, aby nasze społeczeństwo się poznało, abyśmy siebie nawzajem się nie bali. Mam nadzieję, że moje teksty tworzą niewidzialne nici społecznego porozumienia, to najważniejsza funkcja dziennikarstwa. Ale nie używam takich pojęć, jak „maleńki" czy „zwykły" człowiek. Własne cierpienie człowiek zawsze dowartościowuje, ale czyjś ból wydaje się nam mniej ważny, inny. Praca reportażystki uświadomiła mi, że łzy i ból ludzi z prowincji i mieszkańców metropolii są w równym stopniu dojmujące.

ARCHIWUM PRYWATNE JELENY KOSTIUCZENKO

Jelena Kostiuczenko na demonstracji solidarności z uchodźcami. Moskwa, styczeń 2019 r.

Ostatnio zadzwoniła do Pani żona Antona Saczkowa.

Tak. W słuchawce telefonu usłyszałam głos zrozpaczonej kobiety. Jej męża skazano za zabójstwo na osiem i pół roku więzienia. Kobieta przekonywała, że Anton jest niewinny, że został wrobiony. Zapytałam, czy jest świadoma, że jeśli w toku dziennikarskiego śledztwa okaże się, że jednak jest winien, napiszę prawdę i tym samym jeszcze bardziej go pogrążę. Powiedziała: „Tak, proszę przyjechać". Pojechałam więc do małej miejscowości położonej w Kraju Krasnodarskim, gdzie kilka miesięcy wcześniej rozegrał się dramat.

W centrum miasteczka dwóch ludzi skatowało człowieka. Jednego z morderców szybko odnaleziono – to był miejscowy i świadkowie szybko go zidentyfikowali. Drugi z zabójców najprawdopodobniej był przyjezdny, policja nie mogła go odszukać. Rolę mordercy przypisano więc Antonowi. Co prawda nie rozpoznali go świadkowie, miał też alibi, ale – podobnie jak jego żona – był wychowankiem domu dziecka, a o takich ludzi mało kto się upomina.

Dotarłam do ludzi, którzy jeszcze raz potwierdzili alibi Antona. Spotkałam się ze świadkami oskarżenia, szybko się przekonałam, że jeden z nich jest najprawdopodobniej ofiarą szantażu policjantów, drugi cierpi na ciężką chorobę psychiczną. Udowodniłam, że śledztwo zostało sfałszowane. Nie ma dowodów winy, są dowody przemawiające za niewinnością. Napisałam artykuł, który trafił na biurko Wiaczesława Lebiediewa, sędziego Sądu Najwyższego. Sprawa wróciła na wokandę, Antona uznano za niewinnego. Ale za kratkami odsiedział dwa lata.

Pani specjalnością są nie tylko śledztwa dziennikarskie, ale też „wcieleniówki". „Zatrudniła" się Pani jako stażystka w drogówce, zamiatała ulice Moskwy z emigrantami z krajów Azji Środkowej. Jak zniosła Pani pobyt w internacie dla cierpiących na choroby psychiczne i neurologiczne?

Wraz z fotografem „Nowoj", Jurijem Kozyriewem, spędziliśmy tam dwa tygodnie. Bałam się, jak nawiążę kontakt z mieszkającymi w internacie ludźmi. Moi bliscy przestrzegali mnie, że ze strony pacjentów może grozić niebezpieczeństwo. Ludzie cierpiący na choroby psychiczne bywają przecież agresywni. Na miejscu okazało się, że nie mam żadnego problemu w komunikacji z pensjonariuszami. Przerażające rzeczy, które obserwowałam, czynili nie oni, lecz personel.

W Rosji istnieją obozy koncentracyjne, które noszą nazwę „internatów dla cierpiących na choroby psychiczne i neurologiczne". Przebywają tam ludzie z rozpoznaną schizofrenią, chorobą afektywną dwubiegunową, zespołem Downa, bardzo często spotyka się dorosłych już ludzi z mózgowym porażeniem dziecięcym. Są chorzy z padaczką. Część pacjentów jest w ciężkim stanie, ale niektóre rozpoznania się naciąga, stan kliniczny spotkanych przeze mnie ludzi był lepszy niż diagnoza odnotowana w dokumentacji medycznej. Poznałam kobietę z zespołem Downa. W jej papierach widniało, że nie porusza się o własnych siłach. A ona chodziła! Ale ponieważ uznano, że jest „niesprawna motorycznie", nie mogła otrzymać butów. Miała tylko kapcie.

„Obozy koncentracyjne" – to mocne słowa.

W internatach nie dochodzi oczywiście do fizycznej „likwidacji" pacjentów, ale więzi się ich, często zupełnie odcinając od świata. Pozbawia wszelkich praw. Wielu z nich innego życia już nie dozna, umrą tam w osamotnieniu. Te „obozy", oddzielone od reszty świata wysokim murem, finansuje się z państwowego budżetu. Trafiają tam ludzie „niepotrzebni". Czyli nieposiadający więzi z rodziną ani środków do życia.

Poziom przemocy i łamania praw człowieka jest w internatach niewyobrażalny. Na przykład kobietom zabrania się posiadania podpasek higienicznych. Raz w miesiącu powinny zgłosić się do personelu z prośbą o ich wydanie. Jeśli któraś z nich przestaje przychodzić, to znaczy, że coś jest nie tak. Może być w ciąży. A w internacie nie można przebywać z dziećmi, ciężarną poddaje się więc zabiegowi przymusowej aborcji i od razu sterylizacji. Mówi się: „Zaszłaś? To usuniemy".

Spotkałam także kobiety, które poddano prewencyjnemu zabiegowi przymusowej sterylizacji. Postąpiono z nimi jak z bezdomnymi kotkami: wywieziono do szpitala, podano narkozę, wycięto narządy rozrodcze. Po operacji udzielono im informacji na temat wykonanej operacji. I choć rosyjskie prawodawstwo mówi, że sterylizacja osób ubezwłasnowolnionych powinna odbywać się „tylko za zgodą sądu", to w internacie o taką zgodę nikt nie występuje. Załatwia się to bez „zbędnych formalności". Po prostu dyrektor ośrodka pisze pismo do władz szpitala: „Zwracam się z prośbą o dokonanie aborcji i sterylizacji obywatelki XY (...)". Lekarz robi, co mu każą przełożeni.

Internaty przypominają radzieckie psychuszki.

Tak, w Rosji radzieckiej szpitale psychiatryczne były częścią opresyjnego systemu. Zamykano w nich więźniów politycznych, u których diagnozowano „schizofrenię bezobjawową". Często lepiej było trafić do więzienia niż do „psychuszki". I dziś ludzie leczący się psychicznie poddawani są stygmatyzacji. Społeczeństwo nie chce mieć z nimi do czynienia.

Dzieci zdrowe oddziela się od tych z niepełnosprawnościami. Mechanizmy segregacji, wedle których „zdrowi" i „chorzy" mają żyć oddzielnie, działają bardzo sprawnie, jest aż 517 internatów podobnych do tego, który opisuję. Przebywa w nich 177 tysięcy obywateli. Funkcjonują też 143 internaty dziecięce.

Udaje się Pani wyłączyć emocje podczas zbierania materiałów do reportaży i ich pisania?

Podczas pracy w terenie i rozmów z bohaterami tekstów staram się niczego nie czuć. Emocje i zmysły wykorzystuję, by skoncentrować się na sytuacji. Wszystko zapamiętać. Poczuć, doświadczyć. Chodzi o treści pozawerbalne, bo słowa przecież nagrywa dyktafon.

Całej gamy emocji zaczynam doświadczać dopiero, kiedy z dyktafonu płyną słowa moich bohaterów. Pewnego razu siedziałam w wypełnionej ludźmi redakcji. Spisywałam rozmowę z czeczeńskim gejem, który uciekł ze swojej ojczyzny, ponieważ znalazł się na celowniku policji. A w Czeczenii za bycie homoseksualistą grozi kara śmierci – wykonają ją albo siepacze prezydenta Ramzana Kadyrowa, albo rodzina, która uważa, że bycie gejem czy lesbijką przynosi hańbę. Bardzo źle się poczułam. Koledzy zobaczyli, że słabnę, podali mi leki. Jestem młoda, nigdy wcześniej nie uskarżałam się na serce, ale okazało się, że przeszłam atak serca.

> Rosyjskie społeczeństwo płaci za to, że jako obywatele w żaden sposób nie zareagowaliśmy na krwawe wydarzenia w Biesłanie. Ludzie usiedli przed telewizorami i oglądali transmisję z akcji służb specjalnych. **Patrzyli, jak do naszych dzieci strzela się z czołgów.**

Doszłam do siebie i zaczęłam się zastanawiać, dlaczego tak zareagowało moje ciało. W którym momencie wywiadu poczułam się źle. Nie stało się to w chwili, w której mój bohater opisywał użyte przeciwko niemu tortury. Przetrzymywano go w piwnicy i głodzono. Połamano mu żebra. Rażono prądem – podłączano specjalne urządzenie do uszu i dłoni. Moje serce nie wytrzymało, kiedy ten mężczyzna zaczął mówić, że płacił podatki, bierze udział w subotnikach [pracy społecznej na rzecz państwa – red.], nie robi nic przeciwko Republice Czeczeńskiej. Wtedy zrozumiałam, że każdego obywatela i każdą obywatelkę Rosji można zgnieść jak kartkę papieru. Zrobić taką kulkę i pyk, wyrzucić do kosza na śmieci. Kiedy czyta się książki historyczne, opowiadające o życiu ludzi w ustroju totalitarnym, człowiek myśli sobie: jakie to straszne. Ale pojawia się refleksja: to już było, należy do przeszłości. Inaczej, kiedy takie rzeczy dzieją się w twoim własnym kraju. Tu i teraz.

Akcja Pani tekstu na temat Biesłanu toczy się we śnie.

Rosjanie ignorują Biesłan, choć jest miejscem, w którym nastąpił symboliczny koniec świata. Władza mówiąc o wydarzeniach z 1 września 2004 r., kiedy budynek miejscowej szkoły zajęli czeczeńscy terroryści z ugrupowania Szamila Basajewa, kłamie. Ludzie, którzy tam wciąż mieszkają, nie potrafią ani kłamać, ani zapomnieć. Dlatego odpowiedzi na dręczące ich pytania poszukują w snach. Kiedy przyjechałam do Biesłanu, nie wiedziałam, w jaki sposób mogę opowiedzieć historię tego miejsca. Okazało się, że swoich bohaterów nie muszę o nic pytać. Dzielili się ze mną właśnie snami.

O czym mówią te sny?

Pojawiają się w miejscu, które zajmowała wiara w Boga i sprawiedliwy świat. Biorą się z tęsknoty za rzetelnym śledztwem dotyczącym tragicznych wydarzeń w sali gimnastycznej – podczas szturmu rosyjskich sił specjalnych zginęły 334 osoby, w większości dzieci. Takie śledztwo nigdy nie zostało przeprowadzone. „Nowaja Gazieta" ustaliła, że celem szturmu OMON-u nie było ocalenie zakładników, ale zabicie terrorystów. Salę ostrzeliwano z czołgów, użyto miotaczy ognia. Dlatego tak wiele dzieci zginęło. Ich śmierci nie można niczym wytłumaczyć i usprawiedliwić.

Historia zakończona to historia opowiedziana. Biesłan nie doczekał się prawdziwej opowieści, rany rodzin ofiar nie mogą się więc zagoić. Czuję, że rosyjskie społeczeństwo płaci za to, że jako obywatele w żaden sposób nie zareagowaliśmy na te krwawe wydarzenia. Ludzie usiedli przed telewizorami i oglądali transmisję z akcji służb specjalnych. Patrzyli, jak do naszych dzieci strzela się z czołgów.

Podobnie jest z wojną toczącą się na wschodniej Ukrainie. Przejmuje tylko garstkę społeczeństwa, w tym matki czy żony poległych na niej żołnierzy. Pisze Pani o nich.

To wielki cynizm, że Ukrainę nazywamy naszym „bratnim" narodem i jednocześnie toczymy na jej terytorium wojnę. Ale wojny hybrydowe są rosyjską tradycją narodową. Uwielbiamy brać w nich udział. Nazywamy je „operacjami antyterrorystycznymi". Matki i żony mogą odbierać trumny z poległymi w Donbasie synami i mężami pod osłoną nocy, w tajemnicy. Ciał nikt nie chce pochować. W zakładach pogrzebowych ↦

słyszą: „Rosyjski obywatel, a poległ na terytorium Ukrainy? Przecież na Ukrainie nie ma żadnej wojny”.

Nigdy Pani nie moralizuje. To wielka sztuka.

Dziennikarz nie może być sędzią. Wskazywać: ten jest dobry, a ten zły. Kto nam dał takie prawo? Ja go nie posiadam. Na odwrót: ciężko mi wyznaczyć w swoich tekstach granicę. Określić, co jest moralne, co nie. Nie wiem, jak zachowałabym się na miejscu moich bohaterów. Moje życie na pewno jest o wiele prostsze niż ich.

Czasem wybór po prostu nie istnieje. Autorytarny system panujący w Rosji uformował się w latach 90. Żyjąc w nim, trzeba włożyć ogromny wysiłek, jeśli się chce pozostać uczciwym i dokonać prawidłowych wyborów. A zło dzieje się bez żadnego wysiłku. Wystarczy tylko przymknąć oczy. Od obywateli wymaga się lojalności, za nią można w Rosji kupić wszystko. Lojalny obywatel jest nagradzany. Ale niech ma się na baczności. System i o niego może się upomnieć. I przemieli go, jak maszynka mięso.

W tym systemie dziennikarzy się likwiduje. Jak Stasa Markiełowa, związanego z „NG” prawnika, i Nastię Baburową, dziennikarkę „Nowoj”. Nie mogłam się otrząsnąć, kiedy usłyszałam, że Stasa i Nastię zabito strzałem z pistoletu, w biały dzień, w centrum miasta.

Tak. Stas, Nastia... W Rosji dziennikarstwo jest zawodem wiążącym się z pewnym ryzykiem. Podobnie jest choćby z pracą w policji. Trzeba to przyjąć, powiedzieć sobie: może się tak zdarzyć. Odkąd pracuję w „Nowoj”, zamordowano czterech dziennikarzy.

© Rozmawiała
MAŁGORZATA NOCUŃ

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Był sobie rząd dusz

WOJCIECH ENGELKING

Oto portret środowiska, które długo panowało nad globalnym dyskursem, by nagle stracić na niego wpływ.

W poprzedniej autobiograficznej powieści Martina Amisa, wydanym w 2000 r. „Doświadczeniu”, jest taka scena: syn pyta go, czemu przeciąga w angielskich wyrazach ostatnie sylaby, z *day* czyniąc *dee*. Amis przyznaje, że będąc w jego wieku sam nauczył się tak intonować zgłoski, ponieważ w ten sposób mówili wtedy ci, którzy byli z elit.

Chłopiec nie potrafi tego zrozumieć. W jego opinii ojciec do klasy wyższej (rozumianej jako ta, która ma decydujący wpływ na rzeczywistość) nigdy nie musiał aspirować, bo się w niej urodził i tylko zreprodukował społeczną pozycję własnego ojca, pisarza Kingsleya Amisa. Jest cenionym prozaikiem, poczytnym publicystą – nikt przy zdrowych zmysłach nie stwierdziłby, że nie należy on do klasy wyższej.

Pan i władca

Chłopiec nie wiedział, że gdy Martin Amis w latach 70. zaczynał karierę, sytuacja intelektualistów wyglądała zgoła inaczej. Mogli osiągnąć sukces finansowy (który był już udziałem Kingsleya Amisa, dzięki „Jimowi Szczęściarzowi”) i ukończyć czołowe uczelnie, jednak w kastowym brytyjskim społeczeństwie klasę wyższą stanowiła wówczas tylko przeciągająca sylaby arystokracja. Praca umysłem/piórem i przynależność do elit się wykluczały.

Rewolucja, w której Martin Amis uczestniczył, a która rozegrała się w Wielkiej Brytanii w latach 70., 80. i 90., polegała na tym, że owa sprzeczność zniknęła: intelektualista nagle został członkiem *upper class*. Był potrzebny, by objąć funkcję, na którą właśnie narodziło się zapotrzebowanie: funkcję władcy sfery publicznej. Innymi słowy: strażnika obowiązującego systemu wartości i tego, który go objaśnia. „Opowieść wtajemniczonego” Martina Amisa to rzecz o nim samym, o Saulu Bellow, Christopherze Hitchensie i Philipie Larkinie – elicie anglosaskiego świata intelektualnego. Oraz o wspomnianej rewolucji w jej szczególnej, późnej fazie: fazie zgonu. Bohaterowie odegrali w przemianach lat 80. istotną rolę – i wszyscy zdążyli już umrzeć. Amis samotnie świadkuje upadkowi świata, który razem zbudowali.

Ów upadek da się umiejscowić w czasie: Amis prowadzi narrację z perspektywy lat po 2016 r. „Amisowie lecą do Londynu zdążyć na referendum. Będą dwa głosy za pozostaniem [w Unii]” – stwierdza, by później pokpiwać z późniejszego prezydenta USA Donalda Trumpa. To jednak zaledwie metaforyczny moment zgonu niegdysiejszych władców dyskursu – realne śmierci zdarzyły się już wcześniej. Najpóźniejsza: dekadę temu, gdy w Houston, w ekskluzywnej klinice leczenia nowotworów,

ALEJANDRO GARCÍA / EFE / FORUM

Martin Amis. Barcelona, 1 października 2015 r.

odszedł Christopher Hitchens, w Polsce znany głównie jako przedstawiciel Nowego Ateizmu.

Jego choroba dała o sobie znać rok wcześniej, podczas trasy promocyjnej autobiografii „Hitch-22". To w niej Hitchens opowiada, jak poznał Martina Amisa, swojego późniejszego przyjaciela. Gdy spotkali się w Oksfordzie, zlekceważył go: „byłem w szczytowym okresie poparcia dla Partii Socjalistycznej". Ocenił go więc przez pryzmat jego ojca Kingsleya, konserwatysty i zwolennika wojny w Wietnamie. Ich relacja zadzierzgnęła się dopiero po debiucie Martina (jako 24-latek w 1973 r. wydał „Papiery Rachel"), a rozkwitła, kiedy znaleźli się w jednej redakcji.

Pismo nazywało się „New Statesman"; założone pół wieku wcześniej, w połowie lat 70. przeżyło drugą intelektualną młodość – właśnie dzięki zatrudnieniu Hitchensa, Amisa i innych, m.in. Iana McEwana i Juliana Barnesa. Pisali, spędzali wspólnie długie godziny przed wysłaniem numeru do druku – jednak nie tylko z ich trudu wynikł sukces gazety. Pod koniec lat 70., gdy istnienia sfery publicznej w Wielkiej Brytanii nie można już było lekceważyć, gazety stały się tam obiektem wielkiego zainteresowania reklamodawców; nawet wysoce intelektualne periodyki mogły coś dla siebie uszczknąć. Za reklamodawcami przyszli czytelnicy, wydawnictwa (każde chciało drukować dzieła z gatunku *big ideas*) i telewizja, czyniąca z felietonistów „publicznych intelektualistów", owych sławnych *public intellectuals*.

Szczególnie Christopher Hitchens był dla nich świetną pożywką. „Był uczniem Trockiego i twierdził, że wady socjalizmu w jednym kraju mogą zostać naprawione przez globalną rewolucję" – pisze o nim Richard Bradford. Szedł więc pod prąd: w Wielkiej Brytanii i w USA panowali neokonserwatyści, on zaś gorączkowo optował za lewicą, wprowadzając do centrum dyskursu progresywne wartości. Choć nie miał wpływu na politykę – jej ikonami byli ludzie będący celem jego bezlitosnych ataków: od Billa Clintona i Henry'ego Kissingera po Matkę Teresę – jednak miał wpływ na to, co się myśli i co należy myśleć. Z Londynu przeniósł się do Waszyngtonu, lewicowy tygodnik zmienił na wielki miesięcznik („Vanity Fair"), i wtedy wydarzyło się coś, czego ani on, ani Amis się nie spodziewali: 11 września.

Data ta okaże się w „Opowieści wtajemniczonego" kluczowa. Wkrótce po tym, jak runęły wieże World Trade Center, Hitchens powiedział Amisowi: „To ideologia w religii. To faszyzm z islamską twarzą". Wbrew swym wcześniejszym poglądom poparł atak na Irak (przylepiono mu wtedy łatkę neokonserwatysty) i w ostatnich dziełach począł opisywać system wartości, którego on i inni publiczni intelektualiści przez ostatnie dekady strzegli. Systemem tym była – upraszczając – progresywna nieufność względem każdej totalności: ideologii, w których „wystarczy uwolnić się od rozumu, a wtedy wszystko wydaje się możliwe". Tak opisany przez Hitchensa system stopniowo jednak tracił już na znaczeniu.

Koniec pamięci

Jeśli idzie o choroby, Amis nie babrze się w fizjologii. Opowiada jako świadek, towarzyszący Hitchensowi w kolejnych turnusach w „Tumortown". Z odchodzenia przyjaciela zapamiętuje jego sarknięcie nad książeczką czekową: „Ciekawe, kiedy skończą mi się pieniądze". A Hitchens – komentuje w „Opowieści..." – „był autorem bestsellerów i hojnie opłacanym felietonistą".

Co do pieniędzy, były drugą konsekwencją lat 80. i spuchnięcia gazet od reklam. By zapełnić strony między nimi, prasa potrzebowała nowych bohaterów; pisarze, szczególny rodzaj *public intellectuals*, nadali się, a ich ambitne książki zaczęły się sprzedawać. Dzieła dopełnili agenci literaccy. Nie żeby ich wcześniej w Wielkiej Brytanii nie było; ale w latach 80. przybyli nowi, z USA, do zaliczek dopisali zera, czyniąc prozaików krezusami i celebrytami. Pojawiły się nawet rankingi, kto z młodych jest najzdolniejszy (magazyn „Granta" wymienił – obok Amisa – McEwana, Barnesa, Salmana Rushdiego i Kazuo Ishigurę).

Innymi słowy, w latach 80. brytyjscy pisarze przeżyli to, co udziałem ich amerykańskich kolegów stało się dwie dekady wcześniej, gdy wcale nie popowi prozaicy okazali się autorami bestsellerów. Jednym z tych Amerykanów był kolejny muszkieter z „Opowieści wtajemniczonego". Historia jego relacji z Amisem ma pięć rozdziałów: zachwyt, wpływ, przyjaźń, zwątpienie – i śmierć. ↦

↦ „Przyszło mi na myśl: »On po prostu pisze dla mnie«" – wspomina Amis zetknięcie z pisarstwem Saula Bellowa. Był 1975 r., on zaś starał się brytyjską prozę ożywić – lecz nie wiedział, jak. Odkrycie uświadomiło mu, że problem tkwi w bohaterze. Odtąd protagonistami jego powieści stały się, jak u Bellowa, postaci pikarejskie, proza zaś zmieniła się w narrację gadaną, korzystającą po równi i ze slangu, i z poezji. W połowie lat 80. ten sposób opowiadania (i wsparcie mediów rozpisujących się o jego zaliczkach) wywindowało Amisa na szczyt.

Bellowa poznał osobiście osiem lat później w Chicago i z rozmowy z noblistą wyniósł przekonanie o paralelności ich karier. Cztery pierwsze powieści Amisa były utworami błahymi – to samo było z dwiema pierwszymi powieściami Bellowa, który w Illinois wyjawił mu, co spowodowało, że ową błahość porzucił. Był to pobyt w Paryżu w latach 40., gdy stąpał po świeżych prochach: 80 tysięcy deportowanych Żydów, Vichy... „Paryż miał być miastem światła; a tu nagle właściciel wynajmowanego mieszkania okazał się nienawidzić go, bo był Amerykaninem i Żydem" – pisze Zachary Leader w biografii Bellowa.

Sam Martin Amis Żydem nie jest; żydostwo jednak przewija się i przez jego życie (małżeństwo z Żydówką), i dzieło. „Kiedy się urodziłem, w 1949 r., Wąsik nie żył od czterech lat; Wąsacz miał przed sobą jeszcze cztery. Napisałem dwie książki o Hitlerze i dwie o Stalinie (...). Uważam, że cokolwiek by człowiek robił, nie ucieknie przed żadnym z nich". XX-wieczne okropieństwa Amis pierwszy raz wziął na warsztat w „Strzale czasu" – opowiedzianej od tyłu historii nazistowskiego lekarza. W „Domu schadzek" i „Strefie interesów" pytał, co zostaje z miłości w nieludzkich czasach (odpowiedź: nieludzkość, niemiłość). W „Opowieści..." świadkuje już końcowi tej pamięci, i to końcowi dwojakiego rodzaju.

Pierwszy związany jest z powątpiewaniem, czy lekcja Szoah jest wystarczająca, skoro nawet ona nie chroni przed totalizmem, jakiego rodzajem był żydowski nacjonalizm Saula Bellowa. „Każda populacja, która uległa wpływom hitlerowskich Niemiec, myślała o mordowaniu Żydów. Każda z wyjątkiem Izraela" – powiada Amis, tym tłumacząc wspieraną przez noblistę politykę wobec Zachodniego Brzegu. Hitchens, również

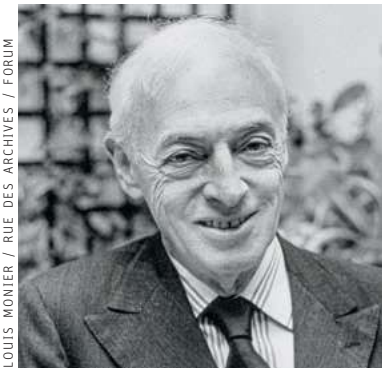

LOUIS MONIER / RUE DES ARCHIVES / FORUM

Saul Bellow (1915-2005)

NATIONAL PORTRAIT GALLERY / FORUM

Philip Larkin (1922-1995)

SHANNON STAPLETON / REUTERS / FORUM

Christopher Hitchens (1949-2011)

kłócący się z Bellowem o Izrael, dodaje, że wkrótce państwo to „przestanie być demokratyczne i świeckie. To będzie teokracja rasowa". Bellow, który wszak przeciwstawiał pamięć o Holokauście totalnej, w jego opinii, rewolcie lat 60., jest na te argumenty głuchy: widzi Państwo Żydowskie etnicznie jednorodnym.

Koniec drugi to choroba, która zjadła noblistę: alzheimer. W „Opowieści..." szczególnie uderza fragment o tym, jak obaj pisarze mieli poprowadzić seminarium – i Bellow nie pamiętał, o czym. Przez następny rok zapominał kolejnych spraw, wreszcie: kim jest (ostatniego dnia życia myślał, że płynie łódką po morzu). Odszedł w 2005 r. i odtąd „świat (...) był tylko sobą i musiał zacząć sobie radzić bez Saula Bellowa".

Tatuś?!

Trzeci muszkieter umarł 30 lat wcześniej; podobnie jak pierwszy – na raka. Wcześniej opisał finalny składnik strzeżonego przez Amisa i jego pokolenie systemu wartości: seksualną wolność. Zaczęła się ona w 1963 r. – tak głosi najsławniejszy incipit Philipa Larkina, z wiersza „Annus Mirabilis", w samej „Opowieści..." wykorzystany kilka razy. Wers ów pojawił się też w „Ciężarnej wdowie" z 2010 r., w której Amis, już niebędący jednoznacznym piewcą owego systemu, podsumowywał lata 60. – czas, który obiecywał swobodę i równość, a w efekcie „chłopaki znowu wygrali".

W „Opowieści..." Phoebe Phelps informuje Martina Amisa o jego niespodziewanych związkach z Larkinem – takich mianowicie, że nie jest synem Kingsleya, lecz tego nudziarza, bibliotekarza z Hull. Było tak: z Phoebe, niegdyś ekskluzywną prostytutką, Martin spotykał się w połowie lat 70. – romans intensywny z początku, na końcu jednak biały. Pewnego dnia, zirytowany tą barwą, Martin wyprawił się do Szkocji, z ewidentnym zamiarem pójścia do łóżka ze swoją byłą. Phoebe została w ich rodzinnym domu z Kingsleyem, który ją zaczął podrywać, gdy zaś zgłosiła obiekcje co do *quasi*-kazirodztwa, rzekł, że z Martinem nie jest spokrewniony; spłodził go jego przyjaciel. Phoebe prędko domyśliła się, który.

Gdy po latach 75-letnia Phoebe przekazuje Amisowi tę sensację – pisarz zaczyna analizować. Rodzice (matka, domniemany ojciec) już nie żyją; nie ma nikogo, kto by potwierdził, jak było. Istnieją jednak pewne dowody na to, że jest synem Larkina – a więc wnukiem „obleśnego starego faszysty Sydneya", który w latach 30. zabierał Philipa na pielgrzymki do Rzeszy. Z drugiej strony, nim Kingsley został prawicowcem, wierzył w Stalina... Nim czytelnik się obejrzy, zostaje wciągnięty w historię *ménage à trois*; a potem zadaje sobie pytanie, co właściwie czyta.

Z ogłoszonej dekadę temu biografii Richarda Bradforda wiadomo wszak, że nikt imieniem Phoebe w życiu Martina Amisa się nie pojawił; zresztą w „Opowieści..." sam pisarz przyznaje półgębkiem, że złożył pannę Phelps z kilku zna-

nych mu kobiet. Która jednak oznajmiła: „*wrong daddy*”? I: jaka to różnica? Czyżbyśmy znaleźli się w intelektualnym „Powrocie do Brideshead”, którego bohaterami, miast lordów i baronetów, są poeci, publicyści, pisarze?

Przewrotna odpowiedź brzmi: owszem. Amis tworzy bowiem coś, co sam określił w „Doświadczeniu” mianem autobiografii wyższej; takiej, która – miast o fakcie – pisze o jego zapośredniczeniu w wyobraźni. Narzekał wtedy, że jest to pisarstwo żywiące się miast życiem – literaturą. W „Opowieści...” sam się nią żywi, by zapośredniczyć własne życie nie w tym, jak zostało przeżyte, ale: jakie mogą być ramy opowieści o nim. Owe ramy to na poły arystokratyczny charakter środowiska anglosaskich intelektualistów, którzy ze sobą żyli; ze sobą spali; wśród swoich umierali. Wszedłszy na pozycję zajmowaną wcześniej przez właścicieli zamków, powiada Amis, przejęli ich zwyczaje – nie tylko przeciąganie sylab.

Że nosi geny Philipa Larkina, niegdysiejsza flama informuje Amisa w Londynie szczególnego dnia: 12 września 2001 r., niecałe 24 godziny po tym, jak runęło World Trade Center.

Pożar

Saul Bellow nie wierzył w 11 września; nie umiał wręcz przyswoić, że w ogóle się wydarzył. Amis: „No dobra. Kto umiał?”. Atak oznaczał bowiem rozmontowanie systemu wartości, którego strzegł i który wyznawał – bezrefleksyjnie, nie zastanawiając się nad swą tożsamością: „Po co miałbym to robić? jestem biały, anglosaski, heteroseksualny, niewierzący, zdrowy na umyśle i ciele...”. Jak również: przekonany, że niechęć do totalności, pamięć o XX-wiecznych okropieństwach, seksualna wolność – to wszystko jest przezroczyste. Atak na World Trade Center ujawnił, że nie jest, zapowiadając walkę wieczoru: „»wszystko, co kocham« kontra »wszystko, czego nienawidzę«”.

Walka miała się rozegrać za chwilę. Rok 2016, rok referendum w Wielkiej Brytanii, w prywatnym życiu Amisa zwieńczony został efektowną puentą: w sylwestra spalił mu się dom w Nowym Jorku. „Najpierw brexit, potem Trump, a na końcu lądujesz na ulicy, w samym środku nocy i w samym środku zimy”. Czołowy *public intellectual*, jak arystokrata, został przez świat wysiudany ze swych dóbr – wcześniej zaś, wybierając populistów, ów świat rzekł mu, że wartości, których całe życie strzegł, wcale nie są przezroczyste. Są za to niewiele warte.

Od tego momentu do ukończenia „Opowieści...” i wydania jej po angielsku (wyszła w 2020 r.) minęły cztery lata. Czy coś się zmieniło? Amis jest sceptyczny. W finale książki zwraca się do czytelnika: „normalnie na pożegnanie mówię: Do zobaczenia, w jakimś dogodnym momencie w 2021 r. (...) Tylko tak się składa, że w sierpniu wchodzę w 70. rok życia. (...) trochę już sobie nie wyobrażam napisania jeszcze jednego tekstu pełnej długości”.

Trzech muszkieterów odeszło; ostatni łamie szpadę.

© WOJCIECH ENGELKING

Martin Amis,
OPOWIEŚĆ WTAJEMNICZONEGO,
przeł. Katarzyna Karłowska,
Rebis, Poznań 2021.

Najlepsze wspomnienia z podróży w reportażach, esejach i rozmowach.

Piszą Błażejowska, Bieńczyk, Drenda, Jagielski, Koziołek, Kuczok, Kuźmiński, Olszewski, Przewrocka-Aderet i Stasiuk.

Kup tygodnikowy „Atlas miejsc niezwykłych. W drogę!” i pielęgnuj z nami najpiękniejsze wspomnienia z wakacji.

„W drogę” dostępne już także jako ebook! Więcej na powszech.net/wdroge

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

PARTNERZY WYDANIA:

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
Albatros
LOGOS TRAVEL MAREK ŚLIWKA

Polskie strachy, polskie ślady

ANITA PIOTROWSKA

Wiatr zmian – organizacyjnych, pokoleniowych, mentalnych – wiał tego roku w Gdyni najsilniej od niepamiętnych lat.

Oto, czegośmy doczekali: na 46. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, podczas wręczania Złotych Lwów na scenie, prócz twórców nagrodzonego filmu staje młody mężczyzna w dresie z tęczowymi lampasami i z wielkim krzyżem na piersi. To Daniel Rycharski, pierwowzór bohatera „Wszystkich naszych strachów", czyli głęboko wierzący artysta ze wsi Kurówek, który od lat pyta w swojej sztuce o miejsce osób LGBT+ w Kościele katolickim. Odważny, choć delikatny zarazem film Łukasza Rondudy i Łukasza Gutta pokonał nawet takie pewniaki, jak „Żeby nie było śladów" Jana P. Matuszyńskiego, pokazywany niedawno w weneckim konkursie i kandydujący do oscarowych nominacji. Całość gdyńskiej gali transmitowała na żywo, tym razem bez cenzuralnych cięć, telewizja publiczna.

I trudno o lepsze zwieńczenie Festiwalu. Była to edycja, niezależnie od jakości niektórych tytułów, fascynująca, bo mieniła się różnymi kolorami, inspirując do zażartych dyskusji aż po świt; dyskusji, które wyciągały na chwilę z towarzyskiego i mentalnego lockdownu. Wielka w tym zasługa dyrektora artystycznego Tomasza Kolankiewicza, powołanego już w roku ubiegłym, choć wówczas nie mógł jeszcze rozwinąć skrzydeł, jako że festiwal odbył się wyłącznie w wersji online i z rozmaitymi ograniczeniami.

W tym roku powtarzane rytualnie od lat w Gdyni i niesprawdzające się na dłuższą metę przepowiednie „idzie nowe!" wreszcie stały się ciałem. Nawet reżyser Paweł Pawlikowski, krytyczny dotąd wobec Festiwalu, podczas gali pochwalił jego „dobrą energię". Bo odświeżenie programu konkursowego miało charakter nie tylko metrykalny czy tematyczny. Przede wszystkim kino ożyło w całej swej różnorodności, ważne i niepoważne, rozliczeniowe i rozrywkowe, interwencyjne i autorskie. Były też koprodukcje niepolskojęzyczne, i to tak różne, jak kręcony w Nowym Jorku i Warszawie błyskotliwy, antykapitalistyczny „Mosquito State" Filipa Jana Rymszy (Złoty Pazur w kategorii Inne Spojrzenie) i rozpięta między wojenną Warszawą a Londynem „Śmierć Zygielbojma" Ryszarda Brylskiego.

Katharsis jest możliwe

Jury na czele z Andrzejem Barańskim (w składzie byli także Robert Bolesto, Bogdan Dziworski, Joanna Kulig, Dorota Roqueplo, Agnieszka Smoczyńska i Mikołaj Trzaska) przy wyborze nagrody głównej wyznaczyło sobie ponoć dwa kryteria: żeby film był piękny i aktualny. Cokolwiek oznacza pierwszy z przymiotników, takie właśnie są „Wszystkie nasze strachy". Przewodniczący komisji, od lat czuły piewca polskiej prowincji, z pewnością docenił u Rondudy i Gutta oryginalne spojrzenie na Polskę B – nieuprzedzone i zarazem niesentymentalne, a równocześnie usiłujące poprzez twórczość Rycharskiego skleić ją jakoś z odległym i postępowym „centrum".

Filmowy Daniel (gra go bardzo powściągliwie Dawid Ogrodnik) wydaje się doskonałym medium. Podobnie jak ten rzeczywisty, jest mocno wrośnięty w lokalną społeczność, a jednocześnie będąc uznanym artystą, katolikiem i zdeklarowanym gejem, próbuje przełamywać kulturowe i tożsamościowe bariery. Kiedy we wsi popełnia samobójstwo nastoletnia lesbijka, zaszczuta przez współziomków, bohater postanawia zorganizować w jej intencji drogę krzyżową. A raczej z myślą o sobie i tych mieszkańcach wsi, którzy mogą czuć się winni z powodu śmierci Jagody. Wiodącym symbolem ma być krzyż zrobiony ze ściętego drzewa, na którym się powiesiła, i próżno oczekiwać klasycznego *katharsis* na modłę „Bożego Ciała" Jana Komasy. Ten film osiągnie je okrężną drogą.

Nie jest to, na szczęście, obraz „kuratorski", choć Ronduda posiada takie właśnie zawodowe korzenie, a jego poprzedni film, „Serce miłości" (2017), rozgrywał się pośród wielkomiejskich artystów i swoim konceptualnym podejściem do tematu intrygował, lecz raczej studził emocje. W „Strachach" postać i twórczość Rycharskiego wyznacza zupełnie inny horyzont, także emocjonalny. Wojna o krzyż toczy się tutaj na wielu poziomach, bo Daniel planując kalwaryjski rytuał ku pamięci samobójczyni, w dodatku nieheteronormatywnej, popełnia w oczach miejscowych wielokrotne bluźnierstwo. Równocześnie krzyż próbuje zawłaszczyć modna stołeczna galeria i właśnie o to – o rolę dzisiejszej sztuki – toczy się w tym filmie najbardziej frapujący spór. Słowa, które w ustach ekranowego kuratora (Jacek Poniedziałek) brzmią niczym fałszywe slogany – wspólnotowość, relacyjność, partycypacja – dopiero w finale nabierają prawdziwego sensu.

Film Rondudy i Gutta (ten ostatni otrzymał również nagrodę za zdjęcia) w dziełach Rycharskiego poszukuje nie tyle osobliwości pod hasłem „wiara i tęcza" czy opowieści o podwójnym wykluczeniu, co społeczno-religijnej utopii, jaka może dokonać się poprzez sztukę. Pod warunkiem, że nie jest ona tworzona tylko dla samej sztuki. I tu nasuwa się pytanie, czy „Wszystkie nasze strachy" spełnią ów postulat w konfrontacji ze zwykłą, niefestiwalową publicznością. Przekonamy się o tym, gdy film wejdzie do kin.

Strzaskane lustra

Tegoroczny werdykt przynajmniej częściowo rozwiewał zarzuty, iż nowe polskie kino ucieka w nostalgię, jakby bało się zmierzyć z bieżącą rzeczywistością – polityczną, społeczno-ekonomiczną, pandemiczną. Na konfrontację z tą ostatnią pewnie jeszcze za wcześnie (scenariusze powstawały przed czasem koronawirusa), niemniej faktem jest, że tytuł filmu Konrada Aksinowicza „Powrót do Legolandu" można by rozciągnąć na niemal połowę konkursowych pozycji.

Były to powroty głównie do lat 80. bądź do okresu transformacji, choć niekoniecz-

JAROSŁAW SOSIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH W GDYNI

Dawid Ogrodnik (tyłem), Maria Maj, Jacek Poniedziałek w filmie „Wszystkie nasze strachy", reż. Łukasz Ronduda i Łukasz Gutt

nie tak komiczne czy sentymentalne, jak w „Zupie nic" Kingi Dębskiej, czy tak bogato wystylizowane, jak w „Najmro" Mateusza Rakowicza (nagroda za kostiumy dla Marty Ostrowicz). W „Prime Time" Jakuba Piątka historia domorosłego terrorysty, który podczas nocy sylwestrowej 1999/2000 bierze zakładników w studiu telewizyjnym, by dostać się na wizję i wykrzyczeć przed kamerą swoją frustrację, ma wyraźnie buntowniczy nerw (nagroda dla Andrzeja Kłaka za drugoplanową rolę ochroniarza i dla Teoniki Rożynek za muzykę). Z kolei u wspomnianego Aksinowicza tytułowy Legoland (ostatecznie z powodów prawnych film będzie wyświetlany jako „Powrót do tamtych dni") zostaje gwałtownie zburzony przez chorobę alkoholową ojca głównego bohatera. Na podstawie własnych doświadczeń reżyser demontuje dotychczasowe narracje pijackie w polskim kinie. Wracający z Ameryki tata (w tej świetnej roli Maciej Stuhr) prócz prezentów funduje swoim bliskim koszmar współuzależnienia i właśnie perspektywa dorosłych dzieci alkoholików, nie zaś bezpośredniej ofiary alkoholizmu, nadaje tej opowieści wyjątkowy ton. Film, być może przez swój przytłaczający ładunek emocjonalny, został przez jurorów zignorowany, jakkolwiek to właśnie w nim,

MATERIAŁY PRASOWE

Sławomira Łozińska, kadr z filmu „Lokatorka", reż. Michał Otłowski

MATEUSZ OCHOCKI / MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH W GDYNI

Agnieszka Holland odbiera Platynowe Lwy. Gdynia, 25 września 2021 r.

w jego brutalnej rewizji dzieciństwa pełnego fajnych gadżetów, zmitologizowanych klimatów i schowanych pod nimi traum, mogłyby się dziś przejrzeć miliony dorosłych Polaków i Polek. Świadczą o tym spontaniczne reakcje gdyńskiej widowni – tylu tłumionych pochlipywań dawno nie słyszało się w Teatrze Muzycznym.

Strzaskanym lustrem, tyle że przystawionym współczesności i natychmiast zamienionym w rozwibrowany kalejdoskop, są także „Inni ludzie" Aleksandry Terpińskiej (nagroda za debiut reżyserski i za główną rolę Jacka Belera). Powieść, a raczej poemat Doroty Masłowskiej świetnie sprawdzał się dotychczas w teatrze, lecz okazał się wręcz stworzony dla kina, ze swą rapową frazą i kosmiczną (albo wręcz boską) wizją dzisiejszej Warszawy jako miasta upadku. Osypujące się ze świątecznych choinek igliwie odsłania sytuację egzystencjalną, którą najlepiej streszcza hasło „żal.pl". I nieważne, czy mieszkasz na blokowisku czy na strzeżonym osiedlu. Hiphopowa nawijka, jaka odbywa się non stop w duszach bohaterów, i podążający za jej rytmem obłędny montaż (nagroda dla Magdaleny Chowańskiej), ukazuje świat bez żadnej nawigacji, rozdarty wzdłuż, wszerz i w poprzek społecznej tkanki, rozbity na pojedyncze, brzuchomówcze głosy.

Z Legolandu udało się wyjść także Michałowi Otłowskiemu, który w „Lokatorce" przywołuje świeżą i ciągle niewyjaśnioną sprawę bandyckiej reprywatyzacji ↦

BARTOSZ MROZOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH W GDYNI

Tomasz Ziętek w filmie „Hiacynt", reż. Piotr Domalewski

↦ przedwojennych warszawskich budynków. Zainspirowany przypadkiem zabójstwa i spalenia Jolanty Brzeskiej opowiada historię nieustraszonej aktywistki ruchu lokatorskiego (w tej roli nagrodzona Sławomira Łozińska), idącej na wojnę z miejscowym układem zamkniętym, współtworzonym przez tzw. czyścicieli kamienic, prawników i urzędników miejskich, z policją włącznie. Po śmierci bohaterki na plan pierwszy wysuwa się inna postać – młodej podkomisarz (Irena Melcer), która jako jedyna sprawiedliwa próbuje znaleźć sprawców zbrodni. Szkoda jednak, że ważny temat i heroiczna postać tytułowa nie dostają w filmie większego rozpostarcia, na miarę „Długu" Krzysztofa Krauzego. Zasługują one raczej na pogłębioną przypowieść niźli tylko na porządnie skrojone kino sensacyjne.

Nic więc dziwnego, że gdyńskie jury wolało nagradzać mniej palące, ale za to „piękniejsze" filmy osadzone we współczesności. Np. „Moje wspaniałe życie" Łukasza Grzegorzka (nagroda za reżyserię), gdzie wyśmienita Agata Buzek gra żonę, matkę, córkę, babcię i nauczycielkę angielskiego w jednej osobie, która dość swobodnie interpretuje ideę „własnego pokoju". W zapasowym mieszkaniu po rodzicach uprawia pokątnie drugie życie, całkowicie wbrew swoim powinnościom czy rolom. A twórca „Córki trenera" opowiada o tym z rzadkim w naszym kinie wdziękiem, na dodatek bez oceniania czy usprawiedliwiania. Wobec przeciętnej (na pierwszy rzut oka) trzypokoleniowej rodziny z Nysy i jej małego domowego piekiełka stosuje zasadę „co nas nie zabije, to nas wzmocni". Zaiste dwuznaczną w kontekście emancypacyjnych ciągot głównej bohaterki, za to nadającą filmowi zuchwale beztroską aurę.

Podobne wrażenia przynosi „Bo we mnie jest seks" Katarzyny Klimkiewicz, która zabawę w kino spod znaku Kabaretu Starszych Panów połączyła z feministycznym manifestem. Reżyserka „odzyskuje" po latach mitologizowaną na różne sposoby postać Kaliny Jędrusik jako tę, której udało się pobić patriarchat jego własną bronią. Lekkim tanecznym krokiem, w rytm znanych piosenek Jeremiego Przybory czy Agnieszki Osieckiej, film kreuje nie tyle ówczesną Polskę Ludową, co kolorową fantazję o niej i o funkcjonującej w jej ramach kontrowersyjnej gwieździe. Pracuje na to każdy wizualny element: wypiękniona architektura, gustowny design czy seksowny kostium. Również uhonorowana za główną rolę Maria Dębska nie uprawia aktorstwa czysto imitacyjnego. Nawet kiedy perfekcyjnie naśladuje ekspresję Kaliny, czuje się w tym szczyptę dystansu. Taki też jest cały film, odtwarzający ówczesne życie towarzysko-uczuciowe z przymrużeniem oka i na tyle umownie, że raczej się je smakuje, aniżeli przeżywa.

Systemy

Musical Klimkiewicz stanowił, wraz z awanturniczym, obsypanym brokatem „Najmro", przyjemną odtrutkę na te spośród festiwalowych obrazów, w których PRL miał ziemistą cerę, nosił brzydkie swetry i wąsy, dusił się w papierosowym dymie. I które nie pozostawiały żadnych złudzeń co do życia w tamtym opresyjnym systemie, wyraźnie jednak promieniując w kierunku współczesności. Mowa oczywiście o filmach osadzonych w latach 80., jak „Żeby nie było śladów" Matuszyńskiego i „Hiacynt" Piotra Domalewskiego, z pewnością dwóch najmocniejszych tytułach w konkursie (nie licząc głównego laureata).

W tym drugim, mocnym thrillerze psychologicznym wyprodukowanym przez Netflix, szeroko zakrojona akcja Milicji Obywatelskiej z okresu schyłkowej komuny, zbierająca haki na homoseksualistów, ukazana została z podwójnej perspektywy: milicyjnego śledztwa i osobistego uwikłania. Tomasz Ziętek gra młodego sierżanta, który niczym bohater Ala Pacino w „Zadaniu specjalnym" (1980) Williama Friedkina zaczyna infiltrować gejowskie środowisko. Chodzi zrazu o tajemnicze zabójstwo, ale im bardziej przełożeni Roberta próbują ukręcić łeb sprawie, tym bardziej on próbuje dociec, jak było naprawdę. A przy okazji, czego łatwo od początku się domyślić, odkrywa swoją prawdziwą naturę.

Odbierający nagrodę za scenariusz Marcin Ciastoń zadedykował ją anonimowym ofiarom akcji „Hiacynt", lecz wspomniał też o wykluczaniu czy odczłowieczaniu mniejszości seksualnych, które nie skończyło się wraz z minionym ustrojem. I nie był to jedyny moment podczas gdyńskiej gali, kiedy dzisiejsze strachy dały o sobie znać. Najwięcej odwoływała się do nich Agnieszka Holland, odbierając Platynowe Lwy za całokształt twórczości, przyznane zresztą po raz pierwszy kobiecie w prawie półwiecznej historii imprezy. „Ten czas się nie skończył, on tylko zasnął" – mówiła autorka „Gorzkich żniw", odnosząc się zarówno do totalitarnej przeszłości odtwarzanej często

w jej filmach, jak i do bieżącej sytuacji w Polsce, zwłaszcza na białoruskiej granicy. Za wyemitowanie takich słów na antenie TVP Kultura w czasie największej oglądalności mogą już za chwilę polecieć głowy.

Ze Srebrnymi Lwami wyjechał czarny koń tegorocznej Gdyni, „Żeby nie było śladów", również z główną rolą Tomasza Ziętka. Przedkładając skromne „Nasze wszystkie strachy" nad trzygodzinną prawie, gęstą od wątków i mrożącą krew w żyłach sprawę Grzegorza Przemyka, jury dało wyraźny sygnał: twórca „Ostatniej rodziny" znowu nakręcił wspaniały film o uniwersalnej wymowie (wszak ciągle gdzieś na ulicach i na komisariatach giną niewinni ludzie), ale w tym momencie na naszej osi czasu silniej rezonują tytuły odnoszące się bezpośrednio do polskiego tu i teraz [więcej o filmie Matuszyńskiego, który pojawił się właśnie w kinach, w następnym numerze „Tygodnika" – red.].

Festiwal nie był jednak wyłącznie rozrachunkowy bądź nostalgiczny. A jeśli nawet, to nagroda publiczności świadczyć może o pewnym zmęczeniu tą tematyką, o tęsknocie za historią autentyczną, lecz pisaną z małej litery i wcale nie mniej przejmującą. Takim właśnie filmem jest debiutancka „Sonata" Bartosza Blaschkego, która przybliża postać Grzegorza Płonki, młodego pianisty i kompozytora z Murzasichla. Na skutek błędnej diagnozy został w dzieciństwie uznany za autystyka i potraktowany przez „system" jako niepełnosprawny, podczas gdy problemem chłopca był głęboki niedosłuch. Dzięki wszczepieniu implantu oraz determinacji rodziców i innych życzliwych mu ludzi Grzegorz zaczął szybko nadrabiać stracony czas, a przede wszystkim rozwijać muzyczny talent. Uhonorowany za aktorski debiut Michał Sikorski brawurowo gra kogoś, kto pomimo upośledzenia już w jednej z pierwszych scen pokazuje systemowi środkowy palec. I poniekąd to samo robi „Sonata", która iskrzy się humorem i daleko jej do grzecznej opowiastki o heroicznym przezwyciężaniu niepełnosprawności. Co najważniejsze, Blaschke potrafi uniknąć szantażu emocjonalnego i pokrzepiającej moraliny, które często dominują w tego typu opowieściach. A mimo to jego film sprawia, że po prostu chce się żyć.

Prawda o ojcach

Gdyby wskazać dwa tematy charakterystyczne dla polskich tytułów konkursowych, nie byłyby to narracje do końca optymistyczne, choć przecież jakoś budujące w swoich intencjach i czasem zakończone moralnym zwycięstwem. Pierwsza wiąże się z poszukiwaniem prawdy: samotnym, obsesyjnym, na przekór wszystkiemu i wszystkim, nawet wbrew własnemu instynktowi samozachowawczemu. Ów wątek pojawia się chociażby w „Lokatorce", „Hiacyncie", „Żeby nie było śladów" czy jeszcze bardziej zanurzonej w przeszłości „Śmierci Zygielbojma" – opowieści o samobójstwie żydowskiego sygnalisty, niestety zbyt czytankowej, jak na tragedię tego formatu.

Drugi temat, czasami ściśle powiązany z pierwszym, dotyczy korumpującej miłości ojcowskiej i synowskiego buntu wobec upadłego autorytetu. Znajdziemy ją i w filmie Domalewskiego, i u Matuszyńskiego, jak również, na mniejszą skalę, w intrygujących „Piosenkach o miłości" Tomasza Habowskiego, zwycięzcy Konkursu Filmów Mikrobudżetowych. Nie wiadomo jeszcze, czy to jakiś znak czasów, czy może nasza lokalna specyfika, ale na pewno powtarzalność tych tematów, zwłaszcza wśród twórców młodszej generacji, daje do myślenia. Choć z drugiej strony łatwiej nam szukać prawdy w archiwach niż w dzisiejszym świecie manipulacji i postprawdy. I najłatwiej przeciwstawiać się ojcom dawno nieżyjącym.

Gdy popatrzeć na robiony z otwartą głową program tegorocznego Festiwalu, na jego najważniejsze laury i ogólny ferment podczas toczonych między seansami dyskusji, widać było coś więcej niż jedynie potrzebę wyjścia poza dotychczasowe schematy. W kinie to już się dzieje, choć na razie w wymiarze kameralnym, w pojedynczych symbolicznych gestach. Jak inicjatywy branży filmowej w zakresie bardziej ekologicznej produkcji czy wdrażania „Kodeksu etyki i dobrych praktyk". I jak te gesty, które wykonuje w filmie Daniel Rycharski, zasypując odwieczne przepaście i łącząc sztukę z uśmierzaniem naszych strachów przed „innymi ludźmi".

© ANITA PIOTROWSKA

46. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, 20 – 25 września 2021.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Gorbaczow. Raj

Dokumentalny, reż. Witalij Manski, Łotwa/ /Czechy 2020, Canal+ Dokument, 1 X, 20.00

Po „Świadkach Putina" rosyjski dokumentalista przygląda się byłemu prezydentowi ZSRR z tak bliska, jak to możliwe. Jeden z najważniejszych architektów światowego ładu w XX wieku gości filmowca w swoim wielkim pustym domu, rozmawiając z nim o kluczowych decyzjach politycznych i o sprawach bardziej ludzkich.

2. Klasa pana Bachmanna

Dokumentalny, reż. Maria Speth, Niemcy 2021, vod.mdag, do 2 X, liczba e-biletów ograniczona

Inna szkoła jest możliwa – niestety, jeszcze nie u nas. Tytułowy bohater to odchodzący za moment na emeryturę nauczyciel z niemieckiego miasteczka, który ma pod opieką głównie dzieci imigrantów. Jego usposobienie oraz metody edukacyjno-wychowawcze sprawiają, że uczniowie mogą się rozwijać i czuć jak w domu. Srebrny Niedźwiedź i nagroda publiczności na Berlinale.

3. Punkty zwrotne: 11 września i wojna z terroryzmem

Miniserial dokumentalny, reż. Brian Knappenberger, USA 2021, odc. 1-5, Netflix

Ten dokument, choć odnosi się do historycznych już wydarzeń, pozwala lepiej zrozumieć to, co dzisiaj się dzieje w Afganistanie. Zamachy z 2001 r. osadza w szerszym politycznym kontekście, sięgającym czasów zimnej wojny. Z udziałem specjalistów punktuje zarówno momenty, które doprowadziły do nowojorskiej tragedii, jak i błędy polityczne popełnione w jej następstwie.

4. Berlin Alexanderplatz

Dramat, reż. Burhan Qurbani, Niemcy i inne, 2020, nowehoryzonty.vod

To jedna z najbardziej twórczych adaptacji literatury w ostatnich latach. Reżyser o afgańskich korzeniach uwspółcześnia prozę Alfreda Döblina, czyniąc zeń okrutną baśń o walce dobra ze złem. I o ciemnej stronie miasta, w którym nielegalny przybysz z Afryki próbuje przetrwać i utrzymać moralny pion. W roli psychopatycznego kusiciela genialny Albrecht Schuch.

JAN

Klata:
Z biegiem

Bieganie jest wspaniałe zawsze, ale jesienią jakby najbardziej. Można się... wdrożyć, zadać sobie wysiłek, a wysiłek jest ważny. Oczywiście, są różne rodzaje wyzwań, na przykład mam przyjaciela, który jest ultra, a ja nigdy powyżej maratonu nie doskoczyłem. Chylę więc czoło przed Małgorzatą Lebdą, która teraz jest w połowie swojej trasy. Od źródeł do ujścia Wisły. Biegiem. Dzień po dniu. 1100 km. Ultra, nie ma co, naprawdę ultra. Biegnie poetka, która to wszystko wspaniale opisuje (można sobie znaleźć), więc ja nie muszę. Są też fotografie, dużo, i to frapujących, wykonanych przez Rafała Siderskiego. Po co to wszystko? W obronie Wisły przed zakusami betonujących ponurych żniwiarzy od „drogi wodnej E-40", która naturę wykończy. Ale też żeby się dowiedzieć o sobie, o świecie, o rzece, co to stuprocentowo nasza, polska od początku do końca (od niedawna, ale zawsze).

Dlaczego tzw. media masowego rażenia nie nagłaśniają kalokagatii? Dlaczego ludzi pasie się bzdurami, zamiast porozmawiać z Małgorzatą Lebdą? Gdzie są wszystkie telewizje śniadaniowe Imperium Lechitów? Czy Małgorzata Lebda może dać ludziom do myślenia? Wskakuję teraz w nie swoje buty biegowe, próbując wtłoczyć poetkę na czerwony dywan, ustawić „na ściance", oślepić serią fleszświateł, pewnie ona tego nie chce wcale, ona chce odpocząć w kamperze i poczytać książkę, zamiast odpowiadać na niezbyt rezolutne pytania... Ale nie zmienia to faktu, że coś jest ze światem fundamentalnie nie tak, że nikt nie da poetce-ultramaratonce możliwości powiedzenia wielkiego „nie".

Ludzie, którzy delektują się poezją, i tak zawsze mogliby powiedzieć, że czytali i biegali, zanim się to zrobiło modne. Zawsze można dołączyć do tych, którzy byli na pierwszym koncercie Can w Kolonii, kupili płytę Velvet Underground, znali Captaina Beefhearta, kiedy jeszcze sprzedawał odkurzacze.

A ja dowiedziałem się o Małgorzacie Lebdzie, zanim dobiegła do celu. ©

Lektor:
Malarstwo, białoruskość i ptaki

▪ *Małgorzata Czyńska*
NIE OPUSZCZAM RĄK. ROZMOWA Z LEONEM TARASEWICZEM
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021, ss. 184.

Jest malarzem – jednym z najwybitniejszych i najbardziej osobnych artystów w Polsce. Jest Białorusinem podkreślającym swoją tożsamość oraz związek z religijnością prawosławną. Po studiach na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych (jest teraz jej profesorem) i pierwszej wystawie w słynnej Galerii Foksal zdecydował się wrócić w rodzinne strony i mieszka w Waliłach na Białostocczyźnie. A dlaczego na okładkowym zdjęciu towarzyszy mu kura? Bo jest znawcą ptasiego świata i zapamiętałym hodowcą, wiceprezesem Związku Hodowców Drobiu Rasowego w Polsce. Liczne zaś podróże podejmuje nie tylko po to, by realizować kolejne projekty artystyczne; ostatnio częściej chodzi o spotkania z kolegami-hodowcami i zdobywanie nowych okazów...

W latach 80. opowiadał mi o nim nieżyjący już Marek Karp – historyk, pasjonat sprawy białoruskiej, później założyciel Ośrodka Studiów Wschodnich. Obrazy Leona Tarasewicza oglądałem po raz pierwszy – z zachwytem! – w 1991 r. w krakowskiej Galerii Krzysztofory. A teraz czytam książkę, efekt wielu rozmów, jakie z nim przeprowadziła Małgorzata Czyńska, historyczka sztuki i autorka m.in. biografii Katarzyny Kobro. Podziwiam jego samoświadomość artystyczną i mądrość życiową, dystans do współczesnego świata oraz poczucie związku z rodzinnymi i narodowymi korzeniami – mocne, choć pozbawione patosu. Bardzo zdrowa lektura w dobie polsko-katolickiego wzmożenia. A także przypomnienie istotnego sensu sztuki i odtrutka na jej instrumentalne traktowanie.

Cóż to jest zresztą za życiorys – niemal pikarejska opowieść o niezwykłych przygodach Leona / Leoncjusza, zwanego przez rodaków Lonikiem, chłopca z Walił. Dzieciństwo bliskie natury, dwuletnia służba wojskowa po pierwszej nieudanej próbie dostania się na ASP, burzliwe lata studenckie (tu serdeczny hołd dla mistrza, prof. Tadeusza Dominika). Pierwsze sukcesy w Szwecji i we Włoszech – a równocześnie romantyczne z ducha działania na rzecz odrodzenia narodowego i nieuchronne konflikty, jakie rodzi działalność publiczna. Przyjaźń z Jerzym Nowosielskim. No i dzieło, w którym wywiedzione z natury obserwacje przetworzone zostają na wartości czysto malarskie, a wspaniałe kolorystycznie kompozycje przekraczają powierzchnię płótna, zawłaszczając ściany i całe wnętrza, tworząc niesamowitą, wciągającą widza przestrzeń. Ale to już trzeba zobaczyć! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Uszanujmy biesiady

Siedemnaście tysięcy ludzi w całej Francji wzięło na przełomie 1847 i 1848 r. udział w około siedemdziesięciu bankietach obywatelskich, które przeszły do historii jako jedna z bezkrwawych rewolucji nowoczesnej Europy. Nauczeni pamiętać okres Wiosny Ludów na ziemiach polskich i w ich pobliżu jako brutalne widowisko, tym bardziej bolesne, że w krótkim terminie daremne, zapominamy, iż przejście od monarchii lipcowej do drugiej republiki odbyło się – że tak powiem – przez bufet.

Chciałbym kiedyś pomyszkować w bibliotekach w poszukiwaniu dokładnych jadłospisów tamtej kampanii. Owszem, obszerny opis bankietu dał w jednej z powieści Flaubert, ale dotyczy on wyłącznie wznoszonych haseł i dyskusji. Ten genialny, wiecznie aktualny pisarz był też nieznośnym hipochondrykiem i gardził dobrym jedzeniem z powodu wiecznych problemów trawiennych. W jego obszernych listach znajdziemy mnóstwo szczegółów ówczesnego życia codziennego i schadzek z kochanką – ale nie dowiemy się, co jadali potem na śniadanie.

Pozostaje na razie internet. A tam, na nielicznych rycinach dokumentujących ową „kampanię bankietową", majaczą niewyraźnie talerze z nieokreśloną strawą. Za to dokładnie widzimy, iż przed każdym z jegomości zasiadających przy długich stołach widać butelkę. To byli poważni, zaangażowani w sprawy publiczne ludzie, elita obywatelska. Gromadzili się natchnieni wolą naprawy gnijącego ustroju i podźwignięcia z ruiny kraju. Ale do głowy by im nie przyszło, żeby kłócić się o postulaty obniżenia cenzusu majątkowego albo – o zgrozo! – wprowadzenia wyborów powszechnych o suchym pysku. Czy można wstać i wznieść toast „precz z korupcją!" popijając tisanę z werbeny?

Werbenę polecam wam z głębi serca, ale w kontekstach bardziej prywatnych niż obywatelskich, gdy nie zachodzi potrzeba ojczyzny ratowania. Rośnie to ziele bez trudu nie tylko na francuskim, ale i na polskim balkonie. Jej zwiewna orzeźwiająca paleta smaków tym jest wobec naszej poczciwej melisy, czym był citroën ds wobec syrenki.

Pomysł ogólnokrajowych biesiadnych dyskusji „co z tą Francją" pojawił się jako sposób na obejście obowiązującego pod rządami Ludwika Filipa zakazu zgromadzeń politycznych – choć nikt z władz oraz pracujących dlań szpicli nie miał wątpliwości, po co ci ludzie siadają za stołem: żeby zmusić króla do reform albo do odejścia. Różne są oceny stopnia „wstecznictwa" i represyjności tamtej monarchii, kolejnego ogniwa rozwoju po okresie restauracji Burbonów, tych, co to niczego nie zrozumieli i niczego się nie nauczyli. Zamordyzm trwał, lecz w lżejszej wersji, z pewną istotną granicą: mógł zakazać wielu rzeczy dziejących się poza sferą ścisłej prywatności, na ulicach i placach, ale np. biesiada, uczta, bankiet należały do tego zakresu zdarzeń, których władza nie śmiała tknąć.

Zdarzeń wprawdzie zbiorowych, ale otoczonych mirem nietykalności, bo dotyczących szczególnego przeżycia – posiłku. Spotkania tysiąca dwustu osób (tyle liczył pierwszy bankiet w Paryżu w 1847 r.) z pewnością nie nazwiemy imprezą „prywatną" w sensie ścisłym, ale fakt, że między obecnymi stały stoły, talerze z jadłem i przede wszystkim butelki z winem, wyjmował to wszystko spod definicji „zgromadzenia publicznego". Dziś, kiedy lewicowa teoria krytyczna obala podział na prywatne i publiczne, twierdząc, że to tylko wygodny parawan dla hegemona, który za nim chowa najgorsze objawy ucisku, myślę, że wyjątkowy, pośredni status uczty, uszanowany przez monarchię lipcową, wart jest zachowania.

Także w obronie przed innymi zgoła purytanami: straszne były represje na posłach, którzy poszli na urodziny znanego dziennikarza (z tego miejsca go pozdrawiam: obca mi jest amikoszoneria, jaką wykazuje wobec polityków, ale doceniam, jak wiele zrobił pożytecznego, popularyzując w prasie dobre wino). Owszem, rozumiem wilczą logikę partyjnych wycinanek – nowy wódz po powrocie na białym koniu ma prawo pozbyć się starej gwardii pod byle pretekstem, ale czy naprawdę musi to być spotkanie towarzyskie, pozbawione, o ile wiem, momentów skandalicznych? „Żadnego alkoholu na spotkaniu nie piłem" – skamlał potem publicznie jeden z ukaranych. Cóż za żenada – przepraszać za bankiet.

Chyba że skandalem było samo przebywanie w jednej rozległej przestrzeni biesiadnej z politykami drugiego plemienia? Kara dlatego była sroga, że zachowanie posłów niweczy strategię Platformy, będącą pokraczną powtórką reaganowskiej bitwy z Imperium Zła. Ale ja bym raczej powiedział, że skandalem jest ta strategia, skoro w jej ramach można wylecieć z partii za bycie na czyichś urodzinach. ©℗

Przyroda zna, a jakże, przypadki mieszania się odmian na jednej grządce – coraz częściej widuję dynie hokkaido, które utraciły typowy „czubeczek" przez krzyżowanie się z naszą miejscową odmianą. Dużo takich dyń przywiozła nam niedawno we wspaniałym darze nasza czytelniczka, dziękuję raz jeszcze! Każdy w redakcji wziął sobie po jednej, a ja im poradziłem, żeby ją upiekli – choć można też, korzystając z faktu, że taka krzyżówka się łatwiej rozpada, wykonać kolejny wariant zupy dyniowej. Małą dynię rozkrawamy, wyjmujemy gniazda nasienne, kroimy na drobną kostkę wraz ze skórą. Dodajemy małego selera pokrojonego w kostkę. Zalewamy ok. 0,5-0,7 l wody lub lekkiego bulionu warzywnego. Solimy, gotujemy pod przykryciem na wolnym ogniu, dodając opcjonalnie po listku szałwii i lubczyku. Po przestudzeniu miksujemy, podajemy z odrobiną oliwy i pyszną posypką, którą uzyskamy prażąc na patelni kilka z grubsza posiekanych orzechów laskowych i migdałów, po czym łącząc je w proporcji 1:1 z parmezanem.

KATERYNA BIBRO / ADOBE STOCK

WIEŚCI Z KANCIASTEJ KRAINY

„Minecraft" to gra. Tu dzieci są gospodarzami, rodzice – najwyżej gośćmi. Możemy otoczyć ją murem. Możemy też wyruszyć na wyprawę tropem naszych pociech, poznać ich świat, pozwolić, by zostały naszymi przewodnikami.

TEKST I ILUSTRACJE ADAŚ NAPIÓRKOWSKI, MARCIN NAPIÓRKOWSKI

ZESPAWNOWAŁEM SIĘ na czerwonej, glinianej pustyni otoczonej wzgórzami. Na jednym ze szczytów rosła trawa i drzewa. To był mój płaskowyż. Pośród drzew był domek z czerwonej, pomarańczowej, białej oraz brązowej terakoty. To był mój domek. W środku były różne rzeczy, między innymi: karmazynowe łóżko, stół rzemieślniczy, piecyk i wagoniki do kopalni. A więc zaczynamy naszą historię! Celem każdego bohatera było pokonanie Smoka Kresu. Pomyślałem, że to ja go zabiję. Ale najpierw musiałem się przygotować i znaleźć Twierdzę.
Zabrałem więc: dwadzieścia białych łóżek, łuk zaklęty nieskończonością strzał, mnóstwo Oczu Kresu, dwa wiadra wody, totem nieśmiertelności i mój ulubiony miecz. Wyruszyłem. Co chwila rzucałem Okiem Kresu, aby wskazało mi drogę do Twierdzy. Oczy kazały mi iść na południowy wschód, a więc tam poszedłem.

Chciałem wyruszyć tropem Adasia, a potknąłem się już na pierwszym słowie. Co to znaczy „zespawnowałem"? Czy język, którym posługuje się mój ośmioletni syn, to w ogóle jeszcze jest polski? Dalej wcale nie było lepiej. Większość słów wprawdzie zrozumiałem, ale związek między nimi mi się wymykał. Dlaczego na wyprawę w poszukiwaniu smoka zabrał ze sobą dwadzieścia łóżek? I komu, u licha, wydłubał wszystkie te oczy?!

Od oficjalnej premiery „Minecrafta" mija właśnie okrągła dekada (historia wersji testowych sięga nieco głębiej, bo maja 2009 r.). Przez ten czas gra komputerowa firmy Mojang zyskała sobie legion wiernych wyznawców. Jeżeli macie dzieci w wieku kilku lub kilkunastu lat, to na pewno wiecie, o czym mówię. Jeżeli nie – z pewnością otarliście się o dziwaczny świat „Minecrafta", nawet jeżeli nie zdajecie sobie z tego sprawy. Może dostrzegliście, że drewniane miecze sprzedawane w kurortach w całej Polsce stały się w ostatnich latach dziwnie kanciaste i ząbkowane? A może waszą uwagę zwróciła sześcienna pluszowa owca albo świnka? Wszystko to ślady inwazji.

Pomysł na grę jest genialnie prosty. Zaczynamy bez żadnego ekwipunku. Korzystając z własnej pomysłowości i otaczających nas surowców tworzymy coraz bardziej zaawansowane narzędzia, broń, a nawet maszyny. W pierwszych minutach gry odłupujemy bloki drewna gołymi rękoma. Po kilku dniach ciężkiej pracy paradujemy w zaklętych pancerzach i hodujemy zwierzaki w automatycznych farmach. Z robotą lepiej się uwijać, bo nocą Minecraftowe królestwo opanowują potwory.

Prosta jest tu nie tylko mechanika, lecz także estetyka. Niemal wszystko w grze jest kanciaste – blokowate drzewa, sześcienne dynie, kwadratowi bohaterowie i ich grubo ciosane psy. Odbiorców przyzwyczajonych do współczesnych gładkich

animacji 3D gra straszy ogromniastymi pikselami. Nadaje to jej niepowtarzalnego uroku.

Świat „Minecrafta" jest bezkresny (dosłownie). Składa się z różniących się klimatem i zasobami krain zwanych „biomami". Gra nie ma konkretnego celu (choć oczywiście każdy chce pokonać Smoka Kresu). Wirtualny dzień można spędzić na odkrywaniu podwodnych ruin, budowie szalonych maszyn albo poszukiwaniu diamentów. Trzeba jednak uważać. W kopalni łatwo stracić poczucie czasu. Nie tylko wirtualnego.

KOPALNIA DIAMENTÓW Wreszcie opuściłem mesę i napotkałem puszczę. Drzewa były bardzo gęste. Co prawda potwory spalają się w dzień, ale tutaj nie docierają promienie słońca. Spotkałem więc dwa zombie. Na szczęście wziąłem mój ulubiony kamienny miecz zaklęty ostrością I i je zabiłem. Szedłem i szedłem, aż w końcu znalazłem potężną i piękną budowlę. To był leśny dwór. I właśnie wtedy zorientowałem się, że już jest zachód! Szybko wszedłem do środka. Był tam spory korytarz z przejściami prowadzącymi do różnych pokoi. W jednym była hodowla grzybów, w drugim uprawa pszenicy, w trzecim skrzynia z diamentową motyką. Właśnie ją wyjmowałem, gdy dopadł mnie przeciwnik z żelaznym toporem.
Zdołałem uciec, ale spotkałem drugiego. Nie miał przy sobie topora, lecz podniósł ręce i z ziemi zaczęły wystrzeliwać strzały, a w powietrzu zaroiło się od dręczycieli – małych niebieskich człowieczków z żelaznymi mieczykami. Uciekłem tylnym wyjściem. Był już dzień, a przed moimi oczami ukazał się piękny widok.

Historia „Minecrafta" podobna jest do rozgrywki w tę grę. To opowieść o błyskawicznym awansie od skleconej naprędce lepianki do fortecy z własną kopalnią diamentów. Gra zaczęła żywot jako solowy projekt szwedzkiego programisty Markusa Perssona znanego jako Notch. Na potrzeby jej rozwoju założył on firmę Mojang, którą zresztą opuścił jeszcze w 2011 r., powierzając stery następcom. W 2014 r. Mojang został kupiony przez Microsoft za imponujące 2,5 mld dolarów.

Było warto. Aplikacja sprzedała się łącznie w 200 mln egzemplarzy. Ten wynik czyni „Minecrafta" drugą najczęściej kupowaną grą wszech czasów (przegrywa tylko z „Tetrisem"). Co ważniejsze, to nie jest gra, którą przechodzi się raz i odkłada na półkę. W 2020 r. aż 131 mln użytkowników zatapiało się w kanciastym świecie co najmniej raz w miesiącu.

Każdego roku na samej sprzedaży gry Microsoft zarabia średnio 400 mln dolarów, a to tylko wierzchołek góry lodowej. Posiadacze gry mogą dokupywać dodatkowe skórki (wygląd postaci) i gadżety. Poza grą nabyć można podręczniki i powieści osadzone w świecie Minecrafta (w dużych księgarniach to nierzadko oddzielny regał), koszulki, kubeczki, figurki albo klocki lego. Na Netfliksie premierę miał interaktywny serial osadzony w świecie gry. Dowolny obiekt ozdobiony logiem Minecraft lub wizerunkiem creepera (to wypełnione prochem, obdarzone nieomylnym instynktem stwory-kamikadze) staje się natychmiast przedmiotem pożądania. Jego atrakcyjność (a zwykle i cena) wzrasta kilkukrotnie.

U nas działało to niezawodnie. Gdy ktoś pytał, co Adaś chciałby dostać w prezencie, długo odpowiadaliśmy: „dowolny przedmiot z logo Minecrafta". Teraz zmieniliśmy strategię. Bardzo zależy nam na tym, żeby w świecie naszego syna było też miejsce na zabawy niezwiązane z kanciastą krainą. Bo „Minecraft" ma także mroczną stronę. W jego bezkresnym, pełnym możliwości świecie można się naprawdę zagubić.

UKŁAD NAGRODY To była pustynia. Wielka, prawie bezkresna pustynia. Wszedłem na nią. Piasek był gorący i suchy. Zamiast drzew rosły tu tylko uschnięte krzewy i kaktusy. Co jakiś czas napotykałem studnie z piaskowca, a tak to tylko piasek i piasek. Po godzinie przedzierania się przez wydmy ujrzałem grupkę domków z piaskowca, a za nimi stała piramida. Poszedłem w tamtą stronę. Spotkałem kilku osadników, ale nie miałem czasu na handlowanie z nimi. Moim celem było zgładzenie Smoka Kresu. Jeśli coś mi się tu przyda, to na pewno jest w piramidzie.
Piramida miała wejście w dziwnym miejscu, na szczycie jednej z jej wież. Zszedłem po schodach, ale skarbu nie znalazłem! Zobaczyłem tylko podejrzany wzór z terakoty, wykopałem go i... skarb!! Ale i chytra pułapka! Zszedłem więc ostrożnie, otworzyłem wszystkie cztery skrzynie... Diamenty! Złoto! Czerwienit! Szmaragdy! Niestety przewróciłem się na płytę naciskową, która uruchomiła trotyl i... wybuchło! Prawie mnie zabiło! A z małej dziurki wylał się strumień wody.

Pustynia, labirynt, śmiertelna pułapka – to dobre metafory. Nie ukrywam, że czasem tak właśnie myślę o „Minecrafcie". Niemal każdego dnia wyruszam w pogoń za Adasiem. Często pełen lęku, że któregoś dnia już nie uda mi się go odnaleźć, ↦

↦ że całkiem zagubi się w wirtualnym świecie. W swoich obawach nie jestem sam.

„Mózg twojego dziecka podczas gry w »Minecrafta« wygląda jak mózg po zażyciu narkotyków" – straszy psycholog Nicholas Kardaras, autor książki „Dzieci ekranu". Kardaras przywołuje historie swoich pacjentów – dzieci, które „Minecraft" wprowadzał w stan pobudzenia lub katatonii; dzieci, które zupełnie straciły zainteresowanie czymkolwiek poza kanciastą krainą. Opisuje rozpacz rodziców i niepokojące statystyki mówiące o wciąż rosnącym czasie, jaki najmłodsi spędzają przed ekranem. Wszystko dlatego, że gry takie jak „Minecraft" nieustannie bombardują nasz układ nagrody. Młodzi ludzie są na to oddziaływanie wyjątkowo wrażliwi. W świecie rzeczywistym nic nie dostarcza im równie silnych bodźców.

Traktuję te obawy poważnie, ale staram się nie ulegać panice. Warto pamiętać, że Nicholas Kardaras nie jest bezstronnym obserwatorem. Jako terapeuta spotyka się wyłącznie z przypadkami ekstremalnymi. Reprezentuje atrakcyjne dzięki swej prostocie, radykalne stanowisko „zero ekranu". Kilka lat temu stał się znany także za sprawą krucjaty, jaką prowadził przeciw ekranom w szkolnych klasach. Przekonywał, że inwestycja w technologię to ślepy zaułek, a szkoła powinna być wolna od mediów elektronicznych. Ciekawe, jak by wyglądała w zeszłym roku edukacja milionów uczniów na całym świecie, gdyby nauczyciele posłuchali tych przestróg?

Z PRĄDEM, POD PRĄD? Wpłynąłem do dziury. Okazało się, że woda spływa aż do oceanu. Na dnie było dużo roślin i różne rodzaje koralu: ognisty, bąbelkowy, rogaty i rurkowaty. Daleko, bardzo daleko ukazał się kontur jakiejś budowli, ale nagle przysłonił mi widok mokry zombie, który trzymał trójząb. A na dodatek brakowało mi tlenu! Wypiłem miksturę oddychania pod wodą i wreszcie wziąłem wdech i wydech. Utopiec zaczął mnie atakować. Wyciągnąłem swój miecz. Szybko się z nim uporałem i popłynąłem w stronę potężnej budowli, a im bliżej byłem, tym bardziej mi się pokazywała.
Wreszcie zobaczyłem jej niebieskozielonkawy kolor oraz dziwne potwory z pomarańczowymi kolcami. Każdy potwór miał wielkie, czerwone oko, które strzelało laserem. Zaatakowali mnie natychmiast, ale je pokonałem. Pryzmaryn, z którego zrobiona była budowla, to był świetny budulec, więc zacząłem go kopać, i nagle... Bloki złota! Wykopałem je i wymknąłem się drugim wyjściem.

Czy gry komputerowe są naprawdę aż tak niebezpieczne? A może mówienie o „cyfrowej heroinie" jest jednak nieuzasadnioną przesadą? Przedzierając się śladami Adasia przez kolejne tajemnicze krainy, postanowiłem temat „Minecrafta" zweryfikować w dostępnej literaturze naukowej. Wyniki dały mi do myślenia. Na przykład obszerna metaanaliza (porównanie wyników kilkudziesięciu odrębnych badań) opublikowana w 2004 r. w „International Journal of Obesity" pozwoliła badaczom stwierdzić, że zależność między czasem spędzonym przed ekranem a otyłością i brakiem ruchu wśród dzieci jest niewielka, a negatywny wpływ gier komputerowych – wyraźnie przeceniany. Podobne wyniki przynoszą badania dotyczące związku gier z dobrostanem psychicznym czy przemocą. Jednocześnie inna metaanaliza przeprowadzona przez amerykańską badaczkę Fengfeng Ke, obejmująca ponad dwieście przykładów, jednoznacznie pokazała, że dobrze zaprojektowane gry komputerowe mogą być cennym narzędziem edukacyjnym.

Rację mają więc ci uczeni, którzy sugerują, że gry, jak niemal wszystkie narzędzia stworzone przez człowieka, mogą poczynić w rozwoju młodych ludzi istotne szkody, ale też przynieść wielkie korzyści. Wszystko zależy od tego, co dokładnie porabiamy w kanciastej krainie. Nie jest to wizja tak prosta i atrakcyjna, jak antyekranowa krucjata doktora Kardarasa, ale warta zgłębienia.

Doktor Dimitri A. Christakis w tekście opublikowanym w 2016 r. na łamach „Journal of the American Medical Association", jednego z najbardziej prestiżowych czasopism medycznych na świecie, przekonuje, że zależność między negatywnymi efektami a czasem spędzonym przed ekranem ma kształt litery „U". Zupełny brak kontaktu z nowymi mediami prowadzi do wyobcowania i braku kompetencji cyfrowych, niezbędnych do funkcjonowania w nowoczesnym społeczeństwie. Całe dnie grania to także niewątpliwy problem. Gdzieś między tymi dwiema szkodliwymi skrajnościami mieści się złoty środek. „Wyzwanie polega na tym, by zrozumieć skomplikowany wpływ mediów i ustalić reguły, uwzględniając wszystkie subtelności" – przekonuje Christakis.

Problem polega na tym, że nie da się tego zrobić z zewnątrz. Żeby wykorzystać potencjał zabawy i rozwoju ukryty w grach takich jak „Minecraft", musimy zajrzeć do środka. Poznać kanciasty świat, zrozumieć jego zasady, pokazać dzieciom, jak można korzystać z niego w mądry, rozwijający sposób.

KU NOWYM LĄDOM Wyszedłem na bezludną wyspę. To była grzybowa wyspa! Chodziły po niej grzybowe krowy – jakby krowy, ale były czerwone, i rosły na nich grzyby. Ziemia była porośnięta grzybnią. Rzuciłem trzema Oczami Kresu. Zatrzymały się w jednym miejscu. To był znak, że pode mną jest Twierdza Kresu! Zacząłem kopać i natrafiłem na pokoik z kamiennej cegły. Były tam dębowe drzwi, a więc je otworzyłem. Za nimi był ciemny korytarz z kratami więziennymi. Zobaczyłem blask pochodni, dębowe drabiny i dębową studnię. Zszedłem do pokoju, gdzie była skrzynia. Otworzyłem ją, a skarbem było złote jabłko. Zabrałem je, bo może mi się przydać w walce ze Smokiem Kresu.
Zszedłem po kolejnej drabinie i poszedłem dalszym korytarzem. Przeszedłem przez niego, napotykając

bibliotekę. Od razu było widać, że była stara, bo było tam mnóstwo pajęczyn. Na górze było przejście, więc poszedłem za nie, a tam był przedostatni krok tej podróży. Portal Kresu. Zostało mi jeszcze trochę Oczu Kresu. Włożyłem je w odpowiednie miejsca, a portal rozbłysnął niebieskim i zielonym światłem. Wziąłem wdech i wydech, hop!

Gry takie jak „Minecraft" to dziwna kraina, w której nasze dzieci są gospodarzami, a my, rodzice – najwyżej gośćmi. Możemy postawić mur i strzec wejścia. Możemy też wyruszyć na wyprawę tropem naszych dzieci. Podjąć wyzwanie, poznać ich świat, pozwolić, by zostały naszymi przewodnikami.

Historie takich poszukujących rodziców i ich dzieci opisały Sinem Siyahhan i Elisabeth Gee, autorki wydanej niedawno przez MIT fascynującej książki „Families at Play" („Grające rodziny"). Badaczki przekonują, że gry komputerowe zostały niesłusznie zdemonizowane. Medialna panika przyniosła ten skutek, że dzieci dalej grają (i to coraz więcej), ale za to rodzice patrzą na gry jako coś złego. Nie uczestniczą w tej części życia swoich pociech, poprzestając na stawianiu zakazów. Jedynym narzędziem wychowawczym związanym z komputerem staje się stoper.

Musimy wyjść poza pytanie „jak dużo dzieci mogą grać" ku wspólnej pracy nad poprawą jakości grania – przekonują Siyahhan i Gee. Przejść od restrykcji do rozmowy i wspólnej zabawy. Uczynić gry częścią rodzinnego życia, by przestały nas dzielić, a zaczęły łączyć. Autorki proponują wobec „Minecrafta" (jednego z głównych bohaterów ich książki) postawę „rodzicielstwa uczestniczącego" (*participatory parenting*). „Nie wystarczy mówić dzieciom, czego mają nie robić. Zamiast tego warto skupić się na zaangażowaniu ich w wartościowe rozmowy promujące rodzinne więzi, komunikację i uczenie się ze wspólnego doświadczenia gry".

Podobnie jak wspomniana wcześniej książka Kardarasa, praca Siyahhan i Gee pełna jest historii konkretnych rodzin. Znajdziemy w niej opowieści o rodzicach-mentorach, którzy wprowadzali swoje dzieciaki w świat gier, oraz o rodzicach-odkrywcach, razem z pociechami poznających wirtualne światy. Są też wzruszające anegdoty o wspólnej zabawie rodzeństwa. (Potwierdzam z doświadczenia – trzyletnia Tosia, choć oczywiście sama nie gra jeszcze w gry komputerowe, uwielbia opowieści starszego brata o bohaterskich wyprawach i pokonanych potworach).

Staramy się, żeby u nas w domu „Minecraft" był początkiem wspólnych rodzinnych przygód. Dzięki pakietowi edukacyjnemu gra może na przykład uczyć chemii, symulując proste eksperymenty. Dostępne dodatki pozwalają ją zamienić w narzędzie do nauki programowania. Sama gra rozwija kreatywność, estetykę, wyobraźnię inżynierską. To także przestrzeń, w której rodzą się świetne opowieści. Artykuł, który właśnie czytacie, to kolejna wspólna przygoda, którą przeżywamy z Adasiem, za punkt wyjścia obierając „Minecrafta".

Warto dać szansę kanciastej krainie, z pełną świadomością, że to miejsce niebezpieczne, które po zmroku zaludnia się potworami. Zamiast straszyć, trzeba towarzyszyć dziecku. Zawsze przyda mu się dodatkowy miecz i para oczu do wypatrywania creeperów. Być może najważniejsza lekcja ze wspólnego grania jest właśnie taka, że w przyspieszającym świecie nie zawsze to my wiemy najlepiej. Pora pogodzić się z tym, że nauka nie przepływa już w jedną stronę. Musimy sobie ufać i uczyć się od siebie wzajem. To najwspanialsza przygoda.

KRES SKŁADA SIĘ Z KILKU WYSP dryfujących w próżni. Jedynie najbardziej doświadczeni bohaterowie, tacy jak ja, ośmielają się tu zapuszczać... Wylądowałem na obsydianowej lewitującej platformie. Smok Kresu powitał mnie groźnym rykiem. Musiałem zbudować brukowy most do wyspy, na której latał. Wskoczyłem na słup, którego Smok używał, aby składać jaja, i zastrzeliłem wszystkie 12 kryształów, z których czerpał energię. Było blisko! Prawie mnie trafił wyziewem.
W ostatniej chwili złapałem fioletowe płomienie do szklanej butelki. Postawiłem dwa łóżka. Zasadzka była gotowa.
W Kresie nie da się spać. Kiedy spróbujesz się położyć, łóżko wybucha mocniej niż dynamit. Już czułem, że mnie zabije, że nie dam rady, gdy nagle... Bum!
Endermani zaczęli klaskać, a z nieba zlatywały promienie i punkty doświadczenia! Zostałem legendą! Po chwili oklaski ustały, ukazał się portal powrotny. Hop!
Po drugiej stronie zobaczyłem blask słońca, czerwone ściany i znajomą postać.
– Cześć, synku. Dokąd wyruszymy teraz?

© ADAŚ NAPIÓRKOWSKI, MARCIN NAPIÓRKOWSKI

STANISŁAW

Mancewicz:
Odys w porcie

Gospodarz kazał swoim ludziom, jak to ma w zwyczaju, odlecieć. Tym razem na być może z góry upatrzone pozycje. To sformułowanie jest łaskawym przejawem naszej dobrej woli, że oto uznajemy, iż była to decyzja przemyślana i dobrowolna. Chodzi nam tu o wycofanie się PiS-u z różnych pomysłów forsowanych przez ostatnie miesiące. Ich realizacja miała być wyraźnym i szalenie mocnym znakiem dla narodów globu, że Polacy żyją w niepodległym i niezależnym od czegokolwiek i kogokolwiek państwie. Zdaje się, że na miarę XXI wieku, którego właściwości niczym na razie nie zachwycają.

Pomysły te, jak np. ów likwidujący prywatną stację telewizyjną, albo ten o strefach wolnych od – jak powiadają – ideologii, bądź to twarde stanowisko w sprawie utrzymywania prehistorycznej kopalni i elektrowni na krańcach Polski, zakodowały się w rozumach wielu tutejszych jako najskuteczniejsze lekarstwa na choroby świdrujące społeczeństwo. Oddalać też miały liczne zagrożenia dla niepodległego bytu państwa polskiego. Gdy człowiek czyta opinie ludzi pierw przekonywanych i przekonanych do słuszności tych recept, a dziś szczerze zrozpaczonych, bardzo mocno rozczarowanych najpewniej lękliwymi decyzjami pana prezesa, gdy człowiek brnie przez zacinający dżdż łez wypuszczonych przez zawiedzionych a ufnych obywateli, zaiste ma wrażenie, że znalazł się jednak na Marsie albo innym Merkurym czy, nie daj Boże, na Księżycu, gdzie przychodzi mu biernie koczować na owej nieogrzewanej i niedoświetlonej połówce, penetrowanej przez wiadomego pochodzenia Łunochod.

Tak. Są to lektury – przyznać trzeba – rozdzierające i szokujące. Gdy tak wędrowaliśmy przez kolczasty gąszcz komentarzy na temat wycofania się Gospodarza ze świetnych decyzji, komentarzy napisanych przez uśrednionego umysłowo polsko-prawicowego uczestnika internetowych forów, rzuciła się nam w oczy spora frekwencja twardego „nie sprawdził się". Owo „nie sprawdził się" występuje, bądź to w tej stosunkowo kulturalnej formie właśnie, bądź są na temat „sprawdzania" używane inne słowa, na ogół ze sfery fizjologii. Nieładnie. Tak nie wolno. No więc trzeba przyznać, że to nas nie śmieszy, od dawna bowiem podchodzimy do sytuacji w Polsce naukowo i laboratoryjnie, więc niesprawdzający się Gospodarz nas nie bawi, zwłaszcza że nie wiadomo, kto dziś miałby się w Polsce sprawdzić i w czym.

Oto popatrzmy – jak okiem sięgnąć mamy tu ludzi, którzy się nie sprawdzają w dowolnym czymkolwiek. Od lewicy po prawicę, tę cywilizowaną i tę niecywilizowaną. Od lat. I nie jest to puste a jałowe narzekanie na skrzeczącą rzeczywistość, nie jest to rytualne ględzenie czy przeklęty symetryzm, chcemy tu po prostu rzec coś sensacyjnego, że wedle naszych spostrzeżeń niesprawdzanie się jest zaraźliwe, jak by powiedział wybitny znawca chorób zakaźnych inżynier Jan Duda z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

Oto Gospodarz – to sensacja – zakaził się od swych przeciwników politycznych imposybilizmem. Niemożnością, mówiąc po polsku. Zapewne nie nosił maseczki bądź nie stosował koreczków dousznych, bądź w swym zadufaniu nie kazał się, jak ów pomysłowy Odys (któż biedaka pamięta), przywiązać do masztu okrętu, by nie dać się zwieść syrenim śpiewom. Syrenki zwabiły go swymi wokalizami w przykrą pułapkę nieudolności. Kurs okrętu okazał się zły, wiatry, początkowo opanowane, wylazły z wora (któż tę lekturę pamięta) i wieją w poprzek poczucia niepodległości, w poprzek tradycji polskiej rodziny, wbrew marzeniom heteroseksualnym i wbrew totalitarnej propagandzie cieknącej z ekranu telewizji publicznej. Nic się już nie zgadza. Pół świata się śmieje z pana prezesa, a drugie pół z pana prezydenta. Śmieją się panowie Putin i Biden, choć oni nigdy nie śmieją się w tym samym momencie i z tych samych żartów. Tak to nasz Gospodarz, w ciągu paru lat, z najpoważniej i najgłębiej serio traktującego się polityka, stał się śmieszny globalnie i my wraz z nim. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

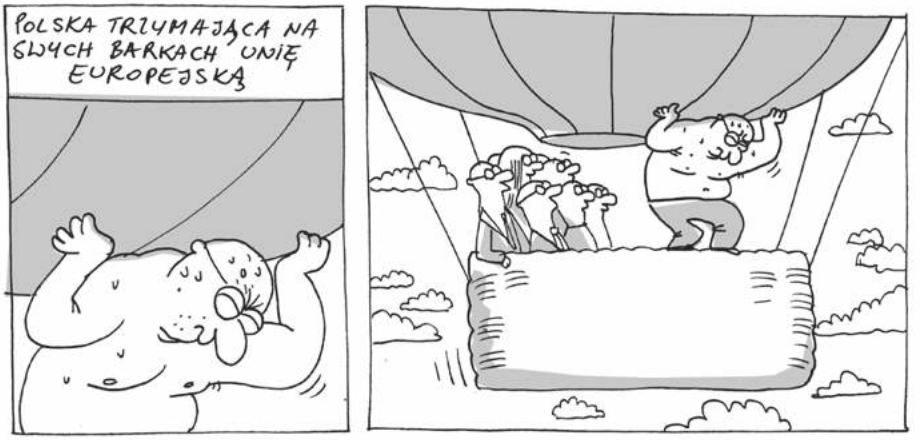

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

Skoncentrowani na potrzebach biznesu

S-Biznes internet symetryczny dla firm

s-net.pl

Symetryczne łącze internetowe z gwarancją parametrów

Korzyści dla Twojej firmy niezależnie od pakietu

- SLA 99,9% bezpieczeństwo sieci
- Wirtualna centrala do 25 stanowisk
- Hosting w chmurze Biznes Premium
- Techniczne wsparcie IT

S-Biznes 1000Mbps

1000/1000

S-Biznes 500Mbps

500/500

Sprawdź na s-net.pl

S-NET GRUPA TOYA +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl / www.s-net.pl

visitWroclaw.eu
DAWNO CIĘ TU NIE BYŁO
Visit Wroclaw
Wroclaw [Wroclove]
SPOTKAJMY SIĘ WE WROCŁAWIU
Wrocław miasto spotkań
REKLAMA